PISMA
NARCYZY
Żmichowskiej

3

PISMA GABRYELLI.

PISMA

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

z życiorysem autorki skreślonym
przez
D-ra Piotra Chmielowskiego.

Wydanie uskutecznione staraniem
Redakcyi Bluszczu.

TOM TRZECI.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1885.

Дозволено Цензурою.

Варшава, — 8 Ноября 1884 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska № 20

IX.

Nazajutrz po południu siedziałem sobie przed stolikiem i z roztworzonego woluminu, w którym były nadzwyczajnie ważne, dzieje naszego sądownictwa rozświecające akta, czytałem pilnie... teraźniejszą i przyszłą życia mojego historyą. Pokoik taki był cichy, jasny i biały, zapach akacyi przez roztworzone okno bił takiem świeżem, mocnem i upajającem powietrzem, że na zżółkłym pergaminie gotyckie litery zaczęły dziwaczyć, tańczyć, migać się—aż przybrały postaci moich własnych myśli i wypisały mi cuda niestworzone o tem wczorajszem spojrzeniu Maryi-Reginy, o tem jej ręki ściśnięciu, o tych słowach: — „Tyś wieszcz...“ i o tych drugich: „Ja kocham ciebie...“ których mi nigdy jeszcze nikt w życiu nie powiedział, a które Bóg wie jakim cudem czytałem wyraźnie na spleśniałej księdze i słyszałem, jak gdzieś w dziesiątem niebie anioł aniołowi powtarzał. To też trzeba przyznać, że po godzinie takiej nauki, zrobiłem ogromny postęp w mądrości życia i w architekturze pysznych zamków na lodzie. Marya-Regina nie kocha mnie jeszcze, sylabizowałem zpoczątku bardzo wolno na dekrecie trybunału piotrkowskiego, Anno Domini ****; lecz kiedyś będzie kochała! — składałem coraz prędzej — za kilka słów poczciwych, z głębi serca wypowiedzianych, ona tak wielkiem, tak świętem sło-

wem czoło moje namaściła. Za to, co ja kiedyś zro bię w życiu mojem, ona mię kochać musi. Och! bo ja czuję wiele dobrego w przyszłości, wiele pięknego w mocy mojej. Nie dla niej, boć się w średnie wieki rycerstwa już duch mój nie cofnie, lecz z nią i przy niej ja wiem że pójdę daleko, że wzlecę wysoko, że zaświecę jasno między poświęconymi braćmi. Och! miłość kobiety — miłość Maryi-Reginy — to objaw szczęścia, to wsparcie, to rozbłysk tajemniczego przeczucia bóstwa. to apoteoza życia!... to... to... i odmówiłem całą zakochanych litanią, a na ostatnie Amen ledwo mi serce piersi nie rozbiło, bo wyraźnie usłyszałem jej głos, jak z tchnieniem akacyi przez okno wionął i dwa razy imię moje powtórzył.

Z całej fantasmagoryi owo zawołanie jednak najprawdziwszem było. Wistocie Marya-Regina przyszła Helusię odwiedzić; podobała jej się ta dziewczynka, a Maryi-Reginie gdy się co podobało, to brała na własność do chwil życia swojego i nie psuła sobie, jako mówiła, przyszłych wspomnień grzechem zaniedbanej przyjemności. Pani Agnieszka naumyślnie gości swoich pocichu do ogródka wprowadziła, żeby mi niespodzianką tem większą sprawić radość. Udało jej się, bo gdy zszedłem, to mię aż Romuald wyśmiał, że ich tak witam, jak po dwuletniem rozstaniu.

— Cóż to, czy pana dziwi moje przyjście? — rzekła Marya-Regina wesoło — może to niegrzecznie w początku znajomości zaraz kogoś na drugi dzień odwiedzać? Prawda, że hrabinie Teodorze nie zrobiłam tak wielkiego uchybienia — przez cały rok ze czcią i uszanowaniem zbierałam się na oddanie wizyty, ale Helusia nie wzbudza we mnie tak wielkiej nieśmiałości, nawet pani Agnieszki bardzo się nie boję — i pocałowała ją w ramię z takiem jakiemś poczciwem uczuciem, z takim składnym wdziękiem, że ją dobra żona ślusarza jak swoję starszą córkę szczerze uścisnęła, a z jej strony ten uścisk, to już bardzo wiele znaczył, to jak gdyby ona, zwykle trwożna i nieufająca, zaświadczyła nim kilkoletnią przyjaźni zażyłość,

Jedną tylko chwilą prostej a serdecznej uprzejmości dla matki Marya-Regina więcej sobie zjednała Helusię, niż całą poprzedzającą grzecznością swoją.

— Piękna i dobra — rzekła, za rękę ją biorąc.

— Helusia?—dopowiedziała z uśmiechem Marya-Regina.

— Nie, ty piękna i ty dobra—a głos dziewczynki pełnym znaczenia dźwiękiem nad słowem „ty“ się zatrzymał. Od tej chwili zniknął wszelki przymus, wszelka narzucona przesadność. Drobiazgowe towarzyskie względy ustąpiły szczerocie rodzinnego pożycia. Każdy się czuł między swoimi, każdy życzliwym wśród życzliwych, a kiedy nas ślusarz zszedł wieczorem, to już tak w całe gronko nasze wniknęła ta poczciwa obcowania prostota i przyjacielskość, że on nawet nie spostrzegł się, iż w dom jego dwie, zupełnie jemu samemu nieznajome, przybyły osoby. Póki widno było, pani Agnieszka szyła, Helusia jakiś haft trzymała w ręku, Marya-Regina także naparła się, by jej co do roboty dano, a my oba z Romualdem i Karolek trzeci próżnując, innym w pracy przeszkadzaliśmy jak mogli. Wątpię też, czy haftu Helusi i obrąbka Maryi-Reginie bardzo wiele przez ten czas przybyło. Rozmowa zato płynęła nie z ust do ust, ale z duszy do duszy—o książkach, o ludziach, o świecie, o Bogu.

Teraz nie lubię tak rozmawiać — w rozmowie zaprędko się żyje... Lecz wtedy mimowolnie, im bardziej zmrok ciemniał, im więcej gwiazd na niebo występowało, tem cichszym głosem uroczystsze wymawialiśmy słowa — nareszcie przyszła chwila iż wszyscy zamilkli. Romuald pierwszy ogólną przerwał cichość.

— Według przysłowia anioł między nami przeleciał — czyście go widzieli?

— Ja widziałam — odpowiedziała Helusia i głos jej lekko zadrżał.

— Jakiż jest ten pani anioł? — zapytał powtórnie.

— Na ziemi trup, na niebie ona.

— I w tobie dusza twoja, co tak pamiętać umie— przydała Marya-Regina, tuląc do siebie objęciem ramienia drobniutką, wątłą i niby ciężarem tęsknej myśli przychyloną nieco dziewczynkę.

— Och! jaką ty wielką prawdę powiedziałaś wczoraj, Maryo-Regino! — rzekła ta ostatnia, przyciskając się do jej boku, jak ptaszyna maleńka; — są w życiu chwile smutnej wesołości. Mnie teraz na przykład tak dziwnie jest w sercu, jak gdybym śpiewać, albo płakać miała.

— To już śpiewajże lepiej— odezwał się ojciec— dawno cię nie słyszałem; czegoś mi brakuje na świecie. Za jednę z tych piosneczek, co to ci się roiły na ustach — pamiętasz Helusiu? dwa lata temu będzie — och! doprawdy, oddałbym zdaje mi się wszystko, co człowiekowi przeznaczonem jest dobrego usłyszeć jeszcze.

— Karolku, i ty poproś — rzekł Romuald do chłopczyka, którego na kolanach trzymałem.

Helusia usunęła się zpod ramienia Maryi-Reginy.

— Już wczoraj pan słyszałeś — rzekła z lekką wymówką—i odemnie i od siostry swojej, że na żadne prośby nie śpiewam; ja śpiewam, och! ja nie wiem dlaczego śpiewam czasem, a dlaczego czasem znowu śpiewać nie mogę i nie umiem, lecz wiem, że piosnka gdy przyleci, to ją muszę zanucić, a gdy odleci, to jej żadną siłą nie przywołam. Teraz na przykład dawno, bardzo dawno moją myślą, mojemi słowami nie śpiewałam już, chociaż boleść to pieśń, wspomnienie to pieśń, grób to pieśń—ja byłam niemą. — I wstała i zaczęła zwolna przechadzać się po ogródku, jak gdybyśmy jej wszyscy z oczu zniknęli, jak gdyby sama tylko z Panem Bogiem była. Nareszcie w ustroniu na zielonej trawce, niby słowiczek mały w gniazdeczku przysiadła sobie; zpoczątku próbowała nuty wielu różnych piosnek, a każdą przygiąć chciała do tych trzech wyrazów, które jak trzy zaklęcia na usta jej ciągle wra-

cały: och! wysoko, och! daleko, och! głęboko.—Zdaje się jednak, że wśród znajomych melodyj żadna nie miała dźwięku jej własnej myśli, bo na chwilę ucichła, a potem nie śpiewała już, lecz mową urywaną, bezładną rozmarzyła się, roztkliwiła. Słowo za słowem konało jej na ustach, a znaczenie tych słów ginęło w piersi tajemnicą. „Bóg, och! Bóg wysoko — i moje pieśni wysoko. Ale żałoba w sercu, nad grobem zapłakałam, wszystkie marzenia daleko, daleko! — Póki kochać można, żyć warto. — Lepiej z nią razem! och! głęboko, głęboko!“

I nagle głos jej przepłynął w ton dziwny, nierówny, lecz taki rzewny, taki szklisty, że go dziś jeszcze pamiętam, i słowa pamiętam także, bo to była sobie dziecinna jeszcze, choć smutna gra obrazków łatwych, najbliżej dokoła siebie uzbieranych, bo to był ten prawdziwy śpiew natury, ten śpiew, którym ludy w zaraniu życia swego nucą:

Gwiazdeczko najpiękniejsza
Gdzie ty świecisz?
Och! wysoko, wysoko!

Wietrzyku najwonniejszy
Gdzie ty lecisz?
Och! daleko, daleko!

Rzeczko moja srebrzysta
Gdzie ty płyniesz?
Och! daleko, daleko!..

Rzeczko moja najczystsza
Gdzie ty zginiesz?
Och! głęboko, głęboko!

Widziałam jak się orzeł
W niebo raz wzniósł
Och! wysoko, wysoko!

Słyszałam, że niezwiędły
Kwiat kędyś rósł,
Och! daleko, daleko!

Patrzyłam jak to łódka
Po falach mknie,
Och! daleko, daleko!

Mówiono mi że perły
Na morza dnie...
Och! głęboko, głęboko!

Wielka mądrość, myśl wielka
W górze świeci
Och! wysoko, wysoko!

Nadzieja niespokojna
Przez świat leci,
Och! daleko, daleko!

Młodość śmiała, zuchwała,
W szczęście wierzy,
Och! daleko, daleko!

Na dnie serca jak perła
Miłość leży
Och! głęboko, głęboko!

Gdzie są myśli, gdzie orły,
Gdzie gwiazdeczki?
Och! wysoko, wysoko!

Gdzie sny moje, niezwiędłe
Gdzie kwiateczki?
Och! daleko, daleko!

Gdzie dni młodych szczęśliwość
Gdzie spłynęła?
Och! daleko, daleko!

Gdzież młoda ukochana.
Gdzie zasnęła?
Och! głęboko, głęboko!

Wiem, że to były ostatnie wyrazy Helusinej piosnki, ale wtedy nie wiedziałem, kiedy się ona skończyła. Śpiewanie cichło powoli, stopniowo, i umilkło jakoby z wyczerpnionem tchnieniem śpiewającej.. a Marya-Regina siedziała przy mnie tak blizko, że czułem dotknięcie jej muślinowej sukienki, a niebo gwiazdami świeciło już tak jasno, że je nieledwie nawskróś przejrzeć można było, a listki drzew tak radośnie drżały w chłodzie wieczornym, po całodziennym upale, że tylko ucho nakłonić, to już wszystkie ich tajemnice słychać—a biała akacya tak woniała, upajała, że w skroniach żyły prędszem biciem drgały, że pierś byłaby całe powietrze i całą przestrzeń wypiła... Ach! wspomnieć sobie dzisiaj taką chwilę! Widzieć jak na dłoni, że to było, że to jest w możności ludzkiej, że to przystępne każdemu, tylko z serca iskrę wydobyć, a znów będzie... bo wszystko, wszystko w naturze zostało —niebo, gwiazdy, wonne drzewa— i pomyśleć sobie potem, że tylko serc kochających braknie, że niech nawet zmarli wrócą, to uczucie nie powróci... że niechaj cała przyszłość spodobnieje, to my na wieki odmienni... I pomyśleć sobie jeszcze, że mogło być inaczej, że człowiek stwarza swoje przeznaczenie... Och! doprawdy, z takiej myśli na pociechę zrobię — poemat o piekle!

Tymczasem przedłużała się chwila ogólnego milczenia; każdemu było dobrze w głębi jego własnego ducha, lecz wywiódł nas z jego przybytku słaby i przytłumiony głos Helusi, która ojca do siebie wołała. Ślusarz zerwał się prędko.

— Mój Boże! cóż ci to jest, Helusiu? — pytał z najwyższą niespokojnością, widząc że dziewczynka drżącemi rękoma jego rąk się ujęła i pomimo kilku daremnych wysileń, z miejsca powstać nie mogła.

— Nic, nic, mój ojcze—uspokajała go niby wesołym od śmiechu, a jednak znać było, że przerywanym z bezsilności głosem — a i mama niepotrzebnie tak się zaraz lęka! — dodała, widząc nadbiegającą ku sobie.— Mnie nic nie boli... nawet mi tak jakoś błogo i przyjemnie... tylko wstać nie mogę, żadnej mocy nie mam.— I wistocie Helusia zasłabła, jak dziecię maleńkie. Otoczyliśmy ją troskliwie, ślusarz podniósł z ziemi, matka na kolana wzięła, Marya-Regina roztarła jej dłonie, ja wody świeżej przyniosłem i nakoniec powoli zaczęła przychodzić do siebie.

— Moi biedni rodzice! — rzekła już trochę orzeźwiona—ja też bez przyczyny was nastraszyłam. Marya-Regina śmiać się ze mnie będzie, że tak pod byle wrażeniem jako trzcinka się łamię.

— Och! nie, ja śmiać się nie będę, ale ci zawsze rękę podam.

Helusi zdawało się zapewne, że poruszenie mówiącej zgodne było z jej obietnicą, bo sama także wyciągnęła dłoń swoję, lecz ta dłoń nie Maryi-Reginy spotkała uścisk.

Był to uścisk Romualda; młody artysta w milczeniu słuchał całej piosenki, w milczeniu potem patrzył na osłabłą, jak gdyby nie chciał, lub nie śmiał zbliżyć się do niej, aż dopiero kiedy ją ujrzał tak swobodnie odżywającą i tak dziecinnie u matki na łonie złożoną, kiedy go w pobliżu siedzącego lekko po włosach musnęło wyciągnięte Maryi-Reginy ramię, nie wiem co mu przez tę jego pełną dziwactw i pełną fantazyi przeleciało głowę, ale on dłoń Helusi pochwycił gwałtownie, trzymał ją chwilkę tylko, chwilkę krótką jak na jedno serca uderzenie — a przecież dziewczynka krzyknęła i mocniej się do matczynej piersi przytuliła.

— Miałeś słuszność, panie Ludwiku—mówiła do mnie Marya-Regina, gdy ją odchodzącą z bratem na pół drogi przeprowadzałem; — to jakieś nadzwyczajne, zadziwiające stworzenie ta Helusia, ale jej trzeba starań prawdziwie oględnej przyjaźni. Jej wiek jest

chwilą stanowczą w życiu, a jej życie zbyt już rozbudzone w tym wieku; jeśli zewsząd wydobywające się uczucia i myśli nie znajdą właściwego sobie żywiołu. to albo same na siebie oddziaływając. zatrują się. i byłaby szkoda wielka. albo oddziaływając na ciało, zatrują jego organizm, i byłby żal wielki.

Ucałowałem obie ręce Maryi-Reginy za to spostrzeżenie. które mi dla córki ślusarza zwiastowało tak szczere chęci i tak troskliwą opiekę. Dyament serca zaskrzył jak widać w promienne dobroci usposobienie...

Romuald (rzecz u niego osobliwsza) nic nie mówił, ale nazajutrz zrana przyniósł swoje skrzypce i grał na nich długo, długo — a najdłużej nutą Helusi piosenek. To też schodząc obadwa razem. ujrzeliśmy ją przez zielone sztachety ogródka, siedzącą w ubocznem zacienieniu na darniowej ławeczce. Bledszą była niż zwykle i tak zadumaną, że choć patrzyła na nas, żadnem skinieniem jednak nie odpowiedziała na pozdrawiający ją ukłon.

Od tego czasu. jeśli kiedy Romuald mnie samego przyszedł odwiedzić. a skrzypców nie wziął z sobą, to się zawsze tak skarżył na nudy, tak mi w książkach niepotrzebnie przewracał, że domyśliwszy się przyczyny całego niesmaku, raz mu niby przymusowym sposobem skrzypce zatrzymałem. i trzeba wyznać. że jego sztuka nic na tem nie straciła. Zrobił się zadziwiająco pilnym. po całych dniach grywał dzień w dzień prawie. a zawsze okno było otwarte. Małgosia nie mogła się wydziwić. że ów pan. co wtedy w nocy tak stukał okropnie. i skrzypić, jako mówiła. tak cudnie potrafi... a Helusia?... jej oczy złociały coraz żywszym blaskiem, jej twarz nabiegała coraz częstszym rumieńcem i zdawało się, że widomie rośnie. silnieje... wypięknia.

Jakże bo też silnieć i pięknieć nie miała, kiedy się dla niej zaczęło takie nowe, takie pełne życie. Marya-Regina otoczyła ją całym zbytkiem umysłowe-

go świata, a ja na wyścigi dostarczałem nowych książek i objaśnień. Wykształcenie dotychczasowe Helusi ograniczało się zasobami rodzimych zdolności i tem co od zmarłej przyjaciółki nabyła — dość gruntowną znajomością dziejów krajowych i arcydzieł wszystkich poetów naszych. Nieraz wprawdzie żartowaliśmy z tak bogatego ubóstwa, a Marya-Regina mówiła czasem, iż nie śmie podawać choćby i najzdrowszego pokarmu tej szczęśliwej istocie, co niby zaczarowana arabskich powieści księżniczka, perłami dotąd i brylantami żyła, lecz ta zaczarowana miała kiedyś sama czarnoksiężniczką zostać, trzeba jej było w najgłębsze tajniki sił uroku wniknąć — z uniesieniem też, z namiętnością rzuciła się do pracy.

Pani Agnieszka, widząc córkę zajętą, jeśli nie wesołą, to szczęśliwszą może, a bezwątpienia spokojniejszą w tym ruchu życia, niż pierwej w osłupieniu jej niemej boleści — pani Agnieszka, zwyczajnie jako matka, nie pytała o więcej. Lecz poczciwy ślusarz coraz to bardziej głową kręcił, bo miał on pewne, sobie właściwe pojęcia i wyobrażenia, do których pragnął bardzo szczęście swego dziecka zastosować. Prawda, że to była jeszcze wybrana i wśród wszystkich innych błogosławiona ojcowska natura, prawda, że jednak on kochał Helusię więcej nawet, niż wszystkie swoje przywidzenia, że nie byłby się jej nigdy i w niczem sprzeciwił, ale w gruncie serca bolała go ta wysoka mądrość, zakradająca się w nizkie progi jego domku, i raz, już nie mogąc wytrzymać, gdyśmy z Helusią nad kartami schyleni dalekie, niezliczone przebiegali światy:

— Ej dalibóg — odezwał się po trzykrotnem zakrztuszeniu — mnie się widzi, że wszystko co wy tam, moi państwo, gadacie, to się na nic a na nic biednej pannie ślusarzównie nie przyda.

Helusia nagle, jakby elektryczną iskrą uderzona, zwróciła się ku ojcu i patrzyła na niego z zadziwienia pytającym wzrokiem.

— A juścić że się nie przyda — ciągnął dalej rzecz swoję odważnie a prędko, jak gdyby chciał się pozbyć odrazu długim czasem nazbieranego ciężaru;— proszę pana, co ona z tem wszystkiem zrobi, jeśli da Bóg za mąż pójdzie, a będzie trzeba i mężowi w robocie dopomódz, i dom zagospodarzyć i dziatwę ochludzić?...

Zdawało się, że krew tryśnie policzkami Helusi, lub że przez szkło czerwono malowane promień światła padł na nią całą, taki mocny rumieniec oblał jej czoło, jej twarz, jej ramiona nawet.

— Jedno drugiemu się nie sprzeciwia—odpowiedziałem z uśmiechem. — Czyż to pan myśli, że same tylko zakonnice do nauk się przykładają?

— Jeśli nie zakonnice, to przynajmniej bardzo wielkie panie — rzekł znowu ślusarz; — ubogim licho zawsze było, jak po to sięgnęły. Na co później spojrzeć dokoła, to nudne, czego się tknąć, a nie przez rękawiczkę, to brudne. Tak, mój dobry panie, mierznie rodzinna zagroda, drażni nieokrzesane towarzystwo, całe życie na piersiach coś cięży i w ręku sztywnieje.

— Ale gdzież znowu? — odparłem, ciągle żartując—słowo daję poczciwego człowieka, panie ślusarzu, że w tej książce ani literki nie wypisano o tem, by się kiedy nudzić w domu, lub od mniej oświeconych ludzi unikać. Roztwórz ją pan w którem chcesz miejscu — i sam otworzywszy, przeczytałem: — „długie noce pod biegunem rozświeca tak zwana zorza borealna północna;“ a tu: „świat cały obraca się od zachodu ku wschodowi;“ a tu: „pustynię Sahary spiekłą i mało znaną przebywają karawanami na wielbłądach...“ No i proszę, w jakim to wszystko jest związku z rodzinną zagrodą, czy tam z ubóstwem lub z gospodarstwa zaniedbaniem?...

— Śmiej się pan, śmiej jak chcesz — odpowiedział może trochę rozdrażniony ślusarz — młody pan

jesteś, to i nie dziwota, że ci do śmiechu większa ochota, ale ja człowiek stary, różne już na świecie widziałem zdarzenia, lecz nie widziałem nigdy, żeby ślimak po powietrzu latał i żeby był szczęśliwym człowiek, co się nad stan swój wynosi.

— Gdyby tak był myślał każdy, panie ślusarzu, toby dotychczas wszyscy ludzie po lasach dziko żyli, bo przecież musiał być jakiś pierwszy, co się nad stan swój wyniósł i od innych mędrszym być zaczął.

— Co mi do tego, mój panie! Dano, komu dano; są bogaci i są ubodzy. Ja tam nie wiem, jak było przy początku, ale wiem, że teraz niewygodnie jest do izby salonowe meble wnosić.

— Wielka, bardzo wielka prawda, lecz ja też nie wiem dlaczego, jeśli kto ma już takie meble, nie miałby i o salon do nich się postarać?

— Zaraz powiem panu dlaczego, oto: bo wystarać się salonu, to zupełnie tak samo, jak wielki los na loteryi wygrać; zdarzać się to zapewne, ale jeszcze moje oczy tak szczęśliwego nie widziały człowieka.

— A ja teraz spytam się pana o jednę rzecz tylko: czy pan wierzysz w Boga?...

— Wierzę, mój dobry panie, i zgaduję zawczasu, co mi tam będziesz prawił, że Bóg nad wszystkimi jednaki, że przed Nim wszyscy jednacy, więc do wszystkiego równe mają prawo — bo to dziś w młode głowy jakaś osa wleciała i po mózgach kręci. Niech mię Bóg skarze, jeśli nawet już moich czeladników bąkających coś o tem nie słyszałem, a ja właśnie powiadam: Wierzę w Boga, więc wierzę iż z Jego dopuszczenia jest na świecie majster i czeladnik, bogaty i biedny, mądry i prostaczek, a w to wierzę najwięcej, iż oni wszyscy razem żyć mogą, każdy przy swojem, spokojnie i uczciwie, na coraz większą chwałę Bożą i na zbawienie własnej duszy.

— Nie, panie ślusarzu, wcale nie zgadłeś mojej myśli i odpowiedziałeś sam sobie, a nie mnie. Ja py

tałem czy wierzysz w Boga dlatego jedynie, bom chciał zapytać później, w jakiego-to Boga wierzysz?

— W dobrego, mądrego i wszechmocnego, a z tej wiary mojej wprost wypływa, że kiedy Bóg jest dobry, to mi pewnie na dobre stan mój obmyślił, a kiedy jest mądry, to wie najlepiej dlaczego, a kiedy jest wszechmocny, to ja temu nie poradzę. Nic nie poradzę, mój panie, ino mogę zgodzić się z wolą Jego przenajświętszą, co będzie cnotą moją, lub też sarkać na nią i wywijać się, co będzie grzechem moim, a grzech czy cnota, mnie to znaczy nie Jemu, bo mnie piekło lub niebo, a On wiekuisty i wola Jego będzie zawsze jako w niebie, tak i na ziemi.

— My zaś będziemy w niebie tylko, zgadzając się z tą wolą Jego przenajświętszą?... Wszakże sam powiedziałeś, panie ślusarzu. Otóż wola Jego od początku była, a wiemy to dobrze obadwa, była mówię, żeby stworzyć człowieka na obraz i podobieństwo Swoje. Jakim jest Bóg jego, takim człowiek być się stara. Nasz chrześciański Bóg jest dobry, bo miłuje— mądry, bo wszystko wie i wszystko zna — wszechmocny, bo wszystko zrobił. My więc powinniśmy być dobrymi, kochać jako On kocha, kochać coraz więcej, od tej piersi, która nas nagiem dziecięciem przytuliła, aż do tej ziemi, w której nas trupem kiedyś złożą. Miłość nasza ma coraz wyżej sięgać i coraz niżej zstępować, póki nie obejmie i nie przeniknie wszystkości swojej, jako miłość Boża wszystkość świata całego przenika i obejmie. To jest jedno podobieństwo...

— A chociaż je pan piękniej niby wygadać potrafiłeś — przerwał ślusarz — ja je dawniej znałem już dobrze, do tego ksiąg niepotrzeba; dlatego-to mówiłem, że każdy w każdym stanie człowiek uczciwie żyć może, bo w każdym może kochać bliźnich, być użytecznym, sprawiedliwym, ręki dołożyć i głową nadłożyć przy wydarzonej sposobności. I może wtedy z Bogiem żyć wiecznie.

— Och! niezawodnie może ten, co kocha. Bo niebo jest nieskończonością miłości. Ale będąc z Bogiem, trzeba być jako Bóg, a Bóg jest mądry. Bóg jest wszechwiedzą i wszechpoznaniem, to też w człowieku nie samo serce bije; nad sercem jego mózg jest pod czaszką, a w mózgu tym niewyczerpana chęć wiedzenia i poznawania, która mu prawem najwyraźniejszem dowiadywać się i poznawać każe. Ma człowiek oczy by patrzył, a światłość dla wzroku jego w powietrzu rozlana; ma ucho, żeby słyszał, a dźwięki odzywają się dokoła; ma pragnienie, żeby pił, a płyną po wszystkiej ziemi strumienie wody rzeźwiącej; ma wszelkie potrzeby, żeby je zaspokajał, a na zaspokojenie natura wszelkie złożyła żywioły. Cóżbyś rzekł, panie ślusarzu, o tym, któryby dobrowolnie się oślepił, lub o tym, któryby słuchu się pozbawił, lub o tym któryby, choć spragniony, pić nie chciał? Cobyś ty rzekł o nim, to ja powiadam o wszystkich, którzy usuwają lub dają zprzed siebie usuwać naukę i poznawanie. Poznawanie to, coraz jaśniejsze, coraz bliższe zachwycenie w mądrości Pańskiej, to powtórne wniebowzięcie nasze. Świadectwo człowieczeństwa naszego, drugie podobieństwo z Bóstwem. Nie przeczysz pan, że ręce są do pracy, a chcesz przeczyć, że rozum w człowieku do kształcenia i użytku jego dany mu jest; nie przeczysz, że oko widzi, ucho słyszy, język smakuje, a zdaje ci się, że pamięć, wyobraźnia, pojętność są bezcelne i przypadkowe władze, których zaniechać można bez grzechu. Samobójstwo na ciele masz bezwątpienia za wielką zbrodnię, a samobójstwo na rozumie zdaje ci się jakimś rozsądkowym obowiązkiem. . jak gdyby nie było starciem i zatraceniem części ducha naszego, wyparciem się drugiej osoby z przenajświętszej Trójcy.

— O Jezu Chryste! co też to pan mówi? a przecież gdyby tak było koniecznem uczenie się, jak życie poczciwe i miłość bliźniego, toby Pan Bóg dał wszystkim równe zdolności, jak dał wszystkim możność kochania równą,

— Lecz jako wszyscy sercem ku jednemuż nie zwracają się przedmiotowi, tak i zdolności każdego inny biorą kierunek. W miłości ogółu, świętej jak Bóg i wielkiej jak Bóg, ileż to jest miłości jednostkowych, drobnych, rozpryśniętych niby promyki słońca po rosy kropelkach, a wszystko święte i Boskie, gdyż wszystkie z jednego Boga, jak promyki z jednego słońca. Tak też we wszechwiedzy ogółu leży drobiazgowa i rozmaicie stopniowana wiedza pojedynczych ludzi. Ten kieruje dziejami narodów, ten gwiazdy liczy po niebie, ten ziarnka żyta na ziemi — a dla żadnego nie idzie o to, by stanął u wyznaczonego innym kresu, by umiał *tyle* a *tyle*, by znał to i tamto; lecz by z tych, które w nim są zdolności, wzbił się na najwyższość swoję, by był najświadomszym, najuczeńszym, najmędrszym, najpodobniejszym do Boga, nie zpomiędzy innych ludzi, ale w stosunku do samego siebie, o ile tem wszystkiem najwięcej być może. Do tego *najwięcej* dążyć on powinien wszelkiemi siłami i wszelką sposobnością, bo mu nic w naturze rzeczy na przeszkodzie nie stoi; to co stoi czasem, to jest śmiertelne jak on, błędne jak on, lecz nie wszechmocne jak Bóg. Och! nie — Bóg nasz nie jest wszechmocnym dlatego, byśmy w martwej pokorze głowy nachylili i rzekli sobie: — „My nic nie poradzimy—tak jest—to wola Jego przenajświętsza.“ —Nie, o ile z wniosków ludzkich wypływa, że cośby mogło nie być, o tyle to co jest samowolą ludzką, nie prawem Bożem; prawo Boże i wola Boża nie zmienia się z lada chwilką maleńką. Że człowiek ma serce i rozum, że oboje kształcić i rozwijać powinien — to prawem i wolą Bożą jest, gdyż tak było na początku i tak będzie w nieskończoność. A nikt sobie wyobrazić nie może nawet istoty ludzkiej bez serca i rozumu. Lecz że ty dzisiaj, panie, ubogim jesteś ślusarzem, to jest przypadkowością tylko, bo wszakże możesz sam siebie pojąć zamożnym, zbytkującym; przy innem wychowaniu możesz przypuścić że byłbyś urzędnikiem, ministrem, generałem, i jako

urzędnik, jako wódz, nie zmieniłbyś przecież twojej człowieczej natury, byłbyś zawsze człowiekiem, a bez rozumu i serca chyba musisz przypuścić, żebyś zmienił gatunek swego istnienia, lub żebyś nie był wcale. A i to, że dzieciom twoim może być spokojniej, jeśli za szybę tego dworku nie przejrzą, to zbieg okoliczności jedynie, bo mogłyby i tutaj cierpieć, tak, jak mając wiele dobrego uczucia w piersi, wiele silnego przekonania w umyśle, wiele wytrwałości w postępowaniu, mogłyby i najdalej i w dniach największej zawieruchy przez świat szczęśliwie wędrować sobie—wszystko to zawisło od nich i od drugich, wszystko to jest więc ludzkiem nie Boskiem. A czy wiesz, panie, dlaczegośmy to zupełnie na obraz Boga stworzeni? Oto dlatego, żebyśmy wszechmocą naszą nad ludzkiemi zapanowali rzeczami, żeby tak jak chcemy według skłonności, tak jak potrzebujemy według zdolności, urządzili wszystko naokoło siebie, nie zaś nas samych, prawdę Bożą w nas urządzali i stosowali do wszystkiego co naokół jest. My wszechmocni, więc my powinni to co miłość poczęła, to co mądrość rozświeciła w rozumie stwarzać, jako Bóg stwarza wszechmocnością swoją. My wszechmocni, więc my powinni ze złem, z przypadkiem i okolicznościami, z losem, z tem wszystkiem co nam ku dobremu przeszkodą, my powinni silnie ująć się w zapasy, jako Izrael z niewidzialnym aniołem przeciwnikiem swoim, i powinniśmy kruszyć, łamać, targać, byśmy w niebo wstąpili jako Chrystus, wzór nasz i Zbawca nasz.

Po tych słowach milczenia chwilka przepłynęła. Ślusarz nic nie mówił, rozważał, aż nakoniec kiedy zbliżył się do mnie z wyciągniętą ręką, jakieś poczciwe rozrzewnienie na twarzy jego widać było.

— Mówisz jak z książki, jak z książki, mój dobry panie—rzekł, opierając się przyjacielsko na mojem ramieniu

— Jak z przekonania raczej — podchwyciłem z uśmiechem.

— No, to pan masz święte jakieś przekonanie— odrzekł mi znowu — ale... ale nie dziw się staremu — ja ojcem i mnie zawsze o to najwięcej chodzi, czy córka szczęśliwą będzie.

— Mnie się zdaje, że będzie przy naukach—odezwała się Helusia swoim cichym a pewnym i stanowczym głosem—będzie. mój ojcze, przy naukach, bo nią bez nauk nie była...

I szły dalej nauki.

X.

W pierwszych chwilach nie mogłem się dość nacieszyć moją uczennicą; pojętna i przenikliwa, zgadywała prawie ogólne udzielonych jej nauk zasady; lecz zwolna, gdyśmy kolejno do szczegółów zstąpili, gdy nam przyszło pracować nad tem, co w nauce raczej sposób jej nabywania, niż treść właściwą stanowi, zdawało mi się, że zapał Helusi ostygał i uwaga prędzej się męczyła. Nie było to wcale z jej strony dziecinnem roztargnieniem, brakiem silnej woli lub rozumowego zastanowienia, ale raczej zdawało mi się niezwykłą jakąś niecierpliwością i nadmiarem rozkołysanej wyobraźni. Nieraz, gdy ja wszelkiemi siłami starałem się systematycznie ułożyć podrzędnych zdarzeń dziejowych wątek, Helusia pochwyciła z nich obrazek tylko jaki, z obrazka wysnuła legendę, z legendy tysiączne następstwa, o których pewno ani się nawet śniło historykom, a potem łączyła je z teraźniejszym wypadkiem i przerzucała znowu w tak daleką przyszłość, żeby jej chyba aż poza nadzieją, aż poza marzeniem szukać było potrzeba. Nieraz gdy jej mówiłem o naukach przyrodzonych lub geografii, ona przerywała i gmatwała wszystko najdziwaczniejszem przypuszczeniem, najmniej spodziewanym wnioskiem, i ciągnęła mnie za sobą daleko z nadzwyczajności w niepodobieństwa, z niepodobieństw w swoje własne roidła. Czasem bawiły mnie jej umysłowe zuchwalstwa, ale czasem odzywała się we mnie jakaś pedagogiczna

sumienność i cierpiałem nad tem, że ich nie mogłem powściągnąć, lub właściwiej skierować. Jednego dnia szczególniej owe rzuty jej niespokojnej myśli, owa jej ciągła dążność ku ostatecznościom aż zastraszyły mnie prawie. Wykładałem jej jaknajpoważniej obroty ziemi i księżyca. Słuchała mnie bardzo pilnie, a ja zawierzyłem wyrazowi jej twarzy, pełnemu głębokiej uwagi, zawierzyłem jej spojrzeniu, którem bardziej niż uchem zdawała się słuchać wyrazów moich, zawierzyłem nakoniec ważności samego przedmiotu i rozgadałem się o zwrotnikach, przesileniach, kwadrach, pełniach, kołach takich, kołach owakich, i kreśliłem figura po figurze i kiedy pewny byłem, że Helusia wszystko w najlepsze pojmuje i wszystkiem najbardziej jest zajęta, ona właśnie w pół słowa przerwała mi najuczeńsze dowodzenie i rzekła zwolna, jak gdyby w dalszym ciągu wielu poprzednich myśli:

— Nie, ja wolę wierzyć, że księżyc jest pierwotnym stanem przyszłej planety, przyszłego słońca.

Otworzyłem wielkie oczy i przez chwilę z zadziwienia oniemiałem prawie.

— A to-bo mówiłeś, panie Ludwiku, że księżyc jest martwą, skalistą, bezwodną masą podobno. Mnie się aż smutno zrobiło! Jak to być może, aby w przestrzeni, w tej pięknej nieba przestrzeni, wśród tych wszystkich iskrzących życiem gwiazdeczek, mogły toczyć się ciała suche i puste, bez istot coby myślały, bez głosu coby się z nich odezwał choć jednym wyrazam w tej wielkiej pieśni całego świata? Smutno mi się zrobiło, bo sobie wyobraziłam zaraz, że księżyc był kiedyś do ziemi podobny i żyli na nim ludzie, ale ci ludzie byli źli i występni, ci ludzie nie ucieszyli się nigdy pięknością swego dziedzictwa, nie zapłakali może nigdy łzą, co z serca płynie, i dlatego ci ludzie wszyscy wymarli, i księżyc planeta ich umarł i teraz nad ziemią naszą w nocy tylko jak próchno świeci trup jego—trup-groźba. No, przyznaj sam, panie Ludwiku, że to okropnie! Okropnie, bo jeśli przypuścimy możność takiego potępienia, to gdzież nadzie-

ja dobrych i nagroda wszystkich męczenników? To oni zginą dla zbawienia ziemi, a następcy ich, zbrodniarze, wyplenią wszystkich poświęceń ziarna i ziemię na królestwo śmierci wydadzą. To więc ma słuszność ten, który wątpi, i sprawiedliwym jest ten, co w niepowodzeniu rozpacza? To więc, panie Ludwiku, przed nami przyszłość stoi niby osłonięte naczynie, z którego można zły lub dobry los wyciągnąć? To więc szczęście i doskonałość nie są już koniecznością i niecofniętem prawem mądrości Bożej? Och! przyznaj sam, że to byłoby okropnie.

— Ależ panno Heleno, panno Heleno! — przerwałem — czyż teraz nam o takie rzeczy chodzi? Znowu nie myślałaś o tem, co ja mówiłem, tylko o tem, co ci samo do głowy przyszło; w nauce nie można sobie tej przyjemności marzenia pozwalać. Nauka jest świętą, piękną, ale poważną i trudną pracą; kto jest dość szczęśliwy, aby po nią sięgnął, ten jako odpłatę swojego szczęścia wielkie przyjmuje obowiązki, musi mieć cierpliwość i wytrwałość do końca. Nie wolno mu się jak cackiem bawić uzbieranemi przez innych wiadomościami, bo ci inni mieli ciężką do przebycia drogę, nieraz zakrwawili i ręce i serca, żeby nam jednę kartkę w uczonej księdze dopisać; a my, panno Heleno, mieliżbyśmy potem tę kartkę czytać bez zastanowienia, bez poszanowania żadnego, mieliżbyśmy ją czytać na to jedynie, żeby się nią jak bajką piastunki rozmarzyć?... Toć to właściwie byłoby okropnem dopiero. Nie, panno Heleno! wierz mi, trzeba się koniecznie z tej nieszczęśliwej skłonności wyleczyć, bo inaczej— dodałem z lekkim uśmiechem—chybabyś mię nawróciła do tego dawnych mędrków przekonania, że nauka jest ważną tajemnicą, której nie trzeba udzielać dzieciom, bo jej nie pojmą, a kobietom, bo jej nie uszanują.

Helusia z równem zadziwieniem patrzyła na mnie, jak zpoczątku ja na nią patrzyłem.

— Nie uszanują? — rzekła wreszcie.— Albożja jej nie szanuję? Albož w naukach wszystkich może

być ważniejsze zagadnienie, jak to, które mi podczas dzisiejszej lekcyi na myśl przyszło, o końcu wszechrzeczy, o całej ziemi naszej przeinaczeniu? Mnie się zdaje, że ja się na to uczę, żebym właśnie z pewnością o podobnych rzeczach wiedzieć mogła, żeby mnie potem nic w wierze mojej nie zachwiało. Wyobraź pan sobie tylko: gdyby mi też przypuszczenie o stopniowem zamieraniu ciał niebieskich na zawsze zostało w głowie, jakabym ja nieszczęśliwa była. Wszędzie z sobą nosić tę myśl, że to nas spotkać może, przy każdym grobie wspominać sobie ogólniejsze zniszczenie, w każdem nieszczęściu widzieć przepowiednię, w każdym występku innych ludzi czuć niby pchnięcie w przepaść zatracenia — ach! któżby z taką trucizną w głowie i sercu chciał żyć, lub odważył się ukochać co kiedy? Ja nie, i dlatego było mi czas jakiś aż smutno, aż zimno, lecz też niedługo na pociechę do prawdziwszych trafiłam wniosków. Wspominałeś pan kiedyś, że po nieskończonej przestrzeni krążą masy światłości i eteru, domyślne przyszłych światów pierwiastki. A więc światy się tworzą, a kiedy tworzą, to ze stanu mniej doskonałego przechodzą w coraz doskonalszy. Doskonałość, panie Ludwiku, wszakże to jest pełnia życia, ruchu, siły, potęgi. Więc i światy nabierają coraz więcej życia, ruchu, siły, potęgi. Księżyc może jest jeszcze w początkach wiekuistego istnienia swojego, ale kiedyś spłynie mu z wysokości woda ożywcza, grunt jego wyrzuci na wierzch wszystkie skarby swoje i księżyc będzie piękny, jak ziemia już jest piękną, i księżyc będzie planetą, będzie miał swoje księżyce, a nasza ziemia nawzajem zsilnieje, zpotężnieje, oderwie się od niewolniczej, służebnej kolei swojej i będzie słońcem.

Prawda, że kiedym słuchał tych cudactw, miałem lat dwadzieścia cztery i nieszczęśliwy zwyczaj patrzenia często także w niebo i na ziemię nie astronoma i nie matematyka wzrokiem, więc też zamiast cobym miał przykładnie skarcić niesforną dziewczynę, która w najpiękniejszy porządek wprowadziła takie zamie-

szania i która ciałami niebieskiemi, jak gałkami z chleba, pozwalała sobie podrzucać według dziecinnej fantazyi wyskoków, zamiast cobym miał zgromić surowo. i milczenie nakazać i znów o wszystkich kołach od początku zacząć mówić, ja się śmiać zacząłem i spytałem:

— A słońce czem będzie?

Helusia w dobrej wierze namyśliła się chwilkę i odpowiedziała:

— Och! to jest dzisiaj tajemnicą, bo dzisiaj nam bardzo wiele rzeczy tajemnicą, ale na słońcu muszą wiedzieć myślące istoty. jaki jest wyższy stan doskonałości, jakie są światy od słońca piękniejsze.

— Ha! więc i my — rzekłem — i my ludzie, na owem przyszłem słońcu żyjący, dowiemy się także tego.

— A dlaczegóż pan się śmieje ze mnie? — zagadnęła mnie bardzo poważnie Helusia, widząc, że na to przypuszczenie serdecznie i głośno się rozśmiałem.

Nie powiedziałem jej, że się śmieję z tak przedalekiego proroctwa, ale chcąc wszystkie jej urojenia na jaw wyciągnąć, nowem pytaniem podsyciłem jej działalność.

Helusia ze spokojnością przekonania zapuściła się w Swedenborskie swoje nadzieje i systemata, a w coraz żywsze farby, w coraz połyskliwsze blaski stroiła te widziadła przemiennej fantazyi. Zapomniałem, że to jest lekcya geografii matematycznej. Skusiły mnie powiastki młodej marzycielki i rozgawędziłem się z nią w najlepsze o niebieskich migdałach, o gruszkach na wierzbie. Czas zszedł nam bardzo miło, lecz gdyśmy się rozeszli, gdy sam do siebie na górę wróciłem, wróciła i rozwaga lepsza.

Do czegóż mógł poprowadzić Helusię ten nieszczęsny nałóg opuszczania prawdy dowiedzionej, dla upędzania się za dowolnemi wyobraźni wnioskami? Do czegóż owo lekceważenie naukowych pewników, przy ciągłej potrzebie nadzwyczajności, ideału i inności? Zaiste, zgubny to był kierunek. Jeśli przy podobnem

usposobieniu myśl czyja nie zahartuje się nabywaniem wiadomości stanowczych, arytmetycznie uporządkowanych, jeśli nie wzmocni całym rozsądkiem naukowej systematyczności, to zawsze wkońcu przesili się w nadnaturalny mistycyzm i zesłabnie w bezcelowej nieużyteczności. lub się starga i spląta w natężeniu szaleństwa. Wiedziałem, że na tej drodze nie mogłem dłużej zostawić Helusi. a teraz wiedziałem z doświadczenia ostatniej lekcyi, że mnie samemu trudno będzie w dokonaniu tego przedsięwzięcia wystarczyć. Na skargę więc i naradę do Maryi-Reginy poszedłem.

U Maryi-Reginy zastałem gości, ale zupełnie nieznajomych.

— Dobre przeczucie wiodło pana tutaj—rzekła, przedstawiając mnie dwom kobietom i młodemu mężczyźnie, który obok mnie siedział.—Od dzisiaj ci państwo są najbliższem pana sąsiedztwem, gdyż właśnie ostatecznym aktem nabyli Bystrowolę, która, jak mi sam pan mówiłeś, ćwierć milki zaledwie od waszego Krzywca leży.

Pierwej jeszcze słyszałem, że pan Kazimierz **** układał się o kupno tej majętności i słyszałem także, iż to był człowiek młody, ale już bardzo szanowany w obywatelstwie, bardzo światły i przy miernym majątku bardzo znaczne w towarzystwie zajmujący stanowisko. Pierwszy rzut oka potwierdził mi to zdanie ogółu. Trudno mógłby sobie Lawater sam życzyć pogodniejszego czoła, większej powagi w każdym ruchu, więcej łagodności w przeciągłem niebieskich oczu spojrzeniu. Mnie, com w sobie czuł zawsze jakieś usposobienie do fizyognomicznych spostrzeżeń, odrazu prawie ujęły czysto słowiańskie rysy jego twarzy lekko opalonej, ale zawsze raczej białej niż rumianej i tworzącej cień niejako z odsłoniętemi skroniami, które, pod czapką mniej na działanie słońca wystawione, zachowały zwykłą cerę swoję i przebijały siatką żył błękitnych, jakby tajemniczemi znakami głęboko ukrytych myśli. Rozmiary wszystkich części pięknej jego głowy nie zgadzały się wprawdzie z najsurowszemi

rysunku zasadami: obwód nie był czystym owalem, nos się charakterystycznym kształtem nie odznaczał i wogóle dla patrzących wzrokiem ciała tylko twarz jego była sobie twarzą bardzo zwyczajną, wydatnie kościstą, trochę może zakrótką, słowem twarz zaledwie przystojnego mężczyzny; ale wyraz owej twarzy był tak pełen spokojnej godności, usta jej, choć bardzo rzadko śmiejące się, miały wdzięk tak wymowny, tak w nieruchomości swojej nawet do słodkiego uśmiechu podobny, ciemna oprawa jasnych oczu była tak czysto i ślicznie zakreślona, też oczy same z poza długiej rzęsy tak zwolna płynęły nieprzenikliwym, badawczym, lecz można powiedzieć nieledwie ciepłym, orzeźwiającym promieniem, że kto z duszy w duszę patrzył na nie, ten musiał przyznać, iż odebrane wrażenie zupełnie odpowiada wrażeniu, jakie zawsze na niezepsutej naturze widok prawdziwej piękności czyni, Kazimierz więc, choć mniej kształtnych rysów, choć nawet mniej okazałej postawy, bo szczupły dosyć i średniego wzrostu zaledwie, pięknym mi się wydał wpierw nawet, nim zdołałem piękność jego ocenić i wytłumaczyć sobie. Pośpieszniej wyciągnąłem moję, a silniej jego rękę ścisnąłem zaraz i tak coś poczułem w sercu, jak gdybym się niespodzianką jaką rozradował, a czemużbym też i na prawdę rozradować się nie miał? Wiedziałem o nim, że prawy i szlachetny człowiek; ze spotkania podobnego toć to zawsze radość w życiu! Obietnica dobrych zdarzeń, lub wrażeń na przyszłość.

Wbrew wszelkim towarzyskiej grzeczności zasadom, później dopiero po przywitaniu Kazimierza skłoniłem się przed siedzącemi opodal kobietami; lecz te kobiety, choćby też nawet były w stanie na podobne drobnostki uważać, jeszcze, o ile mi się zdaje, byłyby mi chętnie przebaczyły mimowolne uchybienie przez wzgląd na przyczynę jego. Starsza z tych kobiet, w podeszłym już wieku, z białemi jak mleko włosami, gładko po obu stronach twarzy pod skromnym czepkiem zaczesanemi, była babką Kazimierza; druga zaś,

choć młodsza, jednak zawsze niemłoda już, ciotką jego. Obiedwie one z Kazimierzem mieszkały ciągle i według tego, jakem się później dowiedział, od dzieciństwa osieroconego, wychowały troskliwie i kochały każda po swojemu, ale serdecznie, z przeniesieniem na jego głowę całej masy egoizmu, który każdemu z ludzi w mniejszej lub większej części wydzielanym bywa. Szczęściem że ich część mniejszą była właśnie, więc też ich miłość nie zepsuła młodego wychowanka. Póki się dobrze z całą tą rodziną nie zapoznałem, póty nie mogłem wytłumaczyć sobie łączącego ją stosunku, który się w tak miłą zgodność ułożył i w tak piękne, pożyteczne przesnuł życie. Już-to wnuk z babką bardzo dobrze mógł się w każdej chwili porozumieć; łączyło ich nawet rysów wielkie podobieństwo. Z twarzy głębokiemi zmarszczkami pokrytej, zupełnie Kazimierzowe błękitne i pełne uczuciowego życia spoglądały oczy. A chociaż starość pochyliła nieco dość kształtną kiedyś postawę, znać jednak było, że to nie jest ta starość, która ciąży i ciśnie ku ziemi, ale ta, która nad nią spokojnie dobrem wspomnieniem rozmyśla. Ot może teraz jeśliby kto przeczytał słowa, które mam napisać właśnie, możeby mi wielkie zarzucił uprzedzenie, lub wielką narzucił śmieszność, a jednak to jest prawdą według mojego sumienia, że nigdzie kobiety nie mają tak pięknej, tak bogatej myślą i sercem starości, jak w naszym kraju; niedołężna zgrzybiałość rzadkiem jest u nas zjawiskiem; gdy przeciwnie, w wielu rodzinach, w każdej prawie okolicy spotkać można owę dobrą babunię, albo owę cioteczkę całej młodzieży, której ona wymaganiami nie odstręcza, która raczej przyciąga pobłażaniem większem od tego, jakie świat teraźniejszości dać może. Taką babunię wszyscy z drugiego pokolenia od najstarszych do najmłodszych z poszanowaniem w rękę całują, odwiedzają niby z wspólnie przyjętego rodzinnego obowiązku, a gdy się komu zdarzy w domu ją swoim przyjmować, to jest taka szczera radość, taka suta gościnność, jak na uroczyste święto. Nietrudno mi też było

zrozumieć, że z podobną babką wnuk podobny szczęśliwie żyć może na dobry przykład i na pociechę ludziom wątpiącym o możliwości szczęścia przy schyłku dni swoich. Ale wśród nich obojga nie mogłem zrozumieć tej ciotki, która tam nie zdawała się przeszkadzać niczemu, a zdawała się jednak do uzupełnienia dobrego być najniezdolniejszą. Niech sobie kto wyobrazi wysoką, chudą, z czarnemi jak węgiel oczami, z czarnemi jak oczy włosami kobietę, która ma nos orli, na wierzchniej wardze wyraźne wąsy, po lewej stronie twarzy ogromną brodawkę, a minę taką surową, jak połajanie. Kobietą podobną była ciotka Kazimierza, w przydatku jeszcze niezamężna panna Irena. Bardzo jest chwalebną rzeczą zaiste o nikim z pozorów nie sądzić i pewnie ja więcej niż ktobądź inny do tej maksymy się stosowałem; dla mnie twarz była piękną lub brzydką według znaczenia, jakie na niej duchowe wyrobienie odbiło; lecz twarz panny Ireny zdradzała taką cierpkość, a znowuż cały sposób postępowania Kazimierza względem niej taką z najtkliwszem przywiązaniem połączoną uległość, że zupełnie na czysto sobie tego z logiki mojej wyprowadzić nie umiałem.

Tymczasem gdy ja tak z głębi duszy najogólniejsze zbierałem spostrzeżenia, rozmowa szła o nowo nabytej włości, o sąsiedztwach, o porównaniach tych i owych okolic, stopniu ich stosunkowej oświaty.. Nakoniec Kazimierz, żartobliwie zwracając się do mnie:

— Pana obrazić nie powinno—rzekł z pół-uśmiechem—bo gdy jeździłem Bystrowolę oglądać, nie było go już przeszło od dwóch miesięcy w Krzywcu, ale jednak muszę wyznać szczerze, że o ile mi się zdarzyło z różnemi domami zapoznać, o tyle znacznie przeważającą liczbę wykształconych kobiet, niż wykształconych mężczyzn spotkałem.

— To się spotyka i w wielu innych okolicach — odezwała się panna Irena głosem tak stanowczym, że choć dźwięk jego był dosyć miły, przecież zbyteczna pewność jakby jakie uchybienie raziła. Nie wiem czy

dlatego, że zdanie podobne z ust panny Ireny wyszło, czy też że jeszcze byłem pod wpływem owej spełzłej na gawędce Helusinej lekcyi, ale jaknajniedorzeczniej się wyrwałem:

— Dlaczegóż niema się spotykać, kiedy wykształcenie kobiet jest tak łatwe do nabycia, że je każda osiągnąć może. Dla nas mężczyzn zawód trudniejszy i utrudnione środki, nic więc dziwnego, że mało który widocznie naprzód postąpi.

Panna Irena, zamiast odpowiedzi, głośno rozśmiała się tylko i nie raczyła odezwać się nawet, jako na wielkie głupstwo, jej sprostowania niewarte.

Bardziej niż ów niegrzeczny śmiech panny Ireny, bardziej niż jej pogardliwe milczenie, och! bardziej daleko ukarało mnie zdziwione spojrzenie Maryi-Reginy, z którem się spotkałem w tej chwili; już byłbym nie wiem co oddał, już byłbym chciał, zdaje mi się, żeby mnie panna Irena jaknajokropniej zburczała, bylebym tylko mógł przerwać milczenie, które po wymówionych przezemnie słowach jak na złość między nas padło. Był-to prosty przypadek tylko. Panna Irena nic nie mówiła, bo nie chciała. Marya-Regina nie mówiła, bo jej się zdawało, że ja chyba na przekorę się odezwałem i że mi tylko panna Irena odpowiedź jest dłużną. Babka, czyli jak ją też często zwano, pani pułkownikowa, nie mówiła, bo może i dość słuszną znalazła moję uwagę. Kazimierz nie mówił, boć to napozór nie jego była sprawa, a ja się przez cały ten czas rumieniłem, jak winowajca.

— Według mego zdania — odezwał się Kazimierz — trudność nie jest w tym względzie dostatecznem usprawiedliwieniem. Jeśli przez ukształcenie miało się rozumieć najdoskonalszy postęp w zawodzie odpowiednim przeznaczeniu mężczyzny lub kobiety, to zbyt prędko zawyrokowałeś pan, że nam się trudniejsza część dostała: ja przynajmniej nie odważyłbym się powiedzieć, czem snadniej być można, czy biegłym prefesorem, czy ujmującą wdziękiem kobietą, czy odważnym generałem, czy cierpliwą żoną?

— Ależ ja pod żadnym względem nie chciałem tych dwóch doskonałości porównywać z sobą — rzekłem zupełnie już przekonany o bezzasadności mego twierdzenia, lecz chcąc jeszcze ostatnią wymówką mylność jego osłonić—mówiłem jedynie o powierzchownem, towarzyskiem ukształceniu, do którego my ani czasu, ani może sposobności nie mamy.

— Ciekawam, co ten pan powierzchownem ukształceniem nazywa?—raczyła się wreszcie odezwać panna Irena. — Ukłon, taniec, czystą francuską lub angielską wymowę? Bóg widzi, tam gdzieśmy byli nie tańczono wcale, nie paplano po francusku, nie świstano po angielsku. Rozmawialiśmy w naszej codziennej polskiej mowie o literaturze, historyi przeszłej lub... teraźniejszej, a nie zdaje mi się, żeby to do powierzchownego ukształcenia należało. A jeśli pan jest tego przekonania, to znowu nie wiem z jakiego powodu uznaje nabycie pewnych w tym względzie wiadomości łatwiejszem dla nas, niż dla mężczyzn?

Szczęściem że panna Irena z taką nawałnicą wpadła na moję głowę, gdyż w tejże chwili, jakby pod zimną wodą, odzyskałem całą przytomność. Najpierw przyszedłem do uznania, że przeciwnicy moi mają słuszność, potem jakby objawieniem przeczułem i rozradowałem się, że porażka moja zasępiła na chwilę śliczną twarz Maryi-Reginy, potem z szczerością najczystszego sumienia przyznałem się do błędu i przyczynę jego opowiedziałem.

— Nie będę już dłużej złej sprawy bronił — rzekłem pokornie do panny Ireny. — Istotnie w moich rozróżnieniach trudnego i łatwego ukształcenia sensu za trzy grosze niema; ale bo też przyznam się państwu, że zrazu nie wam ja odpowiadałem, tylko dręczącej mię od rana myśli, i dlatego jedynie że z nią na skargę do panny Maryi-Reginy przyszedłem, dlatego że ją na wierzchu miałem, przy pierwszej zdarzonej sposobności musiałem się z nią w najniedorzeczniejszy sposób wygadać. Na prawdę zaś rzeczy tak się mają:

daję lekcye młodej czternastoletniej dziewczynce, bardzo wielkie okazującej zdolności.

— Jakto, pan lekcye dajesz? — przerwała mi panna Irena, ale już znacznie łagodniejszym głosem.

— Tak jest, pani, córce gospodarza tego domu, w którym mieszkam. — Panna Irena wpatrzyła się we mnie jak w hieroglif, a ja najspokojniej rzecz swoją ciągnąłem: — Znając niejednę bardzo wykształconą kobietę (naówczas doprawdy jednę tylko znałem, ale ta jedna była mi modłą, według której o wszystkich innych tworzyłem sobie pojęcia i dlatego zdawało mi się, że nie kłamię), znając niejednę bardzo wykształconą kobietę, mniemałem dotychczas, że każda z nich ma prawo rozwijać swoje zdolności, uczyć się tak, jak my się uczymy. Pierwsze jednak doświadczenie w tej mierze na inny naprowadziło mnie wniosek.

— Na przykład, co za wniosek?— przycięła panna Irena.

— Ten, że kobiety prawdziwie, gruntownie oświecone istnieją wprawdzie, lecz istnieją jako wyjątki, nie zaś jako wykształcone, to jest wprost z własnej natury i właściwego sobie charakteru rozwinięte istoty.

— A toż czemu? — zagadnęła dość surowo Marya-Regina.

— Bo kobieta, która nie jest wyjątkiem — rzekłem z lekkim przyciskiem — kobieta która nie jest nadzwykłością przyrody i świątecznym darem Bożym dla ziemi, kobieta dni powszednich, odbiciem wiekuistego pierwowzoru, podróżną ubitej ścieżki będąca jedynie, kobieta jako kobieta wreszcie, nigdy żadnej nauki cierpliwie, porządnie, od początku do końca nie przejdzie; nachwyta z niej tylko oderwanych wiadomostek, podsyci niemi i tak już żywą wyobraźnię i albo w potocznem życiu upowszechni znów tysiące przesądów, tysiące zabobonów, albo też w życiu wewnętrznem ducha własnego sparaliżuje najdzielniejsze rozumu władze, utopi się w marzycielstwie. Moja uczennica na przykład ma niewątpliwie bardzo bystre

pojęcie, ale nacóż jej się to przyda, kiedy jest pozbawioną wszelkiej rozbiorowej i krytycznej zdolności? Przez cały ciąg naszej nauki ani razu jeszcze nie zdarzyło mi się, żeby kiedy zwątpiła o powiedzianym jej wypadku, żeby zapragnęła dojść, czy to jest tak, lub inaczej. Nie, ona wszystkie wynikłości na dobrą wiarę przyjjmuje, a potem nowe sama sobie stwarza. Gdy mówimy o historyi, to ona ze snów Nabuhodonozorowych układa jakieś prawo na przyszłość i roi sobie o życiu bez przerwy, o stanie człowieczeństwa, w którym uśpienie będzie tylko chwilą dowiadywania się, zadumaniem i rozmysłem, a przebudzenie się będzie użytkowaniem nabytej wiedzy, czynem bezustannym, A kiedy mówimy o kolorach światła, to ona się pyta, ale zupełnie naukowo poważnie pyta, czy oddzielnym fioletu promieniem będzie można kiedyś więcej kwiatów na liliowy kolor pomalować, i ot dziś znowu dowodziła mi z uniesieniem prawie, że z księżyca zrobi się ziemia, a z ziemi słońce, a ze słońca inna jeszcze doskonalsza i piękniejsza gwiazda.

— No, cóż w tem złego? Toć to wszystko prześliczne! — zawołała panna Irena, a Marya-Regina głośno śmiać się zaczęła.

— Mój biedny pan Ludwik — rzekła nakoniec— onby chciał koniecznie słowiki przemienić w bobry, niezapominajki w drzewo na opał, a serca kobiet w geometryą.

— Pani się ze mnie śmieje — rzekłem zasmucony — lecz to jest bardzo, och! bardzo niesłusznie. Nie myślałem ja o tem, żeby naukowy postęp Helusi ku tak zwanym „utilitarnym“ skierować korzyściom; mnie tylko trwoga zjęła wielka, żeby słowik w bezcelne piosnki życia swego nie wyśpiewał, żeby kwiatek niezabudki nie przesycił się rosą wieczorną, żeby serce kobiety nie wezbrało pragnieniem niepodobieństwa. Czyż to grzechem było z mej strony?

— Nie, nie, nie grzechem — odpowiedziała mi Marya-Regina głosem takim poczciwym, żeby nim była mogła nietylko żart wesoły, ale nawet obelgę wy-

nagrodzić — och! ja wiem przecież, że z pana nie tak okropnie surowy pedant, ale bądź spokojnym, panie Ludwiku, i nie wchodź w zatargi z Helusią, bo to jest taka szczęśliwa, taka przeczysta natura, że cię nigdy a nigdy nie pojmie. Kiedyś przy dłuższej rozmowie wytłumaczę panu to wszystko.

— A dlaczegóż mybyśmy od tego wytłumaczenia odsądzeni być mieli? — zapytał z uśmiechem Kazimierz.

— Bo szanuję prawa gościnności, szczególniej względem tych, co mię niezbyt często nawiedzają — wesoło mu odrzekła Marya-Regina.

— A pod jakiemże prawem zostaje pan Ludwik?— wyrwała się panna Irena. Na ten jej niewczesny dowcip zmieszałem się, jak młoda pensyonarka, a Marya-Regina nie zmieszała się wcale.

— Pod prawem bliższej znajomości — rzekła — nawet mogłabym dodać: pod prawem dowiedzionej przyjaźni i wypróbowanego pobłażania.

— Niech nas pani na ten raz chociaż do tego samego kodeksu przypuści — znowu odezwał się Kazimierz.

— I owszem, chętnie to zrobię — rzekła — jeśli mi państwo w kaucyi wielką masę cierpliwości złożycie, bo ja mam dziwne przywyknienia, lubię czasem długo mówić, a więcej jeszcze dla siebie samej, niż dla słuchających mnie osób. W mówieniu pierwsze założenie, które najczęściej jest odpowiedzią tylko, rozjaśnia mi się coraz bardziej, czuję potrzebę zbaczania w różne ustępy, wypowiedzenia, choć nawiasowego, tysiąca nasuwających się mi spostrzeżeń i zdaje mi się, jakobym z wielką występowała rozprawą, a to jedynie bezładne i poufne echo zadumania mojego. Przyznajcież państwo sami, czy mogę mniej znajomym, a przez to samo mniej wyrozumiałym narzucać go słuchaczom?

— O wyrozumiałości naszej po próbie sądzić będziesz, Reginko — rzekła na to pani pułkownikowa,

z macierzyńską pieszczotą głaszcząc ujętą dłoń Maryi-Reginy.

— Nie wiem też czemu nas w regestr dalekich i obojętnych znajomych zapisujesz? — przydała panna Irena — ja dziś pamiętam jeszcze, że cię na ręku nosiłam.

— Było to w dzieciństwie mojem, w chwilach najszczęśliwszych życia, och! dlatego ja też mówię, żeście bardzo dalekimi znajomymi dla mnie, dalekimi jak najdalsze wspomnienie.

— Może też blizkimi jak najbliższa przyszłość? Czy nam pani tej nadziei podarować nie zechce? — zapytał Kazimierz swoim silnym i dźwięcznym głosem, a ja w twarz jego, nie wiem, zdziwiony czy niespokojny patrzyłem.

— Najpierw ją podaruję samej sobie — odpowiedziała Marya-Regina tak układnie, tak grzecznie, że śmieszny człowiek aż się ucieszyłem z tego.

— Więc na zadatek wzajemny—mówił znów Kazimierz — niech pani w naszej obecności wszystkie zwątpienia pana Ludwika rozwiąże i względem marzycielstwa jego uczennicy niech mu pokój do duszy wleje. Ja z mojej strony przyrzekam najszczerszą sprzeczkę, jeśli, według swego przekonania sądząc, będę się musiał z panem Ludwikiem zgodzić.

— Kto panu powiedział, że tu będziesz mógł swojem przekonaniem sądzić? — odparła z lekkim uśmiechem Marya-Regina. — Tutaj wam dwom będzie wolno dowiadywać się tylko, dowiadywać tego, co mnie podobna kobieta powiedzieć wam może jedynie, ale sądzić?—och! sądzić! nie tak prędko jeszcze. Musielibyście pierwej stworzyć wkoło siebie nowe życia warunki, w sobie władze nowe, a potem dopiero moglibyście wyrokować, jeśliby wam się podobało, przy końcu XX-go stulecia.

— Więc to jest proroctwo? — zagadnąłem wesoło.

— Dla was mężczyzn jeszcze proroctwo—odrzekła bardzo poważnie — dla nas to jest taka rzeczywi-

stość, jak życie moje i Helusi, co się ma znaczyć, że z was żaden nie potrafi sobie wyrobić pojęcia na objaw budzącego się w Helusi ducha, a ja to pojęcie mam właśnie i aż do czasu artykułem wiary podać wam go mogę.

— Czy tylko my go przyjmiemy na wiarę?—odezwał się Kazimierz — bo zdaje nam się, że pewna stronność i łączność między paniami zachodzi. Jedna w drugiej zawsze samę siebie tłumaczyć i objawiać może.

— Mylisz się pan; między mną i Helusią jak łączności niema, tak stronności być nie może; ona i ja, to taka różnica, jak dziś i jutro, przygotowanie i czyn. Mnie się dostało w zupełności życie dnia dzisiejszego; ani *już wczoraj*, ani *jeszcze jutra* niema w duszy mojej. Nie jestem kobietą wyłącznego uczucia, jak pierwej bywało, ale też nie jestem kobietą. która według własnej natury rozwinęła ducha swego potęgę, jak to kiedyś będzie. Jestem kobietą wieku naszego, kobietą przejścia, mam w piersi kobiece serce, ale chcąc się uczyć. musiałam męzkiej zasięgnąć nauki; musiałam wziąć do mej myśli to, nad czem wy pracowaliście jedynie i co dotąd nie ma w sobie żadnego śladu odpowiednich mojej prawdziwej istocie żywiołów. Nie śmiej się, panie Ludwiku, cóż to? czy myślisz że ja chcę w matematykę lub algebrę tchnieniem duszy kobiecej wionąć, tabliczkę Pytagoresa w poetycznych obrazach ułożyć, agronomiczne narzędzia z mgły obłoków ukuć? To śmiech niesumienny, panie Ludwiku! Ja mówię o nauce nauk, o pojęciu praw zasadniczych w każdej ludzkiej wiadomostce, o pojęciu ustaw dziejowych w każdem ludzkiem zdarzeniu — mówię o tem tylko, i to jest właśnie, co ja, kobieta, w obecnej chwili od was mężczyzn przyjąć musiałam. I dlatego nie jestem kobietą bezmyślną, bezświadomą, ale też nie jestem kobietą w prawdziwości ducha swego rozwiniętą, kobietą stwarzającą. Jestem zato w najwyższym stopniu kobietą rozumiejącą i dlatego mogę cię, panie Ludwiku, z Helusią pogo-

dzić. Najprzód nie lękaj się dla niej marzycielstwa, a potem ucz ją dalej i pozwól. niech sobie z nauki twojej niesłychane stwarza cuda. Czy wiesz co to jest Helusia? To jest prawda. Czy wiesz co to jest marzycielstwo? To jest dopiero tęsknota za prawdą. Marzycielstwo rzuca się jak idea trawiąca na odłogiem leżące uczucie; w marzycielstwo zapadają ludzie. którym od dzieciństwa serca miłością nie rozgrzano. który najnieszczęśliwszem przewróceniem naturalnego porządku pierwej się dowiadują, że kochanie jest bardzo moralną i estetyczną rzeczą, a potem dopiero sami coś do ukochania szukają na świecie i gdy się pomylą, gdy zgrzeszą przeciw uczuciu, gdy zesłabną, w malignę urojeń wpadają, bo marzycielstwo jest jedynie kalectwem sercowem. A moja śliczna Helusia! ona kocha, ona ma taką Boską miłość w duszy swojej. że tylko nieskończenie, nieomylnie, jak Bóg, tylko to co jest Boskiem ukochać potrafi. Dla niej też niéma niebezpieczeństwa. Co do nauki zaś, panie Ludwiku. musisz się poddać woli przeznaczenia; z nauką twoją ona co chce zrobi, bo pierwsze jej słowa albo sama sobie stworzyła, albo, jak wiesz najlepiej, w pierwszem ukochaniu swojem, z serca kobiety wzięła; warunków tych odtrącić nie możesz, ich wpływom przeszkadzać nie powinieneś. — Wierz mi pan, raz jeszcze powtarzam, Helusia to jest prawda: prawda jako uczucie, prawda jako objaw. Przyznałeś pan, że zdolności stanowią o prawie swego wykształcenia, odmówić przeto wykształcenia Helusi niepodobna, gdyż zaiste dziewczynka ta ma wielkie i bardzo wielkie zdolności; ale te zdolności są w niej tylko czynnikami uczucia; ich rozwijania, ich wyrobu, pan dzisiaj jako mężczyzna zrozumieć, osądzić nie możesz, za niegruntowność wiecznie ją łajać będziesz, za niecierpliwość wyszydzisz, a tymczasem ona ci tylko wszędzie odrębność swoję przyniesie i na każdy szczebel mądrości kobietą w pełni istnienia swego wstąpi.

— A niechże mię pani o to nie posądza przynajmniej, że ją w męzkość jakąś przyoblec chciałem i żem

od niej zrzeczenia się kobiecości żądał — przerwałem wtedy mówiącej; lecz Marya-Regina chwilę popatrzyła mi w oczy i potem według zwyczaju łokieć na kolanie, głowę na ręce oparłszy:

— Ja cię posądzam, panie Ludwiku — rzekła — och! bardzo posądzam, że ty sam nie wiesz, czego chciałeś i czegoś żądał. Ja znów to mogę wypowiedzieć, bo znów rozumiem dokładnie. Pan Ludwik chciał, żeby jedna Helusia została cudnie poetycznym aniołkiem, tkliwym jak pieśń, nieujętym jak natchnienie, poświęconym jak ofiara, i znów żeby druga Helusia w tej Helusi systematycznie uczyła się tego, czego on sam nauczył; żeby wiedziała, tak jak on, to co jej do wiedzenia poda, i żeby z uzbieranych faktów lub spostrzeżeń wycisnęła tęż samę korzyść, którą on wyciska, on, co ma być w dalszem życiu gospodarzem, prawnikiem, radcą kredytowym, może księdzem—alboż ja wiem! — i śmiać się głośno zaczęła.—Otóż, mój dobry panie Ludwiku—znów dalej bez śmiechu mówiła— Helusia w najdalszej przyszłości swojej będzie tylko kobietą. Kobieta inaczej przyjmuje naukę, bo inaczej użytkować z niej będzie; kobieta nie poprzestanie nigdy na żadnej, choćby najrozumniejszej, choćby oczywistej, jak dwa a dwa są cztery, abstrakcyi; ona ciągle ku temu dąży, aby wszystko co jest w świecie, wszystko co jest w przypuszczeniu ująć żywcem, wpleść w każdą dnia chwilę, spotrzebować na wszystkie uczucia swego potrzeby. Nigdy badacz najśmielszy nie ciśnie przed siebie tak zuchwałego pytania, jak kobieta, kiedy pytać zacznie; reformator najzapaleńszy nie odważy się na teorye tak niepodobne, jak kobieta na niepodobne próby odważy; z was żaden nadzieją nawet nie uprzedzi jej w wymaganiu wszelkiego dobra od przyszłości, bo życie żywe jest jej życiem jedynem, bo wcielanie słowa Bożego jej wiekuistą funkcyą jej natury. Dla was może oderwalność wystarczyć, nad zdobyciem szczegółu możecie długo, ciężko i święcie pracować, macie to, co sam, panie Ludwiku, naukową cierpliwością nazwałeś; wydacie

wszystkie dni i noce wasze na uczynienie jakiego spostrzeżenia, a potem gdy je zrobicie, gdy zapiszecie, to spokojnie kartę waszę testamentem przekazujcie najodleglejszej potomności, żeby ona dopiero zrobiła z niej użytek lub przystosowanie jakie; i tak bywa z matematycznemi liczb kombinacyami, tak z filozofią waszą. Lecz kobiety, och! słusznie pan powiedziałeś, kobiety są daleko niecierpliwsze, one nie tylko *wiedzieć*, one zaraz *mieć* pragną. U wspomnień dziejowych dopominają się koniecznie przepowiedni na przyszłość; ze światła chcą natychmiast pochwycić promień taki, którymby mogły ziemię w cudniejsze barwy umalować, a gdy o nieskończoności słyszą, one nie mogą, jak wy, mężczyźni, oznaczyć je sobie wielkiem X u początku, a wielkim znakiem zapytania przy końcu. Nie, one z taką niepewnością głowyby do snu nigdy nie skłoniły, oneby żyć nie mogły, gdyby, jak Archimedesowi, daremnie wołać im przyszło o punkt oparcia dla tej dźwigni, którą świat cały z posad wyruszyć można; ale też one, panie Ludwiku, punkt oparcia zawsze znajdą w sercu swojem, one nieskończoność rozświecą blaskiem wiary i nadziei, one ją w jej bezmierni, w jej niegraniczoności objąć potrafią, bo one ją w żywe rozsnują obrazy, więcej nawet powiem: bo one ją w chwilę teraźniejszości ukochaniem swojem przeciągną. Czy to rozumiesz, panie Ludwiku? — A pan, panie Kazimierzu? czy się ze mną sprzeczać będziesz?

Ja milczałem, Kazimierz tylko dał odpowiedź:

— Nie będę się sprzeczał, lecz będę przekonywał powoli.

— Więc pan nie ufasz słowom moim?

— Wszakże pani sama zapowiedziałaś, że sądzić ich nie można, a kiedy sądzić czego nie można, to przynajmniej rozważać potrzeba. Widzi pani, że zawczasu rozwagę moję w tym względzie nabywaniem przekonania nazwałem, czyż to nie dosyć jeszcze?

— Nie gniewaj się na niego, Reginko — rzekła wtedy pułkownikowa — on zawsze taki ostrożny i nieufny; to już w jego charakterze leży.

— Taka dobra babka powinnaby jednak sprostować taki zły charakter — żartobliwie Marya-Regina odrzekła.

— Alboż on ma być takim złym koniecznie? — ujął się za sobą Kazimierz.

— Koniecznie — odpowiedziała mu znowu Marya-Regina — najpierw dlatego, że panu szczęścia nie zapewni, a potem dlatego, że innym dużo cierpienia do życia przyrzucić może.

— Och! co w tym względzie, to już ja zupełnie zaprzeczyć muszę—zawołała panna Irena; — nieufność w poczciwem sercu nigdy nie będzie ani cierpieniem, ani obrazą drugich, będzie sobie poprostu ubezpieczeniem się przed pomyłkami i zadatkiem pobłażaniu.

— A ja mówię — odparła Marya-Regina — że będzie ujemnością entuzyazmu i uwielbienia. Co mi to za szczęście bez entuzyazmu, co za miłość bez uwielbienia? Kiedy zaś kto w pełni i najwyższości nigdy szczęścia uczuć nie może, więc ja powiadam że cierpi; kiedy zaś kto przed miłością swoją paść na kolana w modlitwie nie umie, więc ja powiadam, że dręczy tych, których niedość ukochał, bo jeśli oni kochają...

— Zaraz, zaraz ja to inaczej objaśnię — przerwał Kazimierz—tylko niech moja osobistość zupełnie w tym względzie usuniętą zostanie, gdyż doprawdy jeszcze sobie przyznać nie mogę, ażeby słowa babki, ciotki mojej, lub te które mam wymówić, do mnie w czemkolwiek przystosować się dały, chyba jako rozumowo uznana zasada.

— No, więc jako rozumowo uznana zasada nacóż nieufność zda się w szczęściu i w miłości? — spytała Marya-Regina.

— Jakże pani dziwny tok całemu zagadnieniu nadała—odrzekł jej Kazimierz—naco zda się?...

— Proszę pana, to jest tok najwłaściwszy, to jest najwyraźniejsze określenie; chciałam za jego pomocą wszelkiej dwuznaczności uniknąć.

— Na co zda się? — powtórzył raz jeszcze z wesołym uśmiechem Kazimierz.— Pani się pyta jak o jakąś rzecz przyczepną, o jakieś kółko w maszynie.

— Wie pan, jabym się nawet chciała spytać, czy to nie jest lekarska recepta? jakie to są krople? kiedy się ich używa? czy na prezerwatywę. czy na ulgę wczasie przystępu choroby, czy po chorobie ze zwyczaju jedynie?

— Na te wszystkie zapytania odpowiedziećbym nie umiał, tak jak nie umiem odpowiedzieć, na co nieufność zda się w szczęściu lub w miłości. A na co zda się szczęscie lub miłość w życiu człowieka? a na co zda się życie? — Och! tym sposobem rzucilibyśmy się w nieskończony szereg wątpliwości, dowodzeń metafizycznych, i wreszcie myślby nam się rozwiała we mgłę filozofii niemieckiéj; nie, ja też nie chcę dowodzić, na co nieufność zda się w szczęsciu i miłości, tylko powiem pani, że ją uważam za konieczny warunek i miłości i szczęścia — nieufność jest przewidzeniem czasu i przedmiotu. Jeśli trwanie szczęścia mojego nie sięga dalej nad chwilę zapomnienia o wszelkich możebnych zmianach przyszłości, to ja nie jestem szczęśliwy, jestem zaledwie rozradowany, ucieszony — dajmy na to, pijany jakimś narkotykiem, co z zewnątrz do wnętrza mojego się wsączył; ale szczęśliwym będę wtedy dopiero, gdy ogarnę rozumnem przypuszczeniem wszelkie następstwa i koleje bytu mojego, gdy się poczuję silnym w rozstaniu z tem, co jest radością moją, gdy sam w sobie stworzę taki stan dla ducha mojego, że okoliczności i zdarzenia przepłyną, a zostawią mu tylko pierwiastki prawdy swej i dobra swojego. W moich pojęciach ja to szczęściem nazywam dopiero i nieufnosć jako władzę zatwierdzającą toż szczęście uważam. Co do miłości zaś — och! pani — miłość jest wyższą nad uwielbienia. Miłość nieufna, miłość przewidująca przedmiot swój we wszystkich warunkach i objawach jego istnienia, miłość ogarniająca najzupełniejszą całosć jego — miłość, która przejmuje go dzisiaj i uznaje w jego dniu wczorajszym,

i wie że nie odrzuci w najsmutniejszej chwili jego jutra; miłość, co go ukocha w niedokładnościach i błędach, w ubóstwie i pozornej niewzajemności: miłość taka jest prawdziwie miłością Bożą. Uwielbienie, toć to samolubstwo najwyższe. Pani chcesz, aby ci chwilą radości zagrały nerwy i podsyciły się wszystkie władze duszy, znajdujesz poza sobą objaw jakiego piękna, jakiej doskonałości, bierzesz z niego uczucia pożądane i wielbisz—lecz gdy wybierzesz wszystko, cóż cię z nim łączyć może? Pamięć historyczna, w życiu jednostkowem wdzięcznością zwana. Alboż wdzięczność miłością jest? Wdzięczność czyliż w najpospolitszem i najprawdziwszem znaczeniu swojem nie wyraża moralnej odpłaty za to, cośmy moralnie przyjęli? A miłość czyż przyjmuje tylko? Niech mię pani o sentymentalny nie posądza mistycyzm, ale według mego przekonania miłość jest jako Bóg, miłość daje wiecznie.

— Wistocie, bardzoby mi się podobało to, coś pan rzekł teraz — przerwała Marya-Regina — ale na nieszczęście, muszę maleńkie zrobić zaprzeczenie. Bóg sam chyba z wysokości swojej może świat kochać taką wiecznie udzielającą się, abstrakcyjną, niezasiloną żadnym zwrotem miłością, tymczasem w stosunkach ludzkich na objaw jednej miłości zawsze dwa uczucia się składają. Miłość bez wzajemności, miłość wystarczająca samej sobie jako normalny stan istnienia zdaje mi się... ach! jakiegoby tu dobrać wyrazu, żeby na siebie stoików i wstępnej klasy poetów nie obrazić — zdaje mi się, ot — tem, o czem rozmawialiśmy przed chwilą — marzycielstwem — i to jeszcze trochę mniej logicznem od zwykłego marzycielstwa, boć proszę pana, panie Kazimierzu, według ostatnich słów twoich, zawsze tylko połowa ludzi kochaćby mogła, połowa dająca, a coby się stało z połową przyjmującą? Ach! to okropność! — na ideałów wykierowałbyś wszystkich odrzuconych kochanków, na potępienie wydał wszystkich szczęśliwych zobopólnem szczęściem — to okropność!

— Nie tak bardzo okropna, jak się pani zdaje— odrzekł jej wesoło; — co do wyłącznej, zjednostkowionej miłości, żadnych praw nie stanowię, czy kto kocha wzajemnie kochany, czy może kochać jeszcze choć ukochanym nie będzie, to wchodzi w zakres najściślejszej indywidualności człowieka i na to przepisów tworzyć się nie godzi; ja przynajmniej widzę w tem grę powietrznych fenomenów, kartkę z rozdziału szczegółowych spostrzeżeń. Ale gdy mówiłem o miłości, miałem na myśli miłość zasadniczą, ogólną, do potęgi swojej wzniesioną: nie wiem czy taka miłość istnieje w tej miłości, która, jak pani mówi, z dwóch uczuć składać się musi? Być może zresztą, wtedy zapewne utrzymuje się ciągłą zmianą wzajemnych darów, ale i wtedy nawet jeśli się na niej ograniczy, jeśli z owego złożenia, które już doskonałą jedność stanowi, nie wyda poza siebie skarbów nowych, jeśli się nie rozpromienie własną światłością dokoła, to będzie znowu samolubstwem tylko, kłamstwem, ale nie będzie miłością, gdyż ja raz jeszcze powtarzam: miłość wiecznie daje. Jeżeli pani to słowo nie wystarcza, mogę użyć innego: miłość wiecznie stwarza, czyli odwrotnie, stworzenie każde jest wydaniem miłości stwarzającego.

— Zakończyłeś pan takim ogólnikiem, bo wiesz dobrze o tem, że mu nie zaprzeczą, ale poczekaj-no pan tylko, przy bliższem zastanowieniu się pochwycę nieomylnie ten punkt, w którym się pan z ciągiem logicznym rozminąłeś, gdyż to jednak dziwną jest rzeczą, żeby z tak pięknego pojęcia ogółu taką sobie fantazyjną o szczegółach zdać sprawę, jak gdyby szczegóły na odrębnych rozwijały się ustawach; i tak n. p. ideałem miłości jest miłość wiecznie dająca bez zwrotu, a wśród ludzi człowiek kochający niewzajemnie jest śmiesznym lub chorym. Nie, ja między temi ostatecznościami nie mogę jeszcze ustanowić żadnego porządku.

— Namyśl się, Maryo-Regino, czy tej drugiej zbyt daleko nie posunęłaś — spytała wolnym głosem

milcząca już oddawna, niby zadumana trochę, panna Irena.

— Nie zdaje mi się, że zbyt daleko; człowiek kochający niewzajemnie albo sam względem siebie omyłkę popełnia. i wtenczas, przyznajcie państwo, że jest śmiesznym, bardzo śmiesznym, bo romansowym jak niemieckie dziewczątko, co się z książek i piosnek lekcyi miłosnej uczy — albo też popełnia omyłkę względem przedmiotu swego ukochania i wtenczas jest nader niebezpiecznie chory, cierpiący, zapłakany, zgorączkowany, biedny aż do wywołania litości. Jakto, czyż nie? to chyba państwo musicie tej prawdzie zaprzeczyć: że miłość wyłączna jest dana człowiekowi na szczęście, na uzupełnienie jego jestestwa, na doskonałość.

— Tej prawdzie nie zaprzeczymy—rzekł z wielką powagą i trochę wzruszonym głosem Kazimierz — ale przyznając ją, zapytam panią, czy to pani zna wszystkie wszystkich serc potrzeby, czy wie co któremu dać siłę do szczęścia może? co je uzupełnieniem władz jego zbogaci? co w doskonałości na wyższy stopień posunie? Wątpię żeby to pani wiedziała i wyznaję, że sam nigdy wiedzieć nie zapragnąłem, bo gdybym wiedział, samoistność każdego człowieka stałaby się dla mnie oznaczonym numerem w pewnej kategoryi pewnego regestru; wolałem przeto na spostrzeżeniach poprzestać, i wierz mi pani—mówił z coraz większym zapałem, a jednak z coraz poważniejszą spokojnością—wierz mi pani, że te spostrzeżenia inne zupełnie objawiły mi wynikłości: kobieta której niekochano wzajemnie, niebyła nigdy śmieszną w oczach moich, bo takiej kobiecie winienem całe moralne życie moje, kobieta którą opuszczono i zapomniano, nie zrobiła mi nigdy wrażenia chorej, zgorączkowanej istoty, litością jam jej nie cisnął nigdy, ale z uszanowaniem i ze czcią w drodze życia mego koło niej przeszedłem, bo w niej uznałem wyższą ducha i miłości potęgę, doskonalsze wieczności przeczucie, bo wreszcie takiej kobiety słowa lepiej mi wypowiedziały piękność życia

i świętość najosobistszych wrażeń, niż widok tysiąca innych kobiet, otoczonych wszystkiemi skarbami wzajemnej tkliwości i wzajemnego poświęcenia.

— Nie łaj mnie pan tak surowo, jeśli podobnych spostrzeżeń nie zrobiłam — rzekła Marya-Regina do Kazimierza— czyż moja w tem wina? Dotychczas jeszcze mi się nie nasunęły przed oczy.

— A mnie się zdaje, że nasunęły może, tylkoś ich ocenić dobrze nie umiała — rzekła z lekkim przyciskiem panna Irena i po krótkiej przerwie dodała: — Zdaje mi się, że znałaś Annę?

— Annę ***? Annę-Klarę? — och! pewnie że ją znałam i dobrze znałam.

— A jej znajomość czy ci nic pod tym względem nie wyjaśniła?

— Cóż mi wyjaśnić mogła? Anna była wtenczas bardzo szczerze i bardzo namiętnie kochaną.

— Lecz potem nią nie była — odparł Kazimierz.

— Dlaczegóż nie była, kiedy poszła za mąż?

— Och! pani, jak widzę, nic nie słyszała o tych okropnych chwilach jej życia.

— Prawda, nic nie słyszałam — odpowiedziała drżącym głosem Marya-Regina i zdało mi się, że twarz jej zwykle blada, jeszcze się większą bladością powlekła.

— Myśmy ją wtenczas właśnie poznali—mówiła znów panna Irena. — Była z matką śmiertelnie chorą w Krakowie. Matka wśród najsroższych boleści, na przyszłe osierocenie Anny uskarżała się najwięcej. Anna była jej myślą każdochwilową, jej ciągłym niepokojem, jej gorączkowem marzeniem w długich nocach bezsennych. Słyszała dawniej jeszcze, że lekarz który ją odwiedzał, kiedyś tam oświadczył komuś chęć starania się o rękę jej córki. Państwo wiedzą najlepiej, z jakim fanatyzmem chorzy przywiązują się czasem do niosących mu ulgę lekarzy, a z jakim uporem znowu trwają w raz powziętych zamiarach swoich. Doktór *** był aniołem opiekuńczym dla umierającej, na połączenie go z Anną zebrała całą siłę gasnącej

już woli. Pamiętam, poszliśmy tam raz z Kazimierzem na całą noc, bo już Anna tak nam długiem czuwaniem wycieńczoną zdawała, żeśmy patrzeć nie mogli. Zastaliśmy doktora bladego, zmieszanego, a Annę płaczącą. Chora trzymała ich ręce w swojem ręku i nie zważając na nasze przybycie ciągle mówiła: „Umrę spokojniejszą, zupełnie spokojną, bez kłopotu i rozerwanej uwagi o zbawieniu duszy mojej pomyślę, bo dotychczas nie mogłam o niczem, tylko o tobie, sierocie mojej jedynej... Dziękuję wam i błogosławię, poczciwe, kochane dzieci, wy oboje dziećmi mojemi jesteście. Nie płacz, Haneczko, mnie zupełnie już dobrze...“ ale nim zdążyła ostatni wyraz dokończyć, zasłabła nadzwyczajnie i w zemgleniu z poduszek się osunęła. Przez kilka chwil trzeźwiliśmy ją, nacierali, aż nakoniec przyszła do siebie; na widok doktora uśmiechnęła się, chciała znowu coś zacząć mówić, ale cichość jej zalecił i wkrótce potem lekki sen padł na nią.

Anna korzystała z tej chwili i wraz z nami opodal nieco od łóżka matki usiadła. Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy; nakoniec ona pierwsza, z odwagą i szczerością o tem, co przed chwilą zaszło, mówić zaczęła, i mówiła nam o przeszłości swojej, że kochała, że kochania swego zapomnieć nie może, choć go dla niej zapomniano, mówiła że w jej przekonaniu grzechem jest i świętokradztwem ślubna bez miłości przysięga, jednak prosiła doktora, aby nie wydzierał tak drogiego jej matce złudzenia i przebaczył, jeśli ona sama w tej chwili śmie od niego kłamliwych pozorów żądać. Doktór *** był bardzo sumienny człowiek, ale bardzo wielki dziwak; po tej spowiedzi serca oświadczył, że ją więcej kocha niż pierwej, że się z nią niezawodnie ożeni, dlatego właśnie że kocha i że ona kochać będzie dlatego właśnie, bo od innego kochaną nie jest. Od tej chwili mógłby był kto myśleć, że to są ludzie najobojętniejsi, którzy między sobą szczęścia całego życia w zagadnienie nie rzucili. Po kilku tygodniach męczarni i pociechy matka Anny

umarła — byliśmy z nią w tych pierwszych chwilach boleści; kto tego nie przechodził, ten sobie wyobrazić nie może, jakie to pustki w świecie, kiedy się człowiek dokoła obejrzy, a nigdzie takiej nie widzi istoty, którąby na nierozdzielność do życia jego należała, cóż dziwnego, że po ostatniej stracie, dusza się złamie na chwilę. I Anna biedna złamała się także — doktór bywał ciągle, doktór ją kochał. Przez te kobiece serca Bóg wie czasem, jakie natchnienia poświęceń przechodzą. Jednego dnia Anna przyrzekła mu, że pójdzie za niego! „Nie jest mi danem używać i potrzebować — rzekła do nas — może, jak się komu potrzebną uczuję, to nabiorę siły i będę czynną i użyteczną; boć ostatecznie o to chodzi tylko, żeby człowiek stał się użytecznym.“—Myśmy jej nie mogli zaprzeczyć. Nieszczęście mieć chciało, że dla kilku spraw bardzo ważnych, musieliśmy też i wyjechać z Krakowa. Czasem wyrzucam sobie ów wyjazd, jak ciśnięte na czyją głowę nieszczęście. Zdaje mi się, że gdybym dłużej była z Anną, niezawodnie byłabym lepiej w głąb duszy spojrzała i lepiej niż ona sama pojęła, że zaprzeczenie własnego serca jeśli nikomu szczęścia nie przynosi, to jej też szczególniej siły do życia dać nie mogło. Byłabym to powiedziała doktorowi ***, byłabym zerwała ich małżeństwo. Tymczasem przeciwnie się stało — pobrali się. W parę miesięcy Anna okropnie smutny list do mnie napisała, odpowiedziałam na niego, ale potem na moję odpowiedź żadnej już odpowiedzi nie było; pisaliśmy kilka razy jeszcze — ostatni list poczta *retro* odesłała. Widać że ich obojga w Krakowie nie było: ktoś nam potem wspomniał, że za granicę do wód wyjechali; wierzę temu, bo Anna doreszty stargać musiała i tak nadwątlone zdrowie. Dzisiaj pewną jestem, że już umarła. Och! ja znam organizacyą kobiet jej podobnych; żadna taka nie wytrzyma w świecie kłamanej miłości i te są jeszcze najszczęśliwsze!

Przez cały czas opowiadania panny Ireny nie śmiałem spojrzeć ku Maryi-Reginie, gdyż pierwszy

raz w życiu ona sobie spojrzenie moje na znak badawczy, lub też słowo surowego wyrzutu przetłumaczyć mogła, a ja, Bóg widzi, w tej chwili cierpiałem tylko jej boleścią, żałowałem przeszłości żalem jej własnej duszy, boć przecież jam ją kochał, czy w grzechu, czy w pokucie jam ją kochał — jam się dzielił wszystkiem. A jak dzielił jeszcze! Gra jej uczuć i wrażeń różnych odbiła się, lecz to zamało... przelała się w duszę moję. Och! niezawodnie w tej godzinie życie Maryi-Reginy było mojem życiem i gdyby samej siebie posłuchać się jej chciało, mogłaby mnie była o słowa swej myśli zapytać tylko. Nakoniec odważyłem się wzrok mój na nią zwrócić z ostatniemi wyrazami smutnego proroctwa. Rysy jej twarzy zachowały jakąś przymusową spokojność, ale oczy świeciły łzą gwałtownie powstrzymywaną, usta drżały niedomówionem zapytaniem, białość jej lica przeświecała nabiegającym w nierówne cienie rumieńcem.

— Dlaczegóż ta kobieta o pierwszem swojem uczuciu zwątpiła? — odezwałem się wtedy, i zapytanie moje było wymówieniem ciążących Maryi-Reginie wyrazów.

— Dlatego zapewnie — odrzekła mi panna Irena — dlaczego zpoczątku zaufała mu zupełnie. Na to niema wypadków i objaśnień żadnych. Wiemy że nas kochają — wiemy że nie kochają, cudem i wszechwiedzą serca. Zresztą też Anna nigdy nie chciała szczegółową powieścią do swej przeszłości zstąpić i miała słuszność, bo to ulgi nie przynosi, tylko nerwy rozdrażnia i siły wycieńcza.

— Jednakże—odezwała się wreszcie Marya-Regina, przyciągając ku sobie silnym uściskiem pochwyconą panny Ireny rękę — jednakże powiedzcie mi, czy wam nigdy a nigdy nie wspominała o mnie?

Panna Irena znowu swoje bystre oczy w twarz pytającej utkwiła, lecz odpowiedzi nie dawała żadnej.

— I owszem — wyręczyła ją nakoniec matka po chwili zbyt przedłużonego milczenia — mówiła nam że się znacie, bo to raz jakoś zgadało się o bardzo pię-

knych dzieciach; ja z twoją matką, moja Reginko, byłam w wielkiej niegdyś zażyłości, was oboje z Romualdkiem często u niej na kolanach widywałam. Otóż byliście tacy prześliczni, że was dotychczas zapomnieć nie mogę, i wasza matka bardzo piękna także. Razem we trójkę, to był istny do kościoła obrazek. Powiedziałam ja to Annie i ona mnie się zaczęła o różne szczegóły z waszego dzieciństwa wypytywać i mówiła że was zna dobrze.

— Ale jakże to ona mówiła, jakże? moja droga, moja kochana pani?

— Ot tak, jak jest prawda, że ty i dzisiaj prześliczna, że wiele rzeczy umiesz, że bardzo pięknie malujesz...

— I że ją kocham, czy tego nie powiedziała nigdy?

— Och! nie, takich słów Anna nigdy o nikim nie mówiła; zapewne już jej się im wierzyć nie chciało.

— Moja Anna... ale nie, to być nie może—przydała Marya-Regina, szybkim ruchem wznosząc spuszczoną pierwej głowę; w tej chwili pomyślała sobie zapewne, że być nie może, aby jej Anna, a Annie szczęście bezpowrotnie zginąć miało.

(W tem miejscu rękopismu wszyta była ćwiartka maleńka, jak widać odpis z wspomnionego listu Anny.)

— „Wyłaj mnie, Ireno, bo doprawdy ja poto jedynie piszę do ciebie; gdybym nie wiedziała, jak surową jesteś, gdybym przypuścić mogła, że słowem pieszczotliwem roztkliwiasz się nademną, tobym nie pisała wcale. Mnie trzeba hartu i wzmocnienia. Żeby kto krzyknął na mnie groźnie i całą piersią, to zdaje mi się żebym się zlękła przynajmniej i przynajmniej stan duszy zmieniła, ale tak żyć, jak teraz dzień po dniu i chwila po chwili żyję, to się nie godzi. Czy wiesz ty, że czasem chciałoby mi się być w nędzy największej, być głodną, obdartą, skostniałą od zimna, możebym wtedy wyszła z mojego odrętwienia, ale niebardzo sobie dowierzam, bo kto wie, czy instynkt zachowawczy dość silnie zbudziłby się we mnie i czybym

nad samą sobą zatroszczyła się choć przez chwilę. Wierz mi. Ireno, to nie są dziecinne skargi, ja się nie skarżę, ja ci tylko chorobę swoję odpowiadam, żebyś jej zapobiedz lepiej potrafiła. Nie jestem zepsutem dzieckiem losu, z boleścią moją nie będę się na wszystkie strony portretowała, własne sumienie nigdy mi jej w powabne blaski nie przystroiło. Od dwóch lat cierpię i od dwóch lat nie myślę o tem, co cierpię, tylko o tem, co zrobić trzeba, żebym cierpieć przestała. Sama widziałaś czynne życie moje — nie wystarczyło, przyrzuciłam do niego najświętsze słowo tej ziemi, słowo „obowiązku.“ I cóż ja temu winna dzisiaj, że ono także nie wystarcza jeszcze? Gdybym goniła za szczęściem, łatwiejby mi przyszło uznanie i zrozumienie własnych błędów, łatwiejbym też zapewne poprawić się z nich mogła; lecz dzisiaj czegóż ja pragnę? Oto pragnę być kobietą użyteczną, cnotliwą, spełniającą sumiennie przeznaczenie swoje. W uczynkach moich nie grzeszę tej myśli. Spełnienie dobrego jest pobudką i celem wszystkich postępków moich, nie pogardzam najlichszą drobnostką, nie cofnęłabym się przed najwyższem poświęceniem, od grosza jałmużny, aż do niebezpieczeństwa, ja wszystko zgarnęłam w rękę moję i w duszę moję, a przecież ręka jest coraz słabsza, dusza coraz smutniejsza. Cóż robić na to, Ireno? Mój mąż tak czyta w myśli mojej, jak ty w tym liście czytasz, ale wiele bardzo rzeczy nadwątlonemu zdrowiu przypisuje. Bezwątpienia musi mieć słuszność — gdybym była zdrowszą, zmieniłoby się całe usposobienie moje. Może też Bóg dałby mi dziecię do ukochania na własność zupełną, na szczęście osobiste, na wzmocnienie ku lepszemu. Och! gdybyś wiedziała, jak dbam o siebie, jak się pielęgnuję, jak posłusznie zażywam lekarstwa, biorę kąpiele, przechadzam się po słońcu i spać wcześnie kładę — zdaje mi się że nikt już, egoista największy, ciała swojego takiemi staraniami otoczyć nie może. Ale mnie to wszystko na pożytek nie idzie. Ciało coraz biedniejsze. To mnie tylko pociesza, że śmierci nie pragnę.

Gdybym jej pragnęła, Ireno, nie śmiałabym dziś pisać do ciebie, czułabym się zbyt grzeszną i upadłą, lecz, dzięki niebu, ja tylko zdrowia i sił pragnę. Zakazałam sobie samej rozmarzających o przeszłości wspomnień, w przyszłości wszystkie zamiary stawiłam jedynie w spełnieniu moich obowiązków, użyteczności dla bliźnich braci moich, więcej ci nawet powiem: myśl o śmierci dziwną sprzecznością instynktu mego nie przeraża, lecz przeraża mój rozum. W gorączce, przez sen zapytana, możebym ci odpowiedziała, że umrzeć byłoby mi wygodniej, ale czytaj w mej duszy, gdy ma zupełną samej siebie świadomość, posłuchaj serca mojego, gdy na jawie bije, a przekonasz się, że ja chcę żyć jeszcze, żyć długo, działać. Och! niech sobie tylko raz na rzeźwiejsze siły zapracuję, to już nie trać o mnie nadziei, wszystko śmiało na barki wezmę, nawet dawne pamiątki, święte i niepokalane pamiątki!... Grzechu dla mnie w nich niema, jest tylko zażalenie boleści; z zażalenia się otrząsnę i stanę przy tych, co mnie opuścili, pełna przebaczenia, spokoju i męztwa; ty mi wtenczas spojrzysz w oczy twoim przenikliwym wzrokiem, Ireno, i powiesz: „dobrze,“ jak to mówić zwykłaś, patrząc czasem przez oczy w głąb duszy swego Kazimierza. Powiedz też Kazimierzowi, że ja go błogosławię za to, że spełnił nadzieje twoje, za to że jest szlachetnym, poczciwym, sumiennym, za to że go czeka trudne i pracowite życie, za to że nigdy niczyjego nie zawiedzie serca; powiedz mu, że ja go za to błogosławię! Bodajby nigdy kobieta, którą kochać będzie, na drodze ku wyższym celom przeszkodą mu nie stanęła! Przeczytaj głośno te wyrazy matce swojej, niech krzyż nad niemi w powietrzu zakreśli, prędzej może z życzenia w prawdę się zamienią, bo ręka twojej matki szczęśliwą jest i dobroczynną. Wspominajcie też o mnie, kochajcie szczerze, serdecznie, nie dlatego, abym ja was kochała, lub żebym wartą była kochania, lecz żeby w uczuciu waszem moje serce się rozciepliło i żebym kiedyś, kiedyś zasłużyć na nie mogła. Pisz prędko, dobra moja Ireno! nie pocieszaj

mnie wcale, nie pieść jak dziecko lub chorą, ale daj mi ostrą naukę i skuteczną radę. Ty jesteś sumieniem mojem, powiedz mi też, jak myślisz? Gdyby inaczej już być nie mogło i gdybym musiała umierać, czyby mi wolno było tym się przypomnieć, co dziś zapomnieli o mnie? Jest to jakieś niewyraźne, nieprzyznane prawie żądanie — przeleci mi czasem przez głowę, ale mu dłużej nad jeden przelot gościć nie pozwalam, dlatego też i sprawy z jego natury zdać sobie nie umiem. Czy to jest nikczemna jakaś zawziętość? chęć upokorzenia ich nieszczęściem mojem? potrzeba wskazania im trumny już otwartej dla mnie, jak wiecznego wyrzutu, że się nie domyślili, iż ja z boleści takiej umrzeć przecież mogę? Czy też to jest dawnego ukochania szczątek, tęsknota za pierwszemi życia wrażeniami, obowiązek przestrogi którą im dłużna jestem? — bo oni może nie wiedzą... Sądź mnie bez pobłażania, Ireno; raz ci jeszcze powtarzam — tyś sumieniem mojem.“

(*Dalszy ciąg rękopisu*).

Po tych słowach rozmowa upadła zupełnie. Nikt jej nie podnosił, aż wreszcie też panna Irena znak do wyjścia dała. Miałem wielką ochotę dłużej nieco przy Maryi-Reginie zostać, ledwie może ósma godzina była z wieczora — ale czułem że jej w tej chwili potrzebna samotność; chciałem też względem Anny bardziej szczegółowych zażądać wiadomości, pożegnałem więc Maryą-Reginę i odchodząc, rzekłem jej tylko też same wyrazy, które ona przed chwilą wymówiła:

— Nie, to być nie może!

Marya-Regina silnie, jakby z wdzięcznością lub przerażeniem, dłoń moję ścisnęła.

— Przyjdź pan tu jutro zrana o dziesiątej — rzuciła mi prędko uciętym głosem i rozstaliśmy się z sobą.

Na ulicy szedłem przy pannie Irenie, a Kazimierz babkę swoję prowadził przed nami, bo staruszka nie chciała przyjąć na wsparcie mojego ramienia,

przyzwyczajona, jak mówiła wesoło, do posług swego wnuka, którego na to jedynie wychowała sobie. Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy, choć z nas każde pragnęło ważniejszem zapytaniem do rozmowy przystąpić. Nakoniec Kazimierz pierwszy zaczął:

— Od wielu już osób o pannie Maryi-Reginie słyszałem, ale się przyznaję, że w wielu względach przeszła nawet oczekiwanie moje. Pan ją znasz dobrze, panie Ludwiku?

— Znam, a szczególniej od powrotu jej brata z za granicy, dosyć często bywam w jej domu.

— Niech pan tego za płonną z mej strony nie bierze ciekawość, ale doprawdy, chciałbym wiedzieć, co ta kobieta robi z takiemi skarbami rozumu, wyobraźni, talentów i serca?

— A cóż, jest bogata, czy to nie dosyć? — zapytałem z uśmiechem.

— Och! nie dosyć — odrzekł Kazimierz i znowu nam się przerwała rozmowa. Mnie ten ostatni wykrzyknik trochę w głowie pomieszał. — Co to znaczy „nie dosyć?“ jak to można być taką jak Marya-Regina i być *nie dosyć jeszcze?* Nie wątpiłem że to pomyłka w wyrażeniu, ale przez dumę i przez pokorę, jako zablizki i zadaleki, nie chciałem żądać jej objaśnienia.

Tymczasem panna Irena odezwała się przecie:

— Czemu się Maryi-Reginie tak smutno zrobiło, gdyśmy o Annie mówili? Czy to ona przeciw niej zgrzeszyła?

— Nie, nie myśl pani tego — ująłem się z żywością; — ja wiem że ona Anny kochać nie przestała.

— To dziwna rzecz, że się te dwie kobiety tak rozstały w życiu i tak wyszły z pod wzajemnego wpływu, bo jeśli Anna ją kochała kiedy, to Anna także kochać nie przestała; bo to prawdziwie, jak jej mówiłam nieraz, prawdziwie uparte serce. Nie pojmuję, dlaczegoby wyrzekła się tego stosunku i różne mi przychodzą domysły, lecz Maryi-Reginy nie chcę posądzać jeszcze.

— I dobrze pani robi, oszczędza pani sobie wielkiej niesprawiedliwości.

— Daj Boże!

Wątpiący głos panny Ireny, twarz jej ostra i brwi zmarszczone do najwyższego rozdrażniły mię stopnia.

— Niech mi państwo pozwolą — rzekłem z zaledwie powściągniętem oburzeniem — niech mi pozwolą spytać się, czy też oni są pewni, że dobrze znają i sprawiedliwie cenią panią Annę? Prawda, że ja sam nigdym nie widział jej w życiu, ale wnioskować mogę z tego, co dziś słyszałem. Była to kobieta, która wyrzekła się wspomnień pierwszej miłości. Czy ją porzucono, zapomniano, ja nie wiem, mogę przypuścić jednak, że się omyliła w tym względzie, że kochając, byłaby zawsze kochaną, że konieczność rozstania się wzięła za opuszczenie, że miała trochę przewróconą głowę i trochę romansowy charakter, lecz to wszystko są przypuszczenia tylko. Drugą pewnością w jej historyi jest to, że jak nie uszanowała wspomnień swoich, tak i przyszłością kapryśnie rozrządziła; poszła za mąż bez przywiązania, stawiła na kartę najniepewniejszego losu zbawienie własnej duszy i szczęście drugiego człowieka. Potem nikt już nic o niej nie słyszał, najlepszym przyjaciołom nie odpisała na kilkakrotne listy, bawi gdzieś za granicą, może nawet jest bardzo już spokojna, zadowolona położeniem swojem, i może ma ze dwoje dzieci, przy których ani się zakłopocze o tych ludzi, co jej przeszłemi cierpieniami dotychczas jeszcze swoje poczciwe kłopoczą serca.

— Widać że pan jej nie znał — z największą łagodnością na cały ten wstęp do walki odpowiedział Kazimierz.—Mnie smutno tylko, że panu łatwiej potępiające, niż usprawiedliwiające ze słów naszych wyprowadzać wnioski. Pan musiał chyba już bardzo wiele przecierpieć.

Ostatnie słowa w dobrej wierze, głosem szczerego przekonania wymówione, zawstydziły mnie okropnie. Prawdą, nie godziło mi się choćby w obronie

Maryi-Reginy rzucać potępienia na kobietę która cierpiała—rzeczywiście czy z urojenia? sąd ten nie do mnie należał, bom ja sam niedość cierpiał jeszcze.

— Drugi raz dzisiaj muszę się przyznać do błędu — rzekłem po chwili krótkiego rozmysłu; — doprawdy, nie wiem jakie też państwu dam o sobie wyobrażenie, tembardziej, że jak teraz na przykład, to się i wytłumaczyć nie mogę.

— A przecież i teraz zrozumiemy się — rzekł Kazimierz — a co do wyobrażenia, jakie pan nam dał o sobie, to zostanie tajemnicą aż do przyszłego spotkania, bo chcę koniecznie, żeby panu choć przez ciekawość odwiedziny moje pożądanemi były.

— Wię mi je pan przyrzekasz?

— Zaraz nawet na dzień jutrzejszy, przed wieczorem, jeśli będziesz w domu.

— Och! kiedy tak, to ja wciągu dnia jeszcze przyjdę powiedzieć, że niezawodnie będę.

I wymieniliśmy kilka zwykłych przy pierwszem zapoznaniu grzeczności, rozpowiedziałem gdzie mieszkam, panna Irena spytała się czy Kazimierz będzie mógł widzieć ową Helusię, która mnie tak wielkiego pedagogicznego nabawiła kłopotu, czyby ona także poznać jej nie mogła u Maryi-Reginy?—aż wreszcie stanęliśmy przy drzwiach hotelu i po szczerem przyjacielskiem uściśnieniu ręki Kazimierza, rozstałem się z nimi z dobrem jakiemś wrażeniem na duszy, lecz z głębokim smutkiem w przeczuciach.

Zupełna niespodzianka czekała mię w domu ślusarza — znalazłem wielkie zgromadzenie znajomych i domowników. Była jakaś krewna pani Piotrowa z mężem, panem Piotrem, i synem Jakubem stolarczykiem, było dwóch starszych czeladników samego gospodarza domu, i jeszcze jakiś chłopiec niedorostek, i poczciwa Małgosia, i Karolek, i Helusia i rodzice

jej—a wśród tych ludzi siedział Romuald i w najlepsze wygrywał od ucha mazury. Mimowolnie cofnąłem się myślą ku tej rozmowie, w której-to pogardliwy artysta dowodził nam, że niewarto przed warszawską publicznością występować i chyba na wrażenie pod kolumną Zygmunta krakowiaka urznie pospólstwu. Ale sam Romuald był o sto mil od tego wspomnienia; europejski podróżnik, salonowy koncercista, strojny pustak, rozpieszczony zbytkiem sybaryta, słowem wszystkie czarne diabełki, które tak często przez niego pazurki swoje na świat pokazywały, wszystkie jak pod egzorcyzmem uciekły mu z duszy i został tylko jakiś dziwnie piękny i pięknie poczciwy człowiek z wielkim talentem. Słuchacze jego nie posiadali się z radości, to ten, to ów tupnął nogą, klasnął w ręce, krzyknął sobie na ochotę, a twarz każdego wyrażała taką swobodną wesołość, taką dziarskość życia niezmarnowanego żadnem doświadczeniem jeszcze, że aż serce w piersiach rosło, patrząc na nich i myśląc sobie zaraz, ile to skarbów rodzimych w masach ludności spoczywa! Romuald zbratał się z nimi zupełnie; może to w nim była chwila artystycznych wrażeń jedynie, nie wiem, lecz niemniej chwilą prawdziwą w obecności przed nim stanęła; cała prostota, cała świeżość rozbudzonego uczucia tych ludzi ciężkiej pracy a lekkiej myśli i głębokiego serca objawiła się Romualdowi. Zrozumiał ich nadzieje niewypowiedziane nigdy, ich teraźniejszość bez wspomnień, ich kłopoty bez zgryzot, ich dni świąteczne bez oględności na powszednie jutro, ich uciechy głośne aż do odurzenia; zrozumiał płacz, śmiech, hulankę, zrozumiał nie w brudzie, szyderstwie, karykaturze, nie w satyrze lub dramacie, ale je zrozumiał w ich szczerej prawdziwości, w ich młodocianej sile i gruntowym gatunku. Prześlicznie mu też było z tym nowym życia objawem, prześliczną była muzyka jego!

Helusia tuż przy nim siedziała; zdawało się, że jej tchnienie jakiegoś aniołka zwykłą posępność z oblicza zdmuchnęło. Już widziałem ją spokojną, mocno

zajętą, kilka razy uradowaną nawet, ale wesołą nie widziałem nigdy. Otóż właśnie wesołą była w tej chwili. Twarz jej zdziecinniała prawie, żart jakiś migotał w dowcipnem złociejących oczu spojrzeniu, a uśmiech przelatywał po ustach; można ją było wziąć na kolana, pobujać na ręku, ucałować w oba policzki i zapomnieć, że to jest dziewczynka, co już marzeniem lub niepokojem w męzkie życie wpleść się zdolna.

Przy zakończeniu każdego mazura, lub też innej jakiej piosneczki, Romuald zawsze ku Helusi się zwracał i niby wzrokiem o dalszą radę pytał i dalszego przyświadczenia żądał.

Mała figlarka, domyślając się że to znów na finał zaczętej właśnie wczasie mego wyjścia melodyi nastąpi, dała mi znak, żebym pocichu za jej krzesłem stanął, potem kazała się naprzód wychylić troszeczkę i za mną wychylonym sama się ukryła. Udała jej się ta psota wybornie — Romuald rozochocony, wybijał smyczkiem tęgiego hołubca, a jako pierwej wciągu grania wejścia mojego nie uważał, tak i teraz zbliżenia nie spostrzegł. Za ostatniem smugnięciem po strunach odwraca się—i—bardzo żywemi czarnemi oczami rzuca mi takie żywe i przyjemne spojrzenie, że się aż od mimowolnego śmiechu wstrzymać nie mogłem, a zawtórował mi czysty głos ukrytej za mną Helusi. Romuald chciał mię zrazu bardzo niegrzecznie nabok usunąć, ale widać lepszy pomysł odwetu przyszedł mu do głowy, bo tylko rozśmiał się wzajemnie i palcem na nosie pogroził.

— No, chłopcy — rzekł potem wesoło — jakoś to kobiet i ślicznych dziewcząt nie widzę, bo się pochowały przedemną — jesteśmy sami teraz, będziemy pili, szkła tłukli, a jeśli przyjdą nas do domów rozpędzać, to się trochę pobijemy.— I jak mówił, tak grać zaczął, ale była to już prawdziwa szykowna, katarynek i pijaków muzyka.

— A wstydź się pan! — zawołała Helusia i poskoczywszy ze swego miejsca, trąciła go po ręku.

— Jeszcze raz, jeszcze raz! — powtarzał Romuald, ciągle grając toż samo. — Nie mogę się jakoś wytrzeźwić i nikogo jeszcze nie widzę.

— Zaraz tu pan zobaczy— z pustotą i śmiechem rzekła, a potem, niby na silne zamierzenie, podniosła rękę i w powietrzu ją wstrzymała.

Romuald grał ciągle — lecz niespodzianie grać przestał i podniesioną rękę Helusi uchwycił.

— Acha! teraz co innego — rzekł, patrząc jej w oczy — teraz śliczne dziewczęta wróciły, trzeba się grzecznie zachować. A co nam każą grać te dziewczęta, czy ja się już nie dowiem?

— Zaczekaj-no pan, niech pomyślę trochę.—I myśleć zaczęła, a Romuald ciągle jej drobną rączkę w swojem ręku trzymał.

— Ot tak — rzekła Helusia po chwili namysłu— grałeś pan jak się ludzie w szynku upijają, zagraj teraz, jak to się na Bielany idzie w drugi dzień Zielonych Świątek; mój Boże, wszakżeć to najpiękniejsza w całym roku uroczystość! Ja zawsze na ten dzień w moję białą sukienkę się stroję, bo kiedy niebo jest pogodne, to już taką pogodą, że tam nas z wysoka wszyscy święci i aniołowie lepiej widzieć muszą chyba, a ludziom jak wesoło! W inne dnie, choć czas piękny, niejednemu trudno się przybrać do dalszej wycieczki; wciągu tygodnia nieraz może myśli sobie, że pójdzie gdzie za miasto świeżem powietrzem odetchnąć, a mimowolnie w niedzielę czas mu zejdzie na bruku i wśród tych murów okopciałych. Lecz na Zielone Świątki każdy do lasku nad Wisłą pociągnie, a jak tam pięknie wtedy! jak pełno ludu! jak te gromady jego ślicznie rozrzucone, a wśród zieleni owe jasne lub jaskrawe kobiet ubiory, a ów gwar ciągły i głośny! Och! mnie się to wszystko podoba, ja wtenczas dopiero prawdziwie czuję, że mi jest dobrze z ludźmi na tym świecie, że obojętnych i nieznanych ja szczerze kocham w ich poczciwych wrażeniach; że ich szczęście, ich wesołość, ich śmiechy swobodne mnie nawet w smutku moim nie rażą. Czem jest bliźni,

czem brat mój, to ja najlepiej pojmuję, gdy właśnie jako w dzień ten pomiędzy tłum wejdę. Dziwna rzecz, tłum mię nie przeraża ogromem swoim, nie osamotnia swoją obojętnością. Ach! graj pan, graj o moich Bielanach!

Romuald pocałował trzymaną rękę, wziął potem drugą jeszcze, złożył obie jak do pacierza i puścił je lekko. Wistocie znać po nim było, że jakieś pobożne uczucie ruchem jego kierowało. Zaczął grać, nie piosenkę lecz pieśń poważną i uroczystą, a Helusia znów na swoje miejsce wróciła. Ledwie kilka przegrał taktów, głos jej zmieszał się z dźwiękiem skrzypców i odgadując prawie całe rozwijanie się wydobywanej z nich melodyi, popłynął srebrzystym i natchnionym.

Wszystkich słów jej śpiewu nie przypominam sobie, ale wiem, że w nich było o wielkim dla natury i dla ludzi odpuście, o zesłaniu Ducha Świętego, i wiem że jej to się układało nie w rymy, lecz w jakąś zgodną do muzyki harmonią; jeśli czasem zbiegły się gdzie końcówki, to przypadkiem jedynie, gdyż Helusia nie szukała ich wcale. Helusia, mógłbym powiedzieć nawet, nie tworzyła swej pieśni, tylko pieśń płynęła przez nią, prawie bezświadomie, jak tchnienie wiatru przez harfę eolską, i zdawała się niby modlitwą, niby echem natury.

— „Och Boże mój — dziękuję ci, że tyle blasku w powietrzu płynie. Że tyle światła, promieni tyle to jedno słońce na ziemi ma. Och! Boże mój, dziękuję Ci! bo gdy odetchnę, to z odetchnieniem pierś moja wciąga jasność i czuję, że każdy oddech świeci w jej głębi, że każdy oddech promieniem...

„Och! Boże mój, dziękuję ci! Wiosna po ziemi wionęła już i tyle bzów, konwalij, róż, i łąki takie majowe są — każda gałązka każdego drzewa, niby krwią ciepłą sokiem nabrzmiewa i liść się każdy zieleni w cień. Och! Boże mój, dziękuję Ci, że prawa Twoje wiecznie świętemi, że dajesz wiosnę stęsknionej ziemi, że co umarło, to zmartwychwstaje, że co istniało, to

musi być, że odrodzeniem jest chwila zgonu, że siłą mądrość Twego zakonu i że jest życiem Twój cud!...

„Jakiż to wielki świąteczny dzień! Na niebie taka jasna pogoda, na ziemi wiosna taka dziś młoda, w kościele dzwonów tak głośny dźwięk! A dzwony biją, bo mają nieść znękanym ludziom radosną wieść, że od ich grzechów odjęta kara, że z ponad głowy miecz już odjęty... że im zesłany jest Bóg, Duch Święty, i że to odpust w biednym klasztorze, w klasztorze ludzi najnieszczęśliwszych, co się przed światem musieli skryć, co żywcem w grobie musieli żyć, co kiedy wszyscy dokoła nich szczęściem tak dusze swoje karmili, jak ciało karmią kawałkiem chleba, a z szczęścia brali siłę i moc, oni się tylko dokupić nieba boleścią mogli i wyrzeczeniem.

„Och! matko moja, pójdziemy tam i pójdzie z nami tak mnogi lud, i gwarno będzie, wesoło nam, bo choć godzinę tak pożyjemy, jak w prawie Bożem znaczone jest! Mnóstwo nas będzie, a miejsca dość. Mnóstwo nas będzie, a nikt nikomu przeszkodą w drodze jego nie stanie, choć wszyscy przyjdą po część uciechy, uciechy wszystkim równo wystarczy, i kto się zechce spojrzeć dokoła, temu jednakże serce uderzy wielką radością, albo przynajmniej na wielką przyszłość nadzieją wielką.

„O Boże wielki! o Ojcze nasz! — Ty znów dla dzieci Twych odpust masz i znów im wszystkim danem zostanie Ducha Świętego Boskie zesłanie...“

Nie mogę sobie darować, że mi tej całej Helusinej piosenki pamięć wierniej i dokładniej nie przechowała; snują mi się po głowie ustępy jakieś zaledwie, jakieś wyrazy, które częściej od innych wracają, ale nie umiem ich złożyć do końca. Smutna rzecz, bo to jak gdybym pamiątkę po niej utracił; zapomnienie jest jedynem najzupełniejszem zniszczeniem— zapomnienie jest nicością. Jabym nie chciał, Helusiu moja, siostrzyczko moja, dziecino moja—och! jabym nie chciał, żeby te dźwięczne piosenki twoje, żeby te promienie-

jące chwile twego życia w marną nicość się rozwiały. I dla ciebie wróciłem myślą do przeszłości mojej, wstrząsnąłem gorzkich wspomnień popiołem, żeby z niego twój niepokalany obrazek wydostać, ale jak widać zapóźno wziąłem się do pracy; tyle siły wytężyłem pierwej na odtrącenie w niepamięć upłynionych zdarzeń i wrażeń, że dzisiaj, gdy ich szukam znowu, sam widzę, jak mi wiele już bezpowrotnie zginęło. Dziś ja stary i martwy, cóż dziwnego, Helusiu moja, że sobie nuty twego śpiewu i słów myśli twojej w całości przypomnieć nie mogę. Ty śpiewałaś głosem pierwszej młodości żywą wiarę swej duszy i przeczystem wszechpiękna uczuciem. Cóż dziwnego, Helusiu moja, że ja sobie już teraz przypomnieć nie mogę...

Romuald zpoczątku narówni się utrzymywał z natchnieniem śpiewającej dziewczynki, ale im bardziej głos jej silniał, im pełniejsze dźwięki i świętsze słowa z piersi jej wydobywać się zaczęły, tem on cichsze z własnych skrzypców tony wydobywał i nakoniec zasłuchał się w jej hymnie i tylko od czasu do czasu pociągnął smyczkiem po jakiej strunie, która się przeciągłem i uroczystem brzmieniem z nutą śpiewu Helusi zmieszała.

Tym razem Helusia nie zesłabła i nie zwątlała, jak w ów wieczór, gdy jej marzeń piosenka cichem westchnieniem rozpłynęła się w powietrzu. Nie; przez chwilę wprawdzie głos jej drżał lekko, jak gdyby myślą rozdrażnione struny serca trąciła, ale wnet dźwięk tej jednostkowej boleści przelał się w wyższą i spokojniejszą harmonią. W ostatnim wyrazie rzuciła głosem tak śmiało i swobodnie, że zdawało się, jakoby naraz całe jego bogactwo rozwinąć chciała, a gdy umilkła, przez chwilę jeszcze głowa jej dumnie wzniesioną była, ręka wyciągniętą, a siwe oczy tak pełne blasku i złota, jak oczy takich ludzi, co się w przyszłość patrzą. Niedługo jednak została w tej postawie.—Ktoś z obecnych zawołał:

— Och! mój Boże, jakżeż to piękne!

I dziewczynka drgnęła, niby ze snu obudzona, i spojrzała po sobie, jak gdyby ten jej ruch zatrzymany dziwnym się bardzo wydawał, a potem obróciła się ku Romualdowi i tak samo pobożnie rączęta złożyła, jak on jej złożył, kiedy stała przed nim.

Już co wtenczas, to ręczę, Romuald byłby chciał uklęknąć i modlić się do niej.

Ślusarz ręce zacierał, młodzi czeladnicy i pan Jakób stolarczyk najlepiej chwalili, bo milczeli, choć na twarzach wzruszenie znać było. Małgosia powtarzała ciągle:

— Dziękiż Tobie Boże! — i trudno wiedzieć czy jej na myśli była wdzięczność za śpiew usłyszany, czy za to, że Helusi znów się śpiewać chciało. Karolek ze starszym swoim towarzyszem przycichli w głośnej zabawie, a pani Agnieszka z rozjaśnioną twarzą, ze spokojnym uśmiechem głębokiej lecz cichej radości, słuchała, jak jej pani Piotrowa przywodziła na pamięć wszystkie swoje proroctwa o Helusi przed jej urodzeniem i po jej urodzeniu czynione, bo pani Piotrowa była bardzo wielką wróżbiarką i, co więcej znaczy, sama w sobie w tym względzie najmocniej wierzyła. Dowiedzieliśmy się też od niej, że ona przepowiedziała córkę pani Agnieszce, że wytłumaczyła sen jej na dwa miesiące przed urodzeniem przypadły, a w którym się młodej ślusarzowej o kwiatach na ołtarzu śniło, i że gdy nowo-narodzoną córeczkę do chrztu świętego nieśli, z pierwszem wstąpieniem w progi kościelne organy zagrały pieśń Veni-Creator dla jakiejś pary nowożeńców, i że ona, pani Piotrowa, zaraz ztąd wniosek uczyniła, że to pójdzie na szczęście dziewczątka, że maleństwo rość będzie w opiece Bożej, pod dobrym wpływem weselnej godziny i przychylnego spojrzenia, z jakim się zaraz w pierwszem dopełnieniu chrześciańskiego obrządku spotkała.

— Gdyż to wiele znaczy — mówiła pani Piotrowa — och! bardzo wiele, kiedy na dziecko w chwili chrztu jego szczęśliwe oczy spojrzą; a na Helusię patrzyło dwoje nowożeńców!

— Tylko, moja cioteczko — odezwała się na te słowa dziewczynka—powiedzcie mi, czy to miało znaczyć, że i ja szczęśliwą będę?...

— Och! tak, szczęśliwą toby i trudno człowiekowi było, ale widzisz, moje dziecko, to miało znaczyć, że niezawodnie coś szczęśliwego dostaniesz na całe życie: jednym daje Bóg w takiej chwili majątek, drugim zdrowie, innym honory, a tobie, Helusiu, dał rozum i głos do śpiewu.

Pani Piotrowa nie miała w użyciu tego słowa „poezya," gdyż niezawodnie byłaby się niem posłużyła w tej chwili. Mniejsza jednak o wyraz. W prostocie swojej dobra kobiecina ledwo co o najwyższe nie uderzyła myśli. Mieć siłę, potęgę, talent — czyż to nie jest, według jej powiedzenia, mieć coś szczęśliwego na całe życie, bez szczęścia? Ale czy dar ów jest darem jednej chwili Bożej, niespodzianką, przypadkiem, jak tych lub owych oczu spojrzenie?... Ja temu wierzyć nie mogę.

Kiedy się wszyscy rozeszli, Romuald jeszcze wstąpił do mnie nagórę: chciał jak widać porozmawiać ze mną, lub raczej posłuchać tego, co jabym z wrażeń wieczornych według jego własnej myśli mówił; lecz dla mnie wrażenia owe poprzedzonemi zostały smutnem o Annie wspomnieniem. Jeśli nie chciałem psuć mu dobrej chwili jego, to nie chciałem też grzeszyć przeciw cierpiącej podsycaniem jego wesela, bo sam przed sobą w głębi duszy wierzyłem pannie Irenie i Kazimierzowi: byłem pewny że Anna jest nieszczęśliwą lekkomyślnie w jej życie przez Romualda rzuconem nieszczęściem, ale też uderzyła mnie zgodność raz przez niego wymówionych wyrazów z prawdą rzeczywistych zdarzeń. Istotnie pamięć tej kobiety między nim a każdą pomyślnością padała czarnym i żałobnym cieniem. Teraz na przykład był on rozradowany, oczarowany, upojony; jako artysta nowe zdobył skarby dla sztuki, jako człowiek nowe uczucie dla serca — a tymczasem, w tymże samym dniu właśnie przybyli ludzie,

którzy znali Annę, którzy surowo i groźnie zapytać go mogli:

— „Szaleńcze, co zrobiłeś z szczęściem tej kobiety?“

Ulitowałem się swobody jego i nic nie rzekłem o nowo poznanych.

Romuald nie mógł przyczyny milczenia zrozumieć.

— Czemu ty dziś taki ponury, mój Ludwiku? — zapytał mię wreszcie.

— Ej, zdaje ci się — odrzekłem — chyba to jest taka smutna wesołość.

— Być może — smutna wesołość — prawda, mnie samemu po tym śpiewie śmiać się nie chce, a jednak po tym śpiewie to tak dobrze na duszy, że jeśli mię w powrocie żebrak jaki spotka, oddam mu niezawodnie nie połę od surduta, ale cały surdut mój; więcej zrobię niż św. Marcin.

— Boś też więcej Panu Bogu się zadłużył.

— Słusznie mówisz, daleko więcej; ja też ci powiadam, że jakiś nieograniczony kredyt w niebie mieć muszę: czego zapragnę tylko, to mi zaraz dają aniołowie. Mnie się też widzi, mój Ludwiku, że już ja chyba nigdy z rozpaczy nie umrę — i uśmiechnął się dumny, pewny sam siebie, zaufany w gwiazdę swoję.

— Wiesz co — odezwałem się wtedy trochę wolnym i dobitnym głosem — nie śmiej się ze mnie, ale ci powiem, że jestem czasem zabobonny, jak pani Piotrowa. I tak: w dzieciństwie słyszałem, że kiedy kto co pochwali, to trzeba splunąć, by na pochwaloną rzecz jakiś zły urok nie padł; i kiedy kto sam siebie szczęśliwym wyznaje, to trzeba dobrze wkoło się obejrzeć, bo to w wysokie drzewo piorun najprędzej bije, a w szczęściu człowiek zawysoko rośnie.

Romuald stanął, wpatrzył się we mnie i z rzewnością powiedział tylko:

— Biedny Ludwik!

Zapewne musiało mu się zdawać, że mię obojętne słówko jakie, lub inna przewidziana drobnostka

w postępowaniu Maryi-Reginy uraziła i że dlatego jedynie posępne myśli przychodzą mi do głowy, a ja także po wyjściu jego rzekłem:

— Biedny Romuald!

O dziesiątej godzinie zrana stawiłem się nazajutrz według rozkazu u Maryi-Reginy. Przyjęła mię w swojej pracowni, to jest w owym małym gabineciku, w którym-to raz już tak długo z nią o Helusi i o jej własnych wspomnieniach mówiłem. Gdy wszedłem, stała przed naciągniętem świeżo na wielki obraz płótnem i śmiałemi rzutami znaczyła pierwsze pomysłu swego zarysy. Ubiór jej był na wygodę obliczony tylko, twarz niespokojnością lekko zmieniona, a jednak dziś jeszcze, gdy ją sobie przypomnę w tej chwili, to mi się zdaje, że takiej pięknej Bóg stwarzać nie był powinien, kiedy ona ukochać nikogo nie mogła. Och! widzę ją znowu...

Nad wzniosłem czołem, przez środek głowy, jej czarne włosy dzieliły się wązką ale wydatną jak brzeżek białego papieru kreską, a rozdzielone, wszystkie w tył do jednego warkocza biegły i na wzór greckich posągów z cudną prostotą w potrójne koło się zwijały. Przy takiem zaczesaniu rysy jej twarzy niby przeciągnęły się trochę, ale nabrały powagi i wydatniejszej w liniach czystości. Skroń szczególniej odkreśliła się w całem bogactwie rozmiaru, białości i żył błękitnych, które nadół płynąc, spadek policzka i osadzenie szyi lazurową przebijając siatką, dopiero w jednostajnej popiersia ginęły śnieżności. Ja myślę, że jeśli uczeni i malarze nie znaleźli dotychczas, na starożytnych medalach lub freskach, profilu głowy tak uczesanej, to pierwowzór jego znajdzie się kiedyś jeszcze w Herkulanum lub Pompei szczątkach. Któryś z artystów greckich musiał przecież wymarzyć taki ideał, w jego wieku było to koniecznem — w naszym czasie jest pomyłką i nieszczęściem zjawienie podobne. Ale bo jak też wszystko razem łączyło się, harmonizowało i na myśl wiodło to posągi Hellady, to sybille kumejskie, to płaskorzeźb odgrzebanych postacie tajemnicze—ale

to wszystko, wszystko: ruch, skład ciała, strój nawet, gdyż suknia Maryi-Reginy była tylko prostą z czarnej wełnianej tkaniny draperyą, w staniku ściągała ją skórzana przepaska, na ramionach sznury jedwabne, u wycięcia gorsu niewidzialne podwleczenie, reszta spadała sobie w dowolnym nieładzie, łamała się w różne i zmienne fałdy, zpomiędzy których wysuwały się oswobodzone z rękawów przy malowaniu ręce, takie marmurowo białe i okrągłe, takie snycersko-wykończone, takie doskonale piękne...

Wejście moje nie przeszkodziło zaczętej robocie: Marya-Regina skinieniem głowy powitała mię tylko i wskazała opodal stojący szezląg. Usiadłem w milczeniu. Przez chwilę patrzyłem na nią, a patrzyłem takim wzrokiem, żem przejrzał aż do myśli.

Marya-Regina niby pośpiesznie obwody gór i drzew znaczyła, ale łukowe brwi jej drżały w mimowolnem ściągnięciu i dłoń myliła się ciągle w nieużywanych pociągach.

— Pani się lęka, czym ja Romualdowi o wczorajszej rozmowie nie wspomniał — rzekłem do niej łagodnie, lecz smutno, bo mi jej namysł przed zaczęciem rozmowy przykre zrobił wrażenie. Marya-Regina rzuciła kredę i bystro z zadziwieniem spojrzała na mnie.

— A to rzecz osobliwsza — rzekła niby sama do siebie — ten człowiek chyba słyszy jak ja myślę!

— Słyszy czasem, tylko nie wiedział że to panią obraża.

— Nie, nie obraża, wierz mi, panie Ludwiku! — I mówiąc te słowa, obok mnie na tymże samym szezlągu usiadła. — Są chwile — ciągnęła dalej — złe chwile, w którychbyśmy chcieli sami w sobie zmieszanych głosów nie dosłuchać, ale też w takich chwilach najlepiej właśnie znaleść prawą i szlachetną duszę, która niedopowiedziane wyrazy odgadnie, zrozumie, a nie potępi.

— Nie potępi? co też to pani mówisz?

— Mówię szczerą prawdę, panie Ludwiku. Gdyby zamiast pana siedział tu człowiek niewyrozumiały, surowy, sprawiedliwy, bez miłosierdzia, człowiek, który w życiu całem trzymałby się na oślep wyuczonych pamięciowo zasad cnoty i przepisów poświęcenia, a gdyby przytem, tak jak pan, czytał w mej myśli i wiedział co się teraz dzieje, to człowiek ów potępiłby mię bezwątpienia. Spotkałam w życiu kobietę, która mi była przyjaciółką i siostrą. Wzięłam od niej tyle skarbów uczucia, ile ich dać mogła tylko, dałam tyle, że nieufność wcielona byłaby mi zaufać musiała, a wkońcu — cóż zrobiłam? Oto zatrułam całe szczęście tej kobiety. Nie dozwoliłam jej uwierzyć że kochaną będzie, temu który ją kochał wydarłam gwałtem całą miłość dla niej i w ostatecznym wyniku mych starań otrzymałam, że jest na świecie jedno serce zbolałe i jeden artysta więcej. Wszakże pan widzisz, że dokładnie cały stan sprawy pojmuję i że umiem sama siebie sądzić, a jednak pana sądu się nie lękam. Pan taki młody, panu tak łatwo być pobłażającym i poczciwym. Pan mię zrozumiesz w przezornej oględności mojej, bo ja dziś jeszcze nie wiem, co jest większem nieszczęściem dla ludzi: czy miłość, której się wyrzekają w całej świeżości jej pierwotnego powabu, czy miłość, którą tracą z duszy wśród rozczarowania, wśród niesmaków i wśród najokropniejszego uczuć swoich bankructwa. Złe, które wyrządziłam, jest dziś już pewnością. Byle też kto kamieniem może cisnąć na mnie, ale złe, którego oszczędziłam ukochanym moim, zostało w przypuszczeniu i wybrany człowiek tylko jest je ocenić zdolnym. Dziękuję ci, panie Ludwiku, żeś wiedział o tem wszystkiem pierwej, niż mówić zaczęłam.

Kiedy sobie dzisiaj rozważam słowa Maryi-Reginy, to w nich widzę taką martwą najżywszych uczuć ludzkich analizę, taką samowolną ze szczęściem drugich igraszkę, a przytem zimnej krwi tyle i zarozumienia we własnej nieomylności tyle, że mię aż jakiś strach czy wstręt pobiera, ale wtedy, osobliwsze na-

miętności zaślepienie! — wtedy zupełnie inaczej mi się przedstawiła. Nie było to ani brakiem sprawiedliwości z mej strony. ani lekceważeniem sądzonego przedmiotu, ani ujemnością w poczuciu rzetelnej prawdy — nie, to było jakąś oddzielną władzą tylko innego pojmowania Maryi-Reginy, głosem też najzupełniejszej szczerości.

— Nie dziękuj mi pani — rzekłem — mnie łatwo odgadnąć co pomyślisz, zrozumieć co powiesz, ocenić co uczynisz, bo ja wiem naprzód, że to dobrem będzie.

Marya-Regina uśmiechnęła się wdzięcznie, łagodnie, lecz smutno.

— W czyich innych ustach słowa pana dałyby się bardzo łatwo na dowcipną i złośliwą przymówkę ułożyć, ale się pan nie lękaj, przyjmę je tak, jak powiedziane były: w prostocie ducha i bogactwie jego. Czyż to pan już taki stary, albo tak znękany zawodami świata, żebyś się nie mógł zdobyć na ów klejnot zbytkowny, na wiarę człowieka? Och! jeszcze ja go mogę przyjąć od pana, i tem sumienniej przyjąć, że pana nie zubożę w przyszłości. Kiedyś, jak wierzyć przestaniesz, a rozbierać zaczniesz, przekonasz się, że ci za dyamenty twoje fałszywego złota nie sprzedałam.

— Maryo-Regino! czy doprawdy tak było? cha, w stosunku do mojej osobistości, jedynie potępić cię nie mogę; istotnie w dobrej wierze spłaciłaś mię kruszcem twego serca. Nie wyrzucam ci kłamstwa, w żadnej chwili twego życia oszukać mię nie chciałaś. Jaką byłaś, taką zawsze przed oczyma mojemi stanęłaś, ale że byłaś w treści swej natury złudzeniem i pomyłką, ja sam sobie skłamałem, jam się sam oszukał.

Marya - Regina, domawiając swoim najdźwięczniejszym głosem słów tak pełnych najhojniejszych obietnic, wzięła mi rękę i obudwoma swemi uścisnęła rękoma, przez chwilę nawet zatrzymała ją w tym uścisku, a mnie ciepło jej miękkich dłoni krwią gorętszą przez żyły do serca popłynęło. Schyliłem się, chciałem przyciągnąć do siebie te dwie ręce koło mej ręki różowemi palcami splecione, chciałem je ucałować na-

miętnie, szalenie, chciałem sobie w owe białe ramiona bijącą wszystkiemi tętnami głowę obwinąć, chciałem krzyknąć i zapłakać — a ja tylko w tem pochyleniu się swojem zadrżałem i zarumieniłem nagle, bo mię zjęła cześć wielka dla tej ufnej pieszczoty, upokorzyłem się przed świętością jej czystego spokoju, przed błogosławioną niedomyślnością obudzonych nią wrażeń. Marya-Regina jednak prędkim ruchem wypuściła dłoń moję.

— Dobrze pan zrobił — przemówiła po chwili bardzo spokojnym i prawie poważnym głosem—bardzo dobrześ pan zrobił, że o wczorajszych wieściach nic Romualdowi nie wspominałeś. Jeśli sam się dowie od Kazimierza, lub której z tych pań—cha, trudno! — z ich strony, jak pan łatwo pojmujesz, nie mogę i nie chciałabym żądać tajemnicy, ale co jest w możności mojej, to zrobię, i póki stanowczych względem Anny nie uzyskam objaśnień, póty wspomnień Romualda rozdrażniać nie będę. Los musi mi też dopomódz w tem trochę, ale jeszcze mam jednę prożbę do pana .. Oto czy znasz pan kogo w Krakowie?

— Znam kilka osób, nawet krewni moi tam mieszkają.

— To dobrze; napisz pan, żeby panu donieśli koniecznie, gdzie jest teraz doktór i żona jego.

— Napiszę dzisiaj zaraz.

— Dzisiaj? tak, dzisiaj wieczorem poczta odchodzi; list trzeciego dnia stanie w Krakowie, czwartego odpiszą, z końcem tygodnia odpowiedź nas dojdzie. Wiesz co, panie Ludwiku, każ sobie do pałacu Załuskich list na moje ręce adresować; nie chciałabym ani jednej chwili stracić napróżno, gdy odpis już będzie.

— Och! bądź pani spokojna, wszelkiego dołożę starania, żeby ją doszedł prędko i, daj Boże, według myśli jej.

Marya-Regina wstała, przeszła się kilka razy po małym pokoiku i zatrzymała przed sztalugą swoją;

długą chwilę patrzyła w niewyraźnie oznaczone obwody, aż nakoniec skinęła ręką, bym się zbliżył ku niej.

— Widzisz pan te zarysy? — rzekła.— Otóż jest chwila obecna mego życia, temu płótnu podobna. Zarysy jakichś zdarzeń i osób kreślą się na kartach mojej biografii, ale co ja z nich ułożę, co los z nich ułoży, to nie wiem jeszcze, jak nie wiem, czy ten krajobraz wschodzącem słońcem czy księżycem oświecę, jak nie wiem, czy z tej postaci pod krzyżem zrobię kobietę zadumaną, czy szczęśliwą, płaczącą — czy trupa? — Bo widzisz pan, efekt artystyczny może mnie zarówno w ten i w ten pomysł znęcić. Krzyż już jest wyraźnie odznaczony, krzyż, to jest nieomylność i pewność moja; ale krzyż może wszechwładne wyciągnąć ramiona i nad spokojem duszy myślącej, i nad zachwytem radosnego uniesienia, i nad rozpaczą i nad śmiercią. Co ja wybiorę z tego? nie wiem, będzie to od usposobienia mojego i od przyszłych chwil zależało. Gdy skończę obraz, a pan spojrzysz na niego, to się dowiesz, jakie ja koleje życia przyjmuję.

— Bodajbyś pani tylko szczęśliwe malowała twarze! — rzekłem na to, widząc że znów kredę ująwszy, pilnie zaczęła koło oznaczenia grupy drzew pracować. Skłoniłem się na pożegnanie i wyjść chciałem z pokoju.

— Zatrzymaj się pan chwilkę jeszcze — rzekła znowu, porzucając swój obraz—ja także do listu przyłączyć coś muszę — i poszła do stolika z papierami, przerzuciła kilka welinowych ćwiartek, nakoniec odsunęła wszystkie i wziąwszy swoję czarną aksamitną książkę, otworzyła ją w tem miejscu, w którem była sylwetka Anny wsunięta. Przypatrzyła się jej z uśmiechem na ustach i weselem w oku, a potem od spodu kartki wycięła nożyczkami bilecik maleńki i skreśliła coś na nim.

— Zastrzeż pan sobie w liście, który pisać będziesz, żeby ten papier do własnych rąk pani Anny oddano — rzekła, podając mi go. Karteczka nie była

zwiniętą, przeczytałem więc na niej te słowa: „Nie wątpij, Anno-Klaro.“

— I pocóż to? — spytałem — poco dla Anny ta nadzieja? Pani bratu swemu nie chcesz serca bolesnem wspomnieniem rozdrażniać, a tej kobiecie rzucasz słowo, które może ciężką moralną pracę kilku lat zniweczyć i kiedy, w jakiej chwili właśnie? — Przy tych ostatnich słowach miałem na myśli nowe uczucia Romualda i zupełniejsze o Annie zapomnienie, lecz Marya-Regina przystosowała je do świętości przyjętych przez Annę obowiązków.

— Wy tak wszystkich i wszystko na drobną skalę waszych pojęć mierzycie — z lekką cisnęła mi wymówką.—Panu się zdaje, że Annie mężatce nie godzi się o jej pierwszej wspominać miłości, bo to grzech, bo to nieszczęście, bo to zgorszenie zapewne. Ależ, panie Ludwiku, czy pan wiesz, jaką świętością ta miłość była w jej duszy? Anna-Klara jako żona innego nie tem cierpi, że się dziś z Romualdem połączyć nie może, nie tem cierpi, że on daleko, ale tem że obojętny, że jej przestrogi moje wiarę w trwałość uczucia jego zachwiały, że nakoniec gdy pomyśli o przeszłości swojej, to jej uczcić nie może, bo w niej tylko fałsz i zawód widzi. Moją winą jest gorycz takiego cierpienia, ja też ów kielich zprzed niej usunąć powinnam; nie na teraźniejszość, nie na przyszłe życia wypadki, ale na uświęcenie tego co minęło dam jej miłość brata mojego i powiem: nie smuć się, Anno-Klaro, wypadki życia mogły ci się były w pomyślniejsze ułożyć okoliczności, ale którąkolwiek stroną idzie ścieżka twoja, Bóg ci dał na wsparcie i na zasiłek prawdę uczuć twoich. Co kochałaś, było wartem kochania, co marzyłaś, było rzeczywistością. Miłość dla ciebie została w sercu Romualda. Przeszły po niej wrażliwego charakteru cienie, przeszły szalonego życia artystów widziadła, a ona została niezmienną, ona trwa dotąd i — w każdem odbrzmiewa natchnieniu i w każdej myśli szlachetniejszej rozbłyska. Och! jak ja powiem tak Annie, to moja Anna-Klara złoży ręce na piersiach,

pomyśli o niebie, o wieczności, lekko wstrząśnie ciężarem tłoczącej ją w obecnej chwili niedokładności i z rozjaśnionem czołem śmiało naprzód pójdzie. Cha! pan nie wierzysz, pan głową smutnie poruszasz! Jakto? więc ci się zdaje że kobiecie — kobiecie czystej, świętej jak pierwowzór Boży—w jakichbądź życia warunkach nie wystarczy na szczęście, na siłę, na ufność w przyszłe zbawienie ta jedna pewność tylko, że jest i była prawdziwie kochaną?

— Ja nie temu zaprzeczam — odparłem bardzo smutnym głosem.

— Nie temu? więc cóż pan chciałeś wątpliwem swojem poruszeniem wyrazić?

— To, że jeśli pani dla Anny-Klary nie masz innej pociechy, to jej pani lepiej nie posyłaj tej kartki.

— Dlaczego? ja nie rozumiem!...

— A mnie to dziwi, że pani wytłumaczenia możesz potrzebować.

— Wistocie trochę to jest dziwną rzeczą; udziel mi go pan jednak.

— Oto ja nie pojmuję, dlaczego chcesz pani jałmużną kłamliwą wspierać tę, którą pani sama przyjaciółką i siostrą swego wyboru nazwałaś. Pani siostra i przyjaciółka musi zbyt wiele mieć prawdy w swej duszy, żeby braku prawdziwości przeczuciem nie odgadła. Pani siostry i pani przyjaciółki urojeniem pocieszać nie można.

— Kto panu mówi o kłamstwie i urojeniu? Romuald kocha Annę.

— Kochał Annę, lecz dzisiaj zupełniej niż kiedykolwiek już zapomniał o niej — czyż pani tego nie widzisz? Romuald kocha Helusię.

Marya-Regina spojrzała na mnie z zadziwieniem, potem ów jej półuśmiech złośliwy lekko po ustach przeciągnął, potem przyłożyła palec do czoła i zakręciwszy nim znak kilkakrotnego kółka:

— Już znowu — rzekła — oj! co też to tym młodym poetom się roi! Boże zmiłuj się „Romuald kocha Helusię“— bo on gra a ona śpiewa. Przyznaj

się pan, panie Ludwiku, że cię uwiodło trochę wdziękiem swojem tak dobrane skojarzenie. Ale nie żałuj pan swego pomysłu — prawda rzeczywistości, byle się w nią dobrze wpatrzeć, jest zawsze od prawdopodobieństw wymarzonych piękniejszą. Romuald nie kocha Helusi, wierz mi pan, w tem jest daleko więcej poezyi: są dwie dusze, które się spotkały i podziwiły wzajemnie, dwie indywidualności, które niezależnie wspomagać się będą, dwa talenta jednakie, które sobie sprawiedliwość oddadzą. Dwa talenta—ależ, panie Ludwiku, to jest bliższe spokrewnienie, niż brata z siostrą w rodzeństwie, to jest zupełna tożsamość, a wiemy przecież, iż namiętność na prawach sprzeczności rozwija się tylko. Nie, już bez żartu mówię, pan się zupełnie omyliłeś w tym względzie. Romuald nie może kochać Helusi; prawda że się nią zajął, zachwycił, zaczarował, bo to jest śliczny utwór Pana Boga, ale pomyśl pan tylko, czy taki człowiek jak on, starszy o lat tyle, o wrażeń tyle, o błędów tyle, czy taki człowiek może kochać Helusię-dziecię i Helusię Aniołka? nie, to nie leży w naturze rzeczy. Helusia będzie ukochaną młodem, nieskażonem sercem; Helusia w czyste, poświęcone i pracowite życie wniesie urok swej pieśni, z świętego wypełniania rodzinnych obowiązków weźmie zabezpieczenie szczęścia swojego. Helusia... — i na chwilę zawahała się Marya-Regina, nie wiem, czy przez sumienność, czy przez litość, czy przez jakieś zakłopotanie kobiece. — Ot, czemuż nie mam powiedzieć — śmiało rzekła wreszcie — Helusię pan będziesz kochał.

Na te słowa myślałem, to jest raczej nic nie myślałem, czułem tylko że blednę, że mi się w piersiach gotować zaczyna i że mnie taki wściekły gniew ogarnia, jak gdybym chciał zabić tę piękną kobietę. Przystąpiłem do niej o parę kroków, próbowałem, czy nie wymówię choć obelgi jakiej, ale mi usta drżały, głos w gardle zamierał, instynktownie tylko ręce skrzyżowałem, bo mi się zdawało, że byłbym ją pochwycił niemi i do błagania o przebaczenie zmusił. Och! ja

wtenczas jeszcze bardzo gwałtowny byłem; kto nie odgadywał tego w charakterze moim, ten zawsze mógł się z mej strony chwili podziwu lub przerażenia spodziewać. Nie wiem, czy pół minuty stałem tak przed Maryą-Reginą i patrzyłem jej w oczy, jednak musiałem patrzeć okropnie, bo ona dumna. ona wiecznie spokojna, ona — Marya-Regina — cofnęła się, i zbladła także i mówić nie śmiała także. Widok jej przestrachu, w którym żadna iskierka uczucia nie świeciła, o szaleństwo mię przyprawiał. Rozdarłem trzymaną kartkę, cisnąłem jej pod nogi i prawie obłąkany uciekłem z pokoju. Cały dzień przesiedziałem u siebie na górze, zapomniałem o lekcyi z Helusią, o sprawie z mecenasem, o przyrzeczonych Kazimierzowi odwiedzinach — pamiętałem jedynie o ostatnich Maryi-Reginy wyrazach, wydobywałem z nich cały jad szyderstwa i pogardy, jakiemi tylko zaprawione być mogły, rozprowadzałem sobie w najdrobniejsze odcienia, mówiłem sam do siebie ich znaczeniem ukrytem: — „Pan będziesz kochał Helusię — Helusia dziecko i pan dziecko — Helusia aniołek i pan aniołek. — A jaki głupi aniołek! oto widzisz stoję przed tobą, wiem że mnie kochasz i śmieję się z ciebie, a ty mnie za to w rękę pocałujesz, ugryzę ci kawał serca, a ty nawet nie sykniesz że cię boli. Każę ci kochać inną, a ty, potulny baranku, nawet nie bekniesz w posłuszeństwie twojem. Jaki ty dobry, szlachetny, moralny, jaki śmieszny i chory, ty niekochany wzajemnie wielbicielu!“

I tak się przedrzeźniałem z jej wyrażeniami, a po tych uniesieniach napływało mi do serca jakieś nieograniczone męzkiej dumy i siły uczucie. Czemże jest ta kobieta? — myślałem sobie — kobietą, cackiem salonowem, artystyczną pięknością? — niczem! Jej życie czcze i bezcelowe; dla niej w przyszłości niema żadnego zawodu, żadnej pracy. Zkądże jej prawo do urągania męzkiemu sercu, zkąd zuchwalstwo takie? Ha! silna, póki ja słaby, królowa, póki ja w poddaństwie, spokojna, póki ja w ciszy; ale czy ty wiesz, Ma-

ryo-Regino, że trwanie tego od mojej nie od twojej woli zawisło? Czy ty wiesz, kobieto, że nie ja, ale ty dzieckiem jesteś — nieroztropnem, bardzo nieroztropnem dzieckiem; bawisz się ze mną, a jak mi się sprzykrzy, to ja odzyskam siłę moję, i królestwo moje i burzliwość namiętną moję, jak mi się sprzykrzy, to cię mogę zabić, wyszydzić, mogę nawet nie dbać o ciebie, bo przedemną, dzięki Bogu, świat cały otworem, nauki, sława, miłość lepszych kobiet...

Paroksyzma tej gorzkiej ironii niezbyt długo trwały; ochłonąłem z gniewu i oburzenia, ale głębokie rozżalenie i boleść została. Widziałem jasno jak na dłoni, że mię Marya-Regina nie kocha; dlaczegóż ja kochać ją mogłem? to mi było niepojętem, niewytłumaczonem. Musiałem przyznać sam sobie, że się zpod tego nie wyłamię, ale postanowiłem, konających Rzymian obyczajem, uwinąć się w togę własnej godności i cierpieć obojętnie. Wdzięczny byłem za podaną przez Maryą-Reginę myśl, by w liście do Krakowa pisanym jej adres wprost wskazać. Tym sposobem mogłem się wywiązać z ostatniego jej żądania i wszelkich dalszych uniknąć stosunków, bo że stosunki wszelkie zerwać chciałem, to mi było jedyną pewnością w tej chwili. Załatwić ostatecznie, choć byle jak, wszystkie moje sądowe sprawy, odjechać niespodzianie, odjechać i nie pożegnać się z nią nawet, i nikomu dlaczego wyjeżdżam nie wspomnieć: w to się teraz łamały wszystkich moich projektów kształty. Żal mi tylko było Helusi; istotnie, czułem że tej dziewczynie użytecznym jeszcze być mogę; nasze rozpoczęte nauki wymagały koniecznie dalszego rozwinięcia, a prócz tego dręczyło mię trwożne jakieś przeczucie, gdym pomyślał, że ją tak samę, ufną i bezbronną, zostawiam między tą siostrą i tym bratem, o których, dziwne przeznaczenie! już się dwa szczęścia dwóch serc szczerze kochających rozbiły. Co to jest jednak ta osobistość człowieka? W tej chwili nie wątpiłem, że Anna cierpi, że mogła nawet umrzeć z cierpienia

swego, a wczoraj słowom panny Ireny wierzyć mi się nie chciało... Tak to bywa zazwyczaj i często lepszym odemnie zdarza się też ludziom. Póki tu w naszym świecie tkwią nieszczęścia wszelkie, potrzebnem jest może, by człowiek miał objaśnienie każdego zkolei choćby nawet wyrzutu sumienia — i to uczy...

XI.

Kazimierz lepiej odemnie przyrzeczenie swoje pamiętał; wieczorem przyszedł mnie odwiedzić; nie dziwił się wcale, że ja wciągu dnia równie słowny nie byłem, gdyż mnie tak zmienionym znalazł, że mi sam podobieństwo jakiejś gorączkowej choroby na wymówkę podsunął. Zaczęliśmy jednak rozmawiać i pod wpływem słów tego człowieka cichła zwolna egoistyczna gwałtowność mego uczucia, łagodniała krwawa rana mej piersi. Pokazało się, że ja mu już oddawna obcy nie byłem, że znał dokładnie wszystkie szczegóły mego położenia i wszystkie skłonności charakteru. Wiedział o mnie wszystko, coby mógł wiedzieć najbliższy towarzysz, może się domyślał tego, czego przyjaciel najbliższy domyśleć mógł tylko, ale mi żadnym wyrazem swoim przykrości nie wyrządził, żadnem omówieniem w serce nie uraził. A tak łatwo było wtedy... Spostrzegłem wprawdzie kilka razy, że Kazimierz chciał niby na jaw wszystkie strony mego ducha wydostać, że mię badał i sądził, ale odpłacał mi to zaraz taką szczerością i takiem poczciwem własnych myśli wylaniem, że mi z każdą chwilą szacunku dla niego, i mogę śmiało powiedzieć, przyjaźni przybywało.

— Wczoraj—mówił on w dalszym ciągu poprzednio zamienionych zdań i uwag różnych—wczoraj musiałem ci się bardzo wymagającym zdawać, kiedym o Maryi-Reginie wspominając powiedział, że tak wiel-

kie moralne i umysłowe skarby ciekawość tylko budzą we mnie względem zastosowania swojego. Odrzekłeś mi wtenczas, że Marya-Regina jest bogatą niemi, i to mi niby miało wystarczyć logicznie, a ja dziś powtarzam jeszcze, Ludwiku, to niedosyć! Usuwam zpod tego wzgląd na wszelką osobistość panny Maryi-Reginy; zbyt mało znam ją, a nawet, jako sam widzisz, nie sądzę, tylko słów kilka o ciekawości mojej nadmieniłem; lecz przenieś te słowa w ogólniejsze znaczenie. Istotnie, gdy słyszę o człowieku rozumnym, pięknym, dobrym, zaraz też pytam, w co on też rozum, piękność i dobroć swoję obraca? Na polu filozoficznych dowodzeń, to wiem, żebym przepadł z kretesem, jako mówili starzy, bo tam wszystko ścisłą wynikłością zakreśla się w kółka, za które przestąpić i których rozerwać nie można. Tam rozum jako abstrakcya jest rozumnym, a więc prawdziwym, a więc twórczym, a więc doskonałym i t. d., a piękność jest piękną w warunkach piękności; i tak jedno za drugiem, i tak jedno z drugiego. Ale przypuść, Ludwiku, żeśmy wypowiedzieli sobie kategorye, żeśmy się na każdą z nich zgodzili i że teraz idziemy w świat przystosowań, świat historyi... jeśli chcesz, spostrzeżeń tylko. W tym świecie rozum, piękność i dobroć przestają być abstrakcyą, ukazują nam się w ludziach pojedynczych, jako zdolności lub przymioty. Zdolność można w sobie do wysokiego stopnia rozwinąć, lecz rozwinięcie nic o skierowaniu nie stanowi; przymiot można posiadać, lecz posiadanie sposobu użycia nie wskazuje jeszcze. Wierz mi, Ludwiku, bardzo często rozum, piękność i dobroć ze stopnia zdolności i przymiotu nie podnoszą się nigdy przez całe życie obdarzonego niemi człowieka. W umysłowem i moralnem kształceniu samego siebie wiele nieraz jeszcze samolubstwa bywa. Znałem takich samolubów, ludzi, co się w uprawie własnej duszy zamknęli, jak pustelnicy Tebaidy w osiąganiu własnego tylko zbawienia. Gorzko mi było, gdy patrzyłem na nich, bo oni dla młodszej braci mojej poświęconemi zdawały się relikwiami, a ja wiedziałem,

że w nich faryzejska cnota, nie przez obłudę faryzejską, ale przez nadużycie gimnastycznych z własną myślą ćwiczeń. Chrystus wyrzuca faryzeuszom, że kiedy jałmużnicze składają ofiary, to powiadają ojcu swemu, albo matce swojej: — „Wszystko co damy Bogu z mienia naszego, wam się na pożytek obróci“ —i nie wspierają ojca w potrzebie i suchem okiem patrzą na nędzę rodzonej matki swojej. Czyż inaczej mówią ci ludzie? —„Wszystko co zbierzemy bogactwem w duszę naszę, to już przez to samo dla świata zbogaceniem będzie.“— I zbierają myśli najwznioślejsze, uczucia najżywsze, rozwijają w jakąś dziwną potęgę wszystkie władze swoje, a kiedy mózg im się rozjaśni, pierś ciepłem rozgrzeje, kiedy mogą użyć wszystkiego, co jest tylko w objawach mądrości Bożej i piękności Bożej, kiedy się poczują bystrymi w grze pojęć człowieczych, silnymi w przyjmowaniu artystycznych wrażeń, roztkliwionymi idealnem jakiemś ukochaniem, to światu w najwspanialszym darze stawiają jednostkę swoję i pytają: „Czyż to nie dosyć? Ja wiem już tak wiele, umiem cenić tak wysoko, umiem wielbić tak szczerze. Nienawistnym poruszeniom, brudnym namiętnościom zamknięte serce moje. Wszelkiej nędzy przystępne moje współczucie, wszelkiej cnocie dusza otwarta. Czyż to nie dosyć?...“ O całą połowę nie dosyć jeszcze! Moralność i doskonałość taka była średnich wieków ideałem — a ponieważ o duchowych bogaczach mówimy, więc ci powiem, Ludwiku, że zagospodarowanie takie było starej szkoły ekonomistów politycznych zasadą. Dzisiaj ludzie przyszli do uznania, że zbawieniem innych własną duszę zbawić dopiero można. Ekonomiści przyszli do uznania, że gromadzenie złota nie jest głównym celem ich nauki; złoto bowiem nie stanowi bogactwa, lecz tylko jest narzędziem, zapomocą którego działalność ludzka, ożywiając siły, otwierając źródła produkcyjne, dobry byt i bogactwo na kraj wylewa. Może się niedość jasno i niedość zręcznie tłumaczę, ale przecież nieudolność moję powinieneś sobie

własnem sercem dopełnić i zrozumieć mię aż do dna myśli mojej.

— Zdaje mi się, że zrozumiałem, Kazimierzu, i w zupełności zdanie twoje podzielam — rzekłem mu na to — ale nie dość, i to jeszcze w ogólnikach, się porozumieć, zestąpmy do najbliższych przystosowań, żeby już ani jednej sylaby wątpliwej do rozstrzygnięcia między nami nie zostało. Czego...— i zająknąłem się, bo mi w tem miejscu trzeba się było spytać, czego właściwie np. od Maryi-Reginy mógł żądać, ale to imię zatrzymało się lodem w ustach moich i skończyłem: — Czego pod tym względem od kobiet wymagasz?

Kazimierz milczał przez chwilę, znać było po nim, że rozmyśla i waha się nieco.

— Dziwnem to będzie może — przemówił wreszcie — ale na zagadnienie twoje odpowiem jeszcze bliższym szczegółem, niż go sam oznaczyłeś w pytaniu. Wezmę żywy przykład dla objaśnienia. Wczoraj spotkałem taką jak Marya-Regina kobietę. Wiem o niej, że czyta wiele, maluje z talentem i rozmawia prześlicznie.

— Jeszcze ci trzeba wiedzieć, że jest rodziny duszą i tchnieniem ożywczem.

— Weźmy i to nawet, ale w takiem znaczeniu, w jakiem ją wziąć mogłem, z powierzchowności wnioskując. Otóż wnioskowania moje niech ci będą przez chwilę rzeczywistością. Widzimy przed sobą kobietę wyższego ukształcenia, piękną, uszczęśliwiającą rodzinę swoję. Zaiste, widok pożądany i godny czci wszelkiej, ale mnie on nie wystarcza jeszcze. W czytaniu i nauce rozlubować się można, jak w zbytku i strojach, talentem własnym można się zabawić jak tańcem, odurzyć jak napojem. Ojca i brata kocha się takiem wrodzonem serca uczuciem, że niekochanie liczy się już do błędów, występków lub nieszczęść. Gdzież tu w tem wszystkiem zasługi szukać? Ach! mój Ludwiku, ja ci się przyznam, że patrząc na ludzi uczących się cierpliwie, spokojnie i bez troski, nieraz im poza-

zdrościłem, ale nigdy mi na myśl nie przyszło, żeby ich za to uwielbieniem otoczyć; a patrząc na ludzi, którzy się w domowem szczęściu zasklepili, tom sobie myślał, że to jest najwygodniejsze osobistości swojej zahipotekowanie. I dziękowałem Bogu, że mi się dostało także — ale poszedłem dalej; kobieta wprawdzie inną pójść ma drogą. lecz na tę samę odległość ubiedz jej powinna. Jeśli Marya-Regina ze zdolności swojej więcej zrobiła, niż ambrozyjną dla swej indywidualnej natury kąpiel; jeśli ojca i brata ukochała, ale prawdziwie chrześciańską miłością, w Chrystusie i dla Chrystusa, w dobrem i dla dobrego; jeśli pod pozorem wypełniania obowiązków nie marnuje się na podsycaniu tylko swoich egoizmów, które jej pracę spożyją i w sobie zakończą; jeśli widzi, że co da ojcu i bratu, to brat i ojciec ludzkości w trójnasób oddadzą; jeśli ma przed sobą obecnem w każdej chwili takie rozpromienianie się uczynku i słowa każdego—to ja przed nią chętnie czołem uderzę i powiem: to dosyć! Ale inaczej... będę zaiste podziwiał dary Opatrzności, pójdę słuchać uczącej rozmowy, jak idę czasem wody w studni naczerpnąć. Może też nawet w orzeźwieniu co dobrego zrobię kiedy, lecz dobro owo mojem i ze mnie, a nie jej i z niej będzie.

— Surowym jesteś — odezwałem się wtedy— surowym i bardzo wymagającym.

— Prawda—odpowiedział mi głosem najpoufniejszej szczerości — jestem surowy i bardzo wymagający, ale względem bogaczów jedynie i względem wybranych Pańskich. Słuchaj, Ludwiku, sam chciałeś, żeby aż do ostatniej sylaby wszelką zpomiędzy nas usunąć wątpliwość; zrobię jeden krok jeszcze ku temu, krok zadziwiającego pośpiechu, jeśli uważać będziemy na świeżą datę naszego spotkania. lecz krok stanowczy względem dalszych naszych stosunków, których przyszłość, da Bóg doczekać, w dłuższe nam przejdzie, niż cała przeszłość lata.

I mówiąc to, podał mi rękę, a podaną wzajemnie uścisnął mocno, bratersko.

— Dotknę twojej osobistości, Ludwiku—ciągnął dalej — względem niej mam sąd zupełny i ostateczny, bo na zdobyciu tego sądu wiele mi zależało. I ty żyjesz dotychczas więcej biernie, niż czynnie, zdolnościami swojemi. Wiem, że nie pomijasz nigdy żadnej sposobności, która ci się nastręcza do skierowania ich ku pożytkowi twych bliźnich; więcej nawet powiem, wszystko co robisz jest dobrem, ale jeszcze nie robisz wszystkiego dobrego, jakie możesz i powinieneś robić. Niema żadnej spójni, żadnego ciągu w działaniu twojem, są tylko oderwane, choć piękne uczynki, jest, że się tak wyrażę, pewne amatorstwo, gdy być powinien najzupełniejszy artyzm w trudnej życia sztuce. Cisnąłeś przed siebie takie świetne życzenia w przyszłość, że ci wyglądającemu za ich spełnieniem obecne chwile, jedna po drugiej, jak perełki z rozerwanego sznurka uciekają, a ty ich nie cenisz sobie, bo chęć twojego serca ku dyamentowi, który błyska na końcu, zwróciłeś. Szkoda tej straty, Ludwiku. Życzenie człowieka, to uczuciowy stopień jego woli. Nie marnuj życzenia swego na ideały. Ideał niech będzie dla ciebie religijną nadzieją, ale życzenie swoje określ stałym i niezmiennym zamiarem: pragnij tego co wykonać możesz, a niech to, co wykonasz, prowadzi cię dopiero ku ideałowi twojemu. Życzenia swoje cisnąłeś przed siebie tak daleko, że aż ogólnej doskonałości sięgnęły, tymczasem każdy twój postępek obecną ograniczyłeś chwilą; według mego przekonania inaczej wziąć się do tego trzeba. Doskonałość ogólna powinna być w sercu naszem religijną nadzieją, ideałem; spodziewam się, Ludwiku, że ty przynajmniej w urągliwem znaczeniu słów tych nie weźmiesz z mej strony, ani też posądzisz nawet, bym w nie jakimś grzecznym sposobem wyraz utopii obwijał. Nie, bo przecież dodaję zaraz: religijną nadzieją, religijnym ideałem, a przez religijność rozumiem to, czego się w katechizmie uczyłem — „połączanie“ najpierwszej przyczyny z najdalszym skutkiem, najpodrzędniejszego środka z najwyższym celem, połączenie ziemi z niebem

i człowieka z Bogiem, słowem świętość, nieomylność ostateczną. W takiem znaczeniu religijny ideał i religijna nadzieja zachowują prawdę swoję, są nam podnietą, zachętą, wytrwaniem, są górą z której umierający nawet w swej pustyni Mojżesz krainę Chanaanu ogląda. Lecz taka nadzieja, taki ideał nie mogą być wprost ujętnemi dla życzenia naszego. Życzenie człowieka, to uczuciowy stopień jego woli, kolebka jego zamiarów; życzenia w ideały ciskać niepowinien, jak tej kropli wody, którą chce w otchłań bezmierną wsączyć, znad brzegów rzeki do oceanu nieść nie potrzebuje — dość mu ją będzie w płynące u stóp jego nurty wmieszać, aby z niemi już niewątpliwie do bezdennego morza zapłynęła. Dla życzeń więc twoich ma być kresem granicznym powzięcie zamiaru—pragnij tylko tego, co wykonać możesz, ale nawzajem, Ludwiku, niech to, co wykonasz, wprost cię ku ideałowi twojemu prowadzi. Dla życzeń i zamiarów w każdej chwili musisz mieć punkt pewny i niby z rysunkową dokładnością wykreślony. Dla czynów twoich musisz mieć najdalszych następstw rozwiniętą nieskończoność, musisz widzieć na własne oczy i czuć na własne sumienie, że kropla życia twego prądem rzeki płynie i że jej aż do zmiłowania Bożego, lub do spełnienia fizycznych przerobów bezświadomej natury, w kielichach kwiatów nadbrzeżnych, w stojącej wodzie jeziora, lub w połyskliwej od słońca kałuży nie tracisz. Mojem zdaniem, człowiek każdy, jako sędzia i rządca, przed okolicznościami własnego położenia na świecie stanąć, a rozpatrzywszy się w niej dobrze, odpowiednią i możliwą robotę wyznaczyć sobie powinien. Kiedy się mówi o zyskach materyalnych, to wyznaczenie sobie takiej roboty nazywa się obraniem zawodu, czyli karyery. Otóż ja chcę, Ludwiku, żebyś ty w świętszej, w duchowej pracy obrał sobie także zawód i karyerę, żebyś wiedział z pewnością, co w stosunku do swej zdolności uczynić możesz, żebyś miał i czuł cochwila łączność swego działania z obrotem wszystkich kółek tego wielkiego warsztatu, na którym się pierwotne

prawa Pana Boga w doskonałość wzorują; żebyś się zgodził, jednem słowem, jako sumienny wyrobnik, a nie poprzestał na tem, iż ci się zdarzy kiedy być przypadkowym pomocnikiem. No, i cóż mówisz na to? Czyż do zgłoskowania ostatniej wątpliwej sylaby nie przystąpiłem z cywilną odwagą i przeszło czy tam przyszłowieczną szczerością? Parę tylko niedoczytanych liter zostało się jeszcze, ale te zostaną do jutra, do pojutrza, do nie wiem kiedy, póki ty sam w ich składaniu mi nie dopomożesz. Czy tylko będziesz mógł przyjść do mnie jutro?

— Och! przyjdę—zawołałem—przyjdę niezawodnie i będę ci mógł lepiej niż dziś odpowiadać.

— Kiedyś już tak poczciwy, to się wybierz zrana, choćby przed ósmą, gdyż później koło dwunastej czekają mię różne hipoteczne sprawy i widzielibyśmy się zbyt krótko, lub nie widzieli wcale, a mnie—dodał z uśmiechem — kobiety wychowywały, umiem tęsknić, oczekiwać, wyglądać, niecierpliwić się nawet. Do ósmej czekam cię ze spokojnością stoicką, po ósmej z niespokojnością rozpieszczonego dziecka. Pamiętaj, Ludwiku...

Słowa Kazimierza dziwne zrobiły na mnie wrażenie, kiedy zostałem sam z niemi w rozmysłach. Zdawało mi się, jak gdyby otwarto przedemną niespostrzegane pierwej wrota i archanioł jakiś, piękny jak szczęście, a surowy jak wyrok sprawiedliwości, ujął dłoń moję i prowadził mię szlakami nowej zupełnie drogi. Od czasu do czasu miałem przeczucie silnego pchnięcia w nieznane przeznaczenie i wyobrażałem sobie, że tak zapewne ziemia w konieczność swego biegu pchniętą być musiała. To, co po ów dzień było mi treścią życia, zmieniło się w przypadłość jego. Najważniejsze zdarzenia, przedmioty, uczucia własne rozstępowały się na obie strony mej drogi, a ja szedłem, szedłem bez wypoczynku, bez zboczenia, prosto przed siebie—daleko — aż gdzie sobie cisnąłem to jedno słowo: „tam.“ Ranniejsza boleść nie ustąpiła z duszy,

i owszem, z całą siłą odezwała się właśnie, bo jednym rzutem myśli przemierzyłem, ile mi to pomocy i szczęścia ubyło, a jaki ciężar wlec będzie trzeba za sobą, niby ołowianą kulę do nogi więźnia łańcuchem przykutą, jaki ciężar — niedopowiedziane nigdy miłości wzajemnej słowo! Lecz wzgląd ów nawet przyjąłem za rzecz dokonaną, za nieodtrąconą z położenia mego okoliczność — podług rady Kazimierza więc, stanąłem naprzeciw niego jako sędzia i rządca wszechwładny.

Nazajutrz Kazimierz jeszcze sfery stoicyzmu nie przestąpił zapewne, kiedy już do drzwi jego pomieszkania stukałem. Rozmówiliśmy się tak dobrze, przeczytali siebie tak wyraźnie i te ostatnie w zawieszeniu pozostawione litery, że między nami wszelki rozdział zniknął; ujrzeliśmy się tuż obok siebie z tem samem słowem na ustach i z tąż samą myślą w sercu, krótko mówiąc: obraliśmy sobie tęż samę karyerę.

Według zamiarów naszych, czekało nas uporządkowanie sąsiednich sobie gospodarstw Bystrowoli i Krzywca, czekały coraz dalej rozpromieniające się przedsiębiorstwa, a we wszystkich dobry byt i wsparcie drugich były ogólną sumą jedynie upragnionych korzyści. Nie zdziwił się też Kazimierz, gdy mu o przyśpieszonym wyjeździe z Warszawy wspomniałem, ale zapytał mnie, czy wieczorem do Maryi-Reginy przyjdę? Mimowolnie zmieszałem się tak prostemi wyrazami i coś bez związku nadmieniłem o braku czasu, o wykończeniu sprawy mojej, o aktach mecenasa. Kazimierz z uwagą popatrzył na mnie i przyjął napozór wymówkę, ale dlatego jedynie, że jak widać było, nie chciał badaniem zdobywać ufności mojej; w głębi zaś duszy, mówił mi nieraz potem, zakłopotanie się moje wytłumaczył sobie na pewien rodzaj przesadzonego ascetyzmu i niewczesnej dumy; zdawało mu się, że po rozmowie naszej lękam się z pełności męzkich uniesień w jednostkowe kochanie przerzucić, a może też wstydzę się nawet tego objawu, jako słabości nieodpowiedniej rozmiarom planów naszych. Ocho! jeszcze jedna litera, pomyślał sobie, i miał słuszność; by-

ła to jedna litera jeszcze, tylko się trochę w jej czytaniu omylił.

Za powrotem do domu chciałem dać zwykłą lekcyą Helusi, pomówić z nią o dalszym nauk rozkładzie, wskazać dzieła, z którychby mogła sama następnie zbierać wiadomości; chciałem ją w rady i objaśnienia na czas długi zaopatrzeć, ale mi powiedziano, że Marya-Regina wstąpiła po nią z Romualdem i wywiozła na jakąś za miasto przejażdżkę.

— Ja tam z nimi jechać nie mogłam—zakończyła pani Agnieszka—ale też mam nadzieję, że niedługo wrócą, bo się przed dziesiątą wybrali. Marya Regina prosiła, aby Helusi białą włożyć sukienkę. Bodaj czy mi jej tylko na Bielany nie zawieźli; coś tak się domyślam — niechże ich pan tutaj zaczeka.

Zaczekać?... aż się sam siebie przeląkłem, jak mi to słowo gwałtowną chęcią w serce uderzyło; była to i ciekawość rozdrażniona do najwyższego stopnia i potrzeba spotkania się oko w oko z tą kobietą teraz, gdy wzmocniony nowym nadpływem moralnego życia, tak silny przeciw niej się czułem; była to i duma, i pragnienie odwetu i tęsknota — bo jej dawno już nie widziałem—ach! dawno, całą dobę, wczasie której postanowiłem sobie, że jej więcej widzieć nie będę; było to... ja sam nie wiem co, lecz najpewniej okropne głupstwo moje.

Juścić Marya-Regina kochać mię nie mogła, sam to dzisiaj rozumiem. Któżby kochał człowieka, co kochać aż do głupstwa może? fe! śmieszność i niedołęztwo — absolvo te, Maria-Regina!

Otóż jednak w tamtej chwili nie zgłupiałem zupełnie... tylko uciekłem z domu. Na ulicy obejrzałem się wkoło i myśleć zacząłem dopiero, gdzie pójdę i co zrobię z sobą? Pierwszy raz wtedy spostrzegłem, jak mi dotychczasowe życie wsiąkało mimo wiedzy w te dwa magnesowe bieguny swoje — pałac Załuskich i dworek ślusarza. Poza niemi czczość mię ogarniała zupełna; im dłużej nad tem się zastanawiałem, tem zrozumialszemi i świętszemi stawały się dla mnie Ka-

zimierzowe słowa. Gdyby nie on, kto wie, czy marząc ciągle najwznioślejsze marzenia, przy bogatszym własnego szczęścia zasobie, nie byłbym karyery swojej ograniczył tem kółkiem czarownem; w każdej chwili miałbym piękne i dobre w około, zkądżeby mi się wzięło niedostatku dobra i piękności gwałtowniejsze uczucie? A gdyby też znowu i kółko owo zamknęło się przedemną, to poza niem tyle nudów, takie wyparcie z właściwej kolei, takie odurzenie wśród nieznanych przedmiotów, że aż serce schnie! Najlepiej sobie ów stan wyobrażałem przez tę dnia jednego połowę, której nie mogłem ani do przyszłości obranej wcielić, ani Maryi-Reginie lub Helusi oddać. Wyobraźcie sobie pudełko, gdzie były klejnoty, a które dla przewiezienia kilku szpilek albo tym podobnych gracików trzeba sieczką lub otrębami dosypać; sypałem otręby i sieczkę, narady z mecenasem, wizyty u ludzi, którzy mię nic a nic nie obchodzili, gazety w kawiarni, krótką przechadzkę po niesmacznym obiedzie — nakoniec dosypałem aż do ciemnego wieczora. O tej porze, według wniosków moich, Helusia już oddawna do domu wrócić musiała, a jeśli Marya-Regina zabawiła u niej dłużej na pogadance, to zapewne teraz koniecznie odjechać jej wypadło, gdyż jak słyszałem zrana, pani pułkownikowa z panną Ireną w gości jej się obiecały.

Kiedy przyszedłem do domu, z wielkiem podziwieniem mojem zastałem samego ślusarza tylko; powiedział mi że Helusi nie odwieziono wcale i że przed wieczorem Romuald przyszedł prosić, aby matka jej także na wieczór do Maryi-Reginy poszła. Smutno mi się zrobiło. Oni tam wszyscy zgromadzili się razem— czas im biegł prędko, swobodnie, na muzyce, śpiewie, rozmowie — i nikt zapewne nie wspomniał o mnie, za mną nikomu tęskno nie było! Dziwne wrażenie osamotnienia padło mi na duszę, a padło tem boleśniej, że sobie powiedzieć musiałem: tak będzie teraz na całe życie twoje. Och! gdyby to już można było wziąć się do krwawej, najtrudniejszej pracy! W podobnych myślach zatopiony siedziałem u siebie przed stolikiem,

na którym świeca zapalona stała i nowe jakieś dziełko nieczytane, lecz roztworzone leżało.

— Panie Ludwiku! — zawołał niespodzianie czysty głos Helusi z ogródka.

Pobiegłem na balkon i ujrzałem ją, opodal nieco, wraz z matką w cieniu stojące.

— Jak też to panie późno dzisiaj wracają!—rzekłem z lekką wymówką, bom ja mimowiedzy powrotu ich niecierpliwie wyglądał.

— Prawda, że późno, ale nam trudno było się rozejść — odpowiedziała pani Agnieszka.

— I czemuż to pan nie przyszedłeś, kiedy, jak Małgosia powiada, tak wcześnie do domu wróciłeś? — odezwała się znowu Helusia — brak nam było pana bardzo; ja ciągle myślałam o tem, czy pan nie chory tylko; szczęściem że światło w okienku spostrzegłam, bo z niespokojną myślą aż do jutra byłabym czekać musiała. Lecz pan nie chory przecie?

— Nie, zdrów i wdzięczny za poczciwych serc troskliwość.

— No, to dobranoc już! Wymówki do dnia jutrzejszego zostaną.

— Wdzięcznym będę i za wymówki.

— Wszyscy się na nie złożymy. Marya-Regina kazała powiedzieć panu...

— Marya-Regina? — drżącym powtórzyłem głosem i przydałem. — Cóż Marya-Regina powiedzieć mi kazała?— Gdyż Helusia nie kończyła zaczętych wyrazów i w największej zawiesiła mię niespokojności. Odgadując niecierpliwość moję, klasnęła w ręce tylko i zawołała:

— Ach! jaki pan ciekawy! Mogę pana ukarać za to, że do nas w wieczór nie przyszedłeś.

— Proszę pani Agnieszki, niech mię Helusia nie karze, doprawdy jam nic nie winien — modliłem się do ślusarzowej.

— A więc — rzekła znowu na jej wstawienie się córka — Marya-Regina kazała panu powiedzieć... —

lecz znów urwała swą mowę. Już się też i gniewać trochę zaczynałem.

— Cóż kazała — no, dalej? — rzekłem z naleganiem.

— To, co pan słyszy, dosłownie powtarzam: na pożegnanie wzięła mię za rękę i rzekła: „Powiedz panu Ludwikowi...“ ale potem umilkła i nic więcej nie przydała. Czekałam przez chwilę, nakoniec przyrzekłam jej, że powtórzę milczenie. Marya-Regina się uśmiechnęła, pocałowała mię w czoło i nazwała, ale to wyraźnie nazwała swoim aniołem. Anioł znaczy wiernego posłannika; jestem nim, wypełniłam zlecenie, żegnam więc pana — dobranoc!

— Dobranoc aniołowi — powtórzyłem za odchodzącą i błogosławieństwo żywem uczuciem z piersi mi się wydobyło: bodajbyś nigdy długo nie cierpiała, ty mój prawdziwy dobrych słów aniele!

Istotnie, w owej chwili najlepszem słowem dla mnie było owo niedokończone Maryi-Reginy polecenie. Czy w niem błyskała nadzieja, czy obietnica? nie wiedziałem — czy nawet wrócę do niej, czy się z nią widzieć jeszcze będę? sam sobie nie stawiłem ostatecznego zapytania. Ale pewny byłem, że w niedomówionym ciągu jej myśli jakieś wynagrodzenie okrutnego żartu leżało, pewny byłem zresztą, że wspomniała o mnie... jak? co? dlaczego? nie przyszły mi do głowy te rozwagi. Pierś wolniej odetchnęła, zasnąłem pod wpływem nieokreślonych lecz prawie pocieszających wrażeń. Niech mi też kto tłumaczy to wszystko?

XII.

Nazajutrz bardzo wcześnie upominałem się przez Małgosię o widzenie Helusi; za danem pozwoleniem zszedłem nadół i zastałem ją samę w pokoju, gdyż matka wyszła z Karolkiem po sprawunki na miasto, a ojciec dawno już był u warstatu swojego. Dziewczynka siedziała i szyła bardzo pilnie — czoło jej było tak pogodne, tak jasne myślami, że się aż bielszem niż zwykle zdawało, twarzy jednak swobodny uśmiech nie rozświecał, i owszem, głębokie jakieś zadumanie w rysach jej osiadło. Na moje wejście podniosła spuszczone ku robocie oczy i wyciągnęła rękę w milczeniu; usiadłem naprzeciw niej równie milczący i patrzyłem w jej promienne, ale zawsze promienne niby w głąb ku własnemu sercu spojrzenie.

— Byliście więc wczoraj na Bielanach? — rzekłem wreszcie po chwili.

— Byliśmy — odpowiedziała krótko Helusia, a głos jej wydobył się z serca takim pełnym, dźwięcznym i wzruszonym, że się w nim odezwało całe bogactwo świeżo uzbieranych wspomnień.

— Śpiewaliście—mówiłem dalej—graliście, przez cały wieczór rozmawialiście swobodnie i dobrze wam było na świecie...

— Prawda, panie Ludwiku, dobrze nam było na świecie, tak dobrze wczoraj, że kiedy siadłam sobie nad brzegiem Wisły w Bielanach i kiedy Marya-Regina siadła przy mnie z bratem swoim, to nagle uczułam,

jak gdyby mi się przeszłe i przyszłe życie w obecną chwilę zbiegło. Nie pragnęłam. a używałam; wieczność świętych w niebie musi być niezawodnie ciągiem chwil podobnych. I dziwna rzecz nawet, bo teraz wielki smutek jest w naturze: pierwsze liście opadają, pierwsze ptaki odlatują, pożegnanie czuć w każdym słońca promieniu. Mnie jednak zachciało się nieśmiertelności takiej. Mnie żal było, czy pan uwierzy? żal było, że woda płynęła!

— A więc był i żal jakiś? To dobrze — szczęścia bez żalu zawsze się lękałem przesądnie.

— Doprawdy? No, widzi pan, ja przed chwilą o tem właśnie myślałam, lecz pocóż ja się mam lękać? Wszystko, co mi Bóg daje, wszystko, co mi serca ludzkie dają, wszystko to przecież są podarunki dla mojej umarłej, nie dla mnie. Gdybym w którejbądź chwili, w jakiembądź wrażeniu z jej wspomnieniem rozdzieloną się spostrzegła, tobym się niezawodnie przeraziła okropnie i samej siebie i szczęścia mojego; ale tak nie jest, och! nie jest wcale. Wczoraj nad Wisłą, kiedy mi najradośniej serce uderzało, to ja poczułam, jak gdyby według swej obietnicy, panie Ludwiku, ona mną się stawała; aż oczy zamknęłam, aż twarz w ręce ukryłam, żeby mi to z myśli nie uciekło. „Żyj, żyj teraz“ — powiedziałam jej nawet — a Marya-Regina nie zrozumiała mnie, zdawało się jej, że ja z tęsknoty jakieś życzenie rzuciłam tylko, i trochę połajała mię za to, że więcej uczucia w jednym grobie zamknęłam, niż go teraz dać będę mogła tym co mnie pokochają. Nie chciałam się tłumaczyć, sama nie wiem czemu, ale zdarzają się chwile, w których nawet dźwięku jednego słowa skąpię. Moje milczenie musiało pana Romualda zniecierpliwić, dokuczył mi też prawie, odezwał się takim smutnym głosem, jak gdyby istotnie z duszy, a nie przez żart mówił: „Wiesz co, Maryo-Regino? kto Helusię pokocha, umrzeć powinien prędko sam dla siebie, żeby tę chwilę swej duszy wprost przed Bogiem stawił — a kto od Helusi kochanym będzie, umrzeć powinien prędzej jeszcze, żeby skarbów takiego kocha-

nia we własnem ubóstwie nie zmarnował, żeby jej wiarę i pamięć zostawił.“ Już też na te słowa wytrzymać nie mogłam.—„Mój Boże!— zawołam—co wy mówicie o grobach i śmierci? Czyż wy nie wiecie, że właśnie moja umarła zmartwychwstała i że mi w sercu żyje?“ Pojęli mnie nakoniec. Marya-Regina upieściła mię tak serdecznie i on był taki szczęśliwy—a ja!.. panie Ludwiku--ot, gdy wszedłeś, myślałam sobie, czy to nie zbytkiem już.

Naprawdę zrozumieć tej Maryi-Reginy nie mogłem; czyliżby rzeczywiście w miłość Romualda nie wierzyła, a wzajemności Helusi nie przypuszczała nawet?... Lecz jeśli przypuszczała, to któż pozwolił jej dyamentowemu sercu z serc krwią nabiegłych wydobywać nieodgadnięte w swych skutkach wrażenia? Wspomniałem sobie mój blizki odjazd... położenie Helusi zatrwożyło mię tem bardziej.

— Siostrzyczko — rzekłem jej poufnie, gdyż od jakiegoś czasu nieraz już, mówiąc do niej, używałem tego wyrażenia, a zdarzało się nawet, że prostem „Helusi“ zastępowałem je mianem — siostrzyczko, pamiętasz jakeśmy to pierwszy raz długo i szczerze rozmówili się w ogródku? Byłaś bardzo smutna i znękana; ja ci mówiłem wtedy, że nieszczęście grzechem jest, a szczęście prawem człowieka i siłą jego do cnoty. Uwierzyłaś mi; dzisiaj tak szczęśliwą jesteś, że się już zbytku obawiać zaczynasz. Nie wiem, czy mię za wielkiego dziwaka nie weźmiesz, alebym chciał znowu tak cię przeciw radości uzbroić, jak przeciw cierpieniu uzbroiłem. Prawda, że to okropnie potworna nauka, szczególniej gdy ją z pozorów kto sądzi, wymagać od człowieka, aby wiecznie termometr jakiś we własnej piersi trzymał i nad wskazane przepisami stopnie ani mu spadać, ani wznosić się nie dozwalał, to jakiejś bezbożnej arytmetyki zadanie —lecz ja go tobie nie narzucam, siostrzyczko! Bądź szczęśliwą, o ile nią być możesz według natury swojej, tylko bądź szczęśliwą usposobieniem i stanem własnej duszy; nie bądź nigdy szczęśliwą rzeczą, zdarzeniem, osobą —

wierz mi, Helusiu, rzecz każda się zużywa, zdarzenie każde przemija, osoba każda zawodzi..

— Panie Ludwiku, co pan mówisz?...— przerwała mi z żywością.—Osoba każda zawodzi!... Więc nie kochać nikogo?... więc poco żyć?

Smutnie się uśmiechnąłem.

— I kochać można, i żyć można — odrzekłem — tylko na ślepo ufać niepotrzeba; zawód nie jest oszukaństwem, zawód leży najczęściej w konieczności charakterów ludzkich, które się ciągle rozwijają z tła przyjmowanych i dawanych wrażeń. To, co przyjmujesz, zaprowadza w osobistości twojej nową zupełnie kombinacyą, rozwija w niej nowe pierwiastki, lub już rozwinięte przekształca; to co dajesz, pod pewnym względem też same sprawia skutki, wydobywa nowe siły z twej duszy, w grę wprowadza nowe władze twego jestestwa. Z drugiej strony zaś, dający i przyjmujący, tak jak ty, jest pod wpływem rozlicznych przemian w stanie ducha własnego; dziś dajmy na to, masz serce ufne, spokojne, bezświadomie bogate niewyczerpniętą zdolnością kochania. Spotykasz człowieka namiętnego, któremu smutno na świecie, bo chce coraz więcej, coraz inaczej być kochanym — człowiek taki przeczuje skarby twojej miłości, zapragnie ich koniecznie i samem pragnieniem tak się upodobni z tobą, tak zjednoczy, tak uświęci, że ty, która kochać możesz, pokochasz go niezawodnie. Potem w twojej duszy kochanie rozwijać się będzie na wyrozumiałość dla błędów ukochanego, na wsparcie jego słabości, na uszanowanie dobrych jego przymiotów, na chęć wspólnego z nim po drodze czynów i ulepszeń postępu, na przyjaźń, ale zawsze jako wyższe i szlachetniejsze kochanie. W jego duszy uzyskana miłość twoja przyniesie chwile sytości, zaspokojenia, a z chwili następnej niepohamowane pragnienie nowych wrażeń, potrzebę nowych i innorodnych zasiłków wywoła. Wszakże to będzie zawodem, Helusiu?...

— Brzydkim, szkaradnym zawodem — rzekła po chwili namysłu—ale gdyby się też spotkały takie dwie

dusze na świecie, któreby za każdą chwilą życia szły w przemianę jednoczesną i odpowiednią sobie; gdyby dar każdy i przyjęcie każde rozbudzało w nich zawsze takie władze jedynie, które się wzajemnie wspierać i uzupełniać mogą, to cóż, panie Ludwiku?

— Cha, to byłby ideał zapewne, lecz dzisiaj, moja Helusiu, ideały tak obce naszej ziemi, żeśmy je aż wszystkie razem Panu Bogu do nieba wrzucili.

Chciała coś odpowiedzieć na to, ale dzwonek dał się słyszeć przy drzwiach wchodowych i lubo tyle osób przyjść mogło o tej porze, jam się domyślił zaraz, że to Romuald wchodzi, bo twarz Helusi ożywiła się rumieńcem, jej oczy blaskiem roztliły.

Małgosi w domu nie było, poszedłem więc otworzyć; wchodzącego tak prędko do siebie na górkę zaprowadziłem, że nawet czasu nie miał o domowych się wypytać. Zdziwił się trochę, widząc wszystkie moje papiery i książki w nieładzie, bo je też po całym pokoju rozrzuciłem, od samego rana pakowanie ich mając w zamiarze; chciałem każdą raz jeszcze przejrzeć, rozgatunkować, lub też, gdyby się zdała na co, Helusi zostawić.

— Ludwisiu, cóż to znaczy, przez Boga, czy do mojego cechu przystajesz na rzemieślnika? Mógłby kto pomyśleć, że już tutaj od tygodnia mieszkam.

— A tymczasem omyliłby się w chronologii, bo raczej po tygodniu mógłbyś tu zamieszkać.

— Jakto po tygodniu?

— Bardzo prostym sposobem—wtenczas gdy już wyjadę.

— Jesteś dzisiaj enigmatyczny, jak kabała panny Lenormand. Co to znaczy: „wyjadę?“—gdzie wyjadę? poco wyjadę? zkąd wyjadę?

— Rozwiązanie jaknajłatwiejsze: wyjadę na wieś, wyjadę poto, żebym gospodarował, wyjadę z Warszawy.

— Ta, ta, ta! Jakimże cudem ów projekt tak nagle do głowy ci przyszedł?

— Zdaje mi się, że od pierwszego ponowienia znajomości naszej wiedziałeś już, że w Warszawie nie mieszkam i tylko w niej dla ukończenia majątkowych interesów bawię.

— Więc się ma rozumieć, że je ukończyłeś zupełnie?

— Tak jak gdyby...

— Jeśli niezupełnie, poco wyjeżdżasz?

— Przypomnę ci tę małą okoliczność jedynie, że majątkowe interesa mogą mnie na wieś powołać także.

— Bodajbyś na wsi i w mieście wszystko co do grosza stracił, ty chciwoszu nieznośny, co nas porzucasz wtedy właśnie, gdy podstępami i sztuką magiczną w serca nasze najdalej się wkradłeś.

— Przynajmniej poczciwy ze mnie złodziej, bo wam z nich pewno niewiele na tęsknotę i żale po sobie zabiorę.

— Tak ci się zdaje, panie Ludwiku? No proszę, co też rozumiesz przez to słowo „wiele,“ albo „niewiele?“

— Wiele znaczy tyle na przykład, ile dajesz operze włoskiej w Paryżu.

— A niech ją wszyscy diabli porwą!

— Ile dajesz śpiewom wielkopiątkowym w Rzymie.

— No, no, jeszczebym ci mógł dzisiaj i te śpiewy darować.

— Więc ile dajesz piosnce Helusinej.

— Rozumiem, to ma być wiele — a niewiele?

— Niewiele znaczy tyle, ile dajesz mnie.

— Masło maślane; przecież ja właśnie chcę wiedzieć, ile-to według twojego rachunku daję ci niby.

— A zatem tyle, ile dajesz muzyce Glücka, Mehula.

— Bodajby się przepadła!

— Ile dajesz „Don Juanowi“ Mozarta.

— Poszanowanie, poszanowanie najgłębsze.

— Ile dajesz tej zwrotce... co ją Anna śpiewała.

Romuald od początku naszej rozmowy ciągle chodził po pokoju, przerzucał w książkach, zaglądał w papiery, ale na ostatnie słowa moje stanął jak wryty, najpierw się zaczerwienił, potem bladł coraz więcej, oczy mu świecić zaczynały, niby dwa migotliwe fajerwerki w głowie, skóra na policzkach drgała nerwowem swojem drganiem — widać było, że serce gniewem wzbiera, aż nareszcie gniew słowami wybuchnął.

— Och! teraz już wiem wszystko — rzekł szyderczo wolnym i ucinanym głosem — chciałeś mi koniecznie rzucić w twarz to imię, boś słyszał, że się z niem zawsze jak z wróżbą nieszczęścia spotykam — arcy-szlachetnie doprawdy! Chciałeś mię przestrzedz, że jak pustak szalony kocham i zapominam, więc też w żadnej chwili własnemu sercu i własnej pamięci wierzyć nie powinienem; arcy-moralnie bez wątpienia! Chciałeś potem iść może i przed uczennicą twoją rozwinąć to w porównawczej lekcyi, któraby na korzyść profesora wypaść musiała; arcy-mądrze, Ludwiku! Trudno zaprzeczyć: szlachetnie, moralnie i mądrze! Niedarmo też Marya-Regina oddawna mówiła mi, że tobie tylko podobny człowiek może kochać Helusię; ja wtedy śmiałem się z tego; dziecinne przypomnienie... głos jakiś własnego serca wierzyć temu nie pozwalał.

— Głos miał wielką słuszność, Romualdzie.

— Ale przypomnienie kłamało. Nie, Ludwiku, gdybyś nie był pod wpływem osobistego rozdrażnienia, znam cię dobrze, nigdybyś żartobliwem wyrażeniem boleści serca mego nie potrącił. Żeby mnie się tak zdarzyło, niedziw zaiste!—ale tobie, przypadkiem, aż po wnętrzności szarpnąć? och! nie wierzę. Musisz wyjeżdżać, żałujesz—kto wie, może zazdrościsz—więc też na upominek zwątpienie chcesz zostawić mnie i jej.

— Jaki ty niesprawiedliwy jednak, a zdaje ci się, że kochasz i szczęśliwym jesteś. Powiedz mi, kiedyż ty ogarniesz świat cały miłosierdziem i przebaczeniem, jeśli w chwili podobnej nawet na gniew i potępienie serca ci wystarcza?

Romuald już przez samo wypowiedzenie jątrzącej go myśli ułagodził się trochę; moje słowa smutno wyrzeczone rozbroiły go do reszty, ale nie chciał tego dać poznać, wziął jakąś książkę, cisnął nią o stół i niby przedrzeźniającym odezwał się tonem:

— Herkulesowa siła argumentów; gotów mi dowieść, że to ja mu na nogę nastąpiłem, a nie on mnie, chociaż ja siedzę cicho, a on wkoło się kręci. Piękny talent, do pozazdroszczenia, słowo honoru daję!

— Poco szydzisz, kiedy się już gniewać przestałeś? — rzekłem do niego z uśmiechem.

On mimowolnie rozśmiał się także, ale czoło do surowego marsa przymusił i odpowiedział jak dziecko rozdąsane:

— To mnie przeproś przynajmniej.

— Przepraszam za niedorzeczność twoję własną.

— O jezuita! moja niedorzeczność? A powiedz sam szczerze, czy mi nie chciałeś dokuczyć?

— Chciałem.

— A dlaczego chciałeś?

— Żebyś mi powiedział co takiego, coby mi dało prawo do poufniejszej rozmowy.

— Patrzcie mi! jak Tayllerand. Wstydź się, Ludwiku; czy nie lepiej było wprost, jak przyjaciela, o co chciałeś zapytać? Mnie na prawdę przykro się jakoś zrobiło. Nie jest ci to zbrodnia tak wielka w dwudziestym roku zakochać się szalenie, a potem zerwać wszelkie stosunki i miłość owę w niepamięć puścić; lecz już ci się przyznałem, jakie to dziwne w duszy mojej zostawiło usposobienie; słabość jakaś, czy przesąd, nie wiem, lecz wiem z pewnością, że mi dolega. Nacóż było dolegliwość wzruszać, by mi podkraść tajemnicę, by uczucie zbadać? A toż ja przecież nie wstydzę i nie ukrywam się z niemi.

— Wolno mi więc mówić o tem, że kochasz Helusię?

Romuald skoczył mi na szyję, wycałował na wszystkie strony i zawołał:

— Ludwisiu! mów o tem od rana do wieczora, zobaczysz, jak cię słuchać będę. A toć mi tylko tego już było do szczęścia potrzeba; chodziłem między wami nieśmiały jak winowajca, zdawało mi się, że kiedy wy wszyscy, którzy takie śliczne rzeczy o miłości rozprawiacie, jeszczebyście się nie poznali, że ja w Helusi na śmierć i życie zakochany, to chyba dlatego jedynie, żeście nie przypuścili, że ja łotr, ja niegodziwiec, mógłbym się na taką świętość zdobyć. Zaczynałem nawet sam o sobie wątpić, ale teraz pocieszyłeś mię, Ludwiczku; kiedy już ty, mój drogi, ty poważny, ty Kato, chcesz mówić o tem ze mną—to wszystko dobrze pójdzie. No, mówże, słucham, jak widzisz!

Wesołość Romualda wydała mi się w tej chwili tak dziwną przynajmniej, jak mazurek na organach wczasie mszy zagrany. Miałem jeszcze moje młodociane uprzedzenia; wszelką wzmiankę o miłości otaczałem taką uroczystością, jak pobożny katolik wzmiankę o przenajświętszym Sakramencie; zapisuję to jednak w regestr pomyłek moich, bo indywidualnych uczuć nie można według ich objawu sądzić. Na Wschodzie ten kocha, kto bije, u nas ten co pieści nie zawsze kocha, a bywają ludzie, którzy nie biją i nie pieszczą, nie mówią ani poważnie, ani wesoło o miłości swojej, a jednakże kochają tak szczerze! Prawda że jedno tylko takie serce znałem, lecz i ono względem różnorodności gatunków świadectwo dać może; wówczas nie miałem jeszcze tego doświadczenia, ostrzej też niż było w chęci mojej przemówiłem do Romualda, przyznane mu uczucie sprowadziłem do najdrobniejszego ułamku, dowiodłem że jest szałem i uniesieniem, że nieszczęściem być może. Rozwijałem przed jego wyobraźnią zlodowaciałe względy czasu, położenia Helusi i własnych jego przywyknień.

— Przypuśćmy — rzekłem nakoniec — że dzisiaj kochanie twoje prawdą jest; czego nie rozumiałeś przy Annie, rozumiesz przy Helusi, wiesz że sława twoja, że majątkowe układy, że wszystkie kłopoty, któremi zwykle straszą przybierających się do małżeńskiego

stanu, są kłamstwem, i nicością i mrzonką jedynie, gdy się je w porównaniu z chwilą szczęścia stawi; przypuśćmy że tak czujesz teraz, lecz od teraz do ślubu, mój Romualdzie, toć to całe trzy lata blizko, trzy lata w twojem życiu; oblicz się ino, jakie zmiany, jakie fantazye, jakie podróże, jakie nowe namiętności!... a w życiu Helusi rozstrój i cierpienie. Gdybym nie wierzył, że ją kochasz najwięcej, jak tylko można kochać na dzień dzisiejszy, tobym nie śmiał mówić do ciebie: egoistyczne kaprysy, zdobywcze fanfaronady nielitościwemi bywają; niema poco do serca im kołatać i przepowiednią nieszczęścia rozrzewniać; ale ty, Romualdzie, z całą tkliwością rzeczywistego w obecności uczucia pomyśl o tej Helusi, którą widzisz tak długo smętną po najpierwszej stracie, tak zwolna wracającą do życia i do siły; pomyśl coby się z nią stało, gdyby drugi raz wszystko odzyskane utracić jej przyszło? Pomyśl sumiennie, zbadaj sam siebie, czy ci podobnem jest bogactwu jej miłości wyrównać, wątłego szczęścia nie zatruć, wskrzeszonego ducha nie pognębić? Romualdzie! to nie zapasy żadne — bądź poczciwym człowiekiem; gdy zechcesz, Helusia ukocha cię na wieki, lecz gdy ukocha, co tobie po miłości jej?

— Co tobie?—powtórzył Romuald, a czarne oczy jego zalśniły dziwnem namiętnej radości spojrzeniem— co tobie? Nie mówmy o tem; lepiej mi powiedz wyraźnie, do czego te wszystkie rady zmierzają? Czy chcesz żebym przestał kochać Helusię?—I na to przypuszczenie śmiechem nieszczerym wybuchnął.

— Bodajbyś właśnie kochał ją całe życie twoje, Romualdzie, ale że tak ukochać nie możesz, więc ją opuść, wyjedź za granicę, pracuj, wsławiaj się — gdy wrócisz, albo ją będziesz mógł pojąć za żonę, albo... zapomnisz i Helusia nigdy sobie rzuconych w jej duszę wrażeń właściwem nie oznaczy nazwiskiem.

— Tobie się zdaje, że Helusia pokochaćby mnie mogła?

— Tak jest wistocie; mogłaby cię pokochać.

— A to osobliwy człowiek!

— Dlaczegóż tak osobliwy?

— Wie, że ja kocham, rzuca mi w serce nadzieję, o której ledwo zamarzyć śmiałem kiedy, nadzieję że kochanym być mogę, i potem chce, bym wyjeżdżał— staje między mną, a szczęściem. Osobliwszy człowiek!

Miał słuszność Romuald; wielkie głupstwo zrobiłem.

Na tych wyrazach przerwało się ostatnie wspólne czytanie nasze—przeszło w rok później zaginął mi rękopis i zupełnie straciłam nadzieję, abym go kiedykolwiek odzyskać mogła; przepraszam więc łaskawych czytelników, że im niedokończoną „Książkę pamiątek“ w niniejszym zbiorze „Pism Gabryelli“ podaję.

XIII. [1])

Kiedy się w sercu człowieka uczucie z wrażeniem, chwila przemienna z wieczności pierwiastkiem mącić i burzyć zaczyna — zdala niepoświęceni! ani się ważyć tknąć ręką — chyba jaki arcykapłan może tę arkę, z Syloe przewożoną, trochę sprostować gdy się na bok chyli, trochę podeprzeć gdy upadku blizka; prostym wyznawcom nie wolno—ich najpoczciwsza intencya albo się na nic nie zda, albo zaszkodzi stanowczo. I wywnioskować i zgadnąć niepodobna, w co się czyje rady, przestrogi, w co nawet żarty niewinne obrócą — czy wywołają upór? czy stłumią szlachetne skłonności? czy upoważnią fantazyą? czy oswoją z nieuznawanem jeszcze przypuszczeniem? Głównie przecież o to chodzi, by się prawda jako oliwa na wierzch wydostała. Mój Boże! jać nie mówię o tej prawdzie pięknej i doskonałej, której stworzyć w sobie dowolnie, której zapisać sobie receptą nie można — żądam jedynie prawdy rzeczowej, prawdy usposobienia, wagi, kształtu, koloru, tej prawdy co własność niejako wszelkiej jednostki stanowi i coby dla odróżnienia powinna się „prawdziwością,“ a nie prawdą nazy-

---

[1]) Rozdziały XIII-ty i XIV-ty nie były pomieszczone w wydaniu z roku 1861; znalezione zostały o wiele później i w wydaniu niniejszem ukazują się poraz pierwszy.

(*Przyp. Wydawcy*).

wać. Prawda, to zbyt święty wyraz, niesłusznie się nim posługujemy na oznaczenie różnych istniejących faktów, gdy między niemi tyle jeszcze fałszu i złudliwych pozorów — niech więc tylko w uczuciu prawdziwość się odnajdzie, niech z mnóztwa fantasmagoryj odpowiedni sobie przejaw uwydatni. Jest miłość cnota, jest miłość występek, miłość mądrość i miłość szaleństwo, miłość siła i miłość mazgajstwo, miłość szczęście i miłość cierpienie, miłość słońce i miłość piorun, miłość dowcip i miłość głupstwo, miłość ukochanie i nienawiść. Och! jest pełno takich, między sobą najsprzeczniejszych miłości, a w kim która? Powinniśmy się, zaiste, i u siebie, i u drugich dopominać o najtrwalszą, najczystszą, najwznioślejszą — ale pierwej jeszcze powinniśmy wiedzieć i w sobie i w drugich, jaka jest? Do rozstrzygnięcia wątpliwości czasem tyle zdarzenie postronne się przyda, daleko częściej byle nacisk leciuchny obcego wpływu przeszkadza. Widać, że kryzys taka przeznaczona jest ludziom na rozwinięcie wszelkiej możliwej dla nich samodzielności; bardziej jednolite charaktery nie przechodzą jej zwykle. Gdy kochają, to kochają i wiedzą o tem; gdy kłamią, to nie przed własnem sumieniem, tylko przed ludźmi, bo chcą kłamać; gdy się bawią, łudzą, upijają, to dlatego, że sobie pozwolili bawić się, łudzić, upijać. Ale są inne natury, posążki z innych kruszców ulane, szarady mnogosylabowe, kalejdoskopy żyjące, w których zdaje się, że nie jednę duszę, ale ze sto rozmaitych duszyczek na czyścową próbę zamknięto — są artyści przecież; dla nich wszystkich trzeba koniecznie choć jednej chwili, choć jednego wysilenia, przez któreby się treści swej gatunkowej dojąć mogli i przez które stanowczoby się wypowiedzieli, sobie na dalszy kierunek — ludziom, na ostrzeżenie, Panu Bogu — na sąd. Taką chwilą, takiem wysileniem zenitowem jest chwila i niepokój gwałtowniejszej miłości. Juścić, że trudna praca rozpoznawcza, gdy się wtedy obcy kłopot do ich własnych kłopotów, obca niepewność do ich własnej niepewności przymiesza. Wnet dziwne i nie-

przewidziane tworzą się amalgamata, w górę bije próżność lub zazdrość, rycerskość obrończa lub upokorzenie, skrupuły bezprzyczynne lub heroizmy bezcelowe, zniechęcenia niedołężne lub zuchwalstwa zaczepne—masy, masy względzików i namiętnostek: jakżeż tu biedne serce do porachunku samo z sobą przyjdzie? Ocho! już ja teraz roztropniejszy jestem; w sprawy zakochanych nic a nic się nie wdaję. Kiedy na drodze spotykam, to się kłaniam bardzo nizko — „Panie Boże pobłogosław“— czasem poszepnę: „Stary diable, nie otumań“ — ale przestrzegać, roztrząsać sumienie czyje, choćby też głową pokiwać i skrzywić się lub uśmiechnąć — no, pewnie na tym uczynku nikt mnie więcej nie pochwyci. Wtenczas, niestety, mniej miałem doświadczenia, zdawało mi się, że jestem odpowiedzialny za najosobistsze szczęście i najosobistsze głupstwa moich dobrych przyjaciół. Wyrwałem się z niewczesną gorliwością i czegożem nawarzył? Gdybym cicho był siedział, uczył Helusię geografii, gramatyki, historyi — Helusia aż nazbyt usposobiona do medytacyjnego, w sobie zamkniętego życia, nie byłaby może tak głęboko bez mego potrącenia w przepaściach własnej duszy utonęła. Gdybym napomnień moich Romualdowi oszczędził, przez długi czas jeszcze nie byłby spostrzegł, że niebezpiecznym się staje, nie zhardziałby tak bardzo. Później... kto wie?... możeby mu się serce wdrożyło do rzetelniejszego uczucia, może samo przywyknienie stałoby się niezmiennością, sam ciąg chwil dobrych, jasnych, potrzebą dobra i światła. Moja perora uprzedziła te piękne możebności; dmuchnąłem na pączek w chwili krążenia artystycznych jedynie soków: bardzo więc prostą konsekwencyą, zamiast kwiatu życiem i gatunkiem swoim dojrzałego, niedojrzały, choć prześliczny, kwiat fantazyi się rozwinął.

Ledwo Romuald ostatniego słowa domówił, mnie te wszystkie uwagi rojem pszczół niespokojnych na mózg się rzuciły — załamałem ręce w okropnem przerażeniu i tak patrzyłem na mego towarzysza, tak bez-

wątpienia dziwnie osłupiałemi patrzyłem oczami, że gdyby mógł był dowidzieć, pewnieby mi swoich pustych, studenckich żartów nie poskąpił; ale Romuald nie dowidział. Szybkiemi krokami przebiegał oba moje pokoiki, gładził swój czarny wąsik, rozgarniał swoje długie włosy, zręcznie jak gemza wyskakiwał wśród stosów książek i rozstawionych na podłodze kuferków, czysto jak dzwonek loretański przydzwaniał sobie swobodnym metalicznym śmiechem, a przedrzeźniając nieszczęsne moje zapytanie:

— Co tobie po miłości jej?...— rzucał w mą stronę dumnie wyzywającym tonem, znać, że mu było dobrze, wesoło na świecie. Stopniowo jednak ruchy jego wolnieć zaczęły, twarz spoważniała, czoło się zmarszczyło, po chwili milczenia dobitnie, sylaba za sylabą wyskandował teżsame słowa: — „Co tobie po miłości jej?“ — Czy chciał zbadać własne sumienie? czy się oswajał tylko z dźwiękiem i znaczeniem tak pełnych dobrej wieści wyrazów? niech rozsądzi, kto był szczęśliwy kiedy — ja tam nie wiem. Wiem tylko, że później stanął przy oknie na ogród wychodzącem — stanął, jak stał onego poranku, gdy go smutna piosenka Helusi najpierwszy raz doleciała. Zamyślił się trochę i znów w krótkich odstępach powtarzać zaczął: — „Co tobie po miłości Helusi? Co tobie po miłości jej?“—a głos jego był coraz cichszy, miększy, pieściwszy i gdy nakoniec jakby z tajemnic ducha odbitem echem poszepnął: — „miłość jej...“ to ostatnie pianissimo tak mi przenikająco, dźwięcznie, rozkosznie po wszystkich nerwach musnęło, że mimowolnie ja, niekochany, odepchnięty, przez jedno uderzenie serca znienawidziłem go całą zazdrością, na jaką tylko moja natura zebrać się była zdolna.

Toż ów dzieciak lekkomyślny, co już tak nieoględnie złamał szczęście, a może nawet i skrócił życie zapomnianej kobiety — ów światowiec, który przy lada sposobności gotów w szaleństwie i brudzie utonąć — ów egoista bez celu przed sobą, bez prawdy w przekonaniu, bez zdolności poświęcenia w sercu — ów despo-

ta wymagający a marnotrawny. łakomiec, który się żadną nie nasyci radością, fetysz, który wszystkie kadzidła i wszystkie ofiary, mimowiednie jako należność swoję przyjmie i pochłonie bez zwrotu— ów Romuald będzie miał takie wrażenia, takie chwile dyamentowe — a ja?... z młodości poczciwie przepracowanej, z bogatszych, jak mówiono, władz umysłowych, z uczucia, w którem najczystsze, najświętsze pierwiastki mego ducha spromieniłem, ja nigdy!— na Bóg wie jak daleką przyszłość — nigdy, nigdy podobnego nie wycisnę wspomnienia? Och! Maryo-Regino!... i przy tem imieniu wnet zazdrość moja nikczemna stopniała, zostało się tylko rozżalenie głębokie, pożądanie jakieś gwałtowniejsze.— Maryo-Regino, gdybyś ty mi darowała choć chwilkę przelotną, w którejbym miał prawo z takiem upojeniem, z taką pewnością że to do mnie należy, pieścić te słowa: „miłości jej...“ nie, już nie myślę czy byłbym szczęśliwy i wielki—ty byłabyś szczęśliwą—ty wielką—ty kochaną lepiej, nieśmiertelniej niż Romuald Helusię, niż ktokolwiek, kiedykolwiek kobietę ukochał.

Przepraszam za moję niedorzeczność, ale tak mi się zdawało onego czasu, byłbym sobie dał głowę uciąć, że nikt jeszcze od genezyjnych dni stworzenia nie odkrył tej Ameryki uczuć niezmieniających się nigdy, zachwytów ciągle z ziemi ku niebu tęczową bijących fontanną, ideałów z rzeczywistością najtrwalszemi skowanych gwoździami. Że nikt nie odkrył, w tem miałem bardzo wielką słuszność; że ja mogłem nowym Kolumbem w tych przestrzeniach stać się, to była gruba i śmieszna z mej strony pomyłka — a prawo czasu? a pleśń przywyknienia? czy-to jak świat światem nigdy się dwa kochające, ufne w pomoc wzajemną, tęskne za prawdą Bożą serca nie złączyły, a złączywszy, czyż każde w swoję stronę nie odpadło, zawiedzione, smutne, rozbite? Więc ja miałem być osobliwością, fenomenem, jedynakiem uprzywilejowanym starego Saturna... — ja z moją Maryą-Reginą — Deukalion z Pyrrą moją?... Cicho, brzydki ku-

sicielu!... wydziedziczono mię ze wspomnień, z miłości, ze szczęścia. Ty, sarkazmie, nie wydziedziczysz mię przynajmniej z tej wiary, że mogłem na całą wieczność ukochać, że moja radość wszelki przesyt i wszelkie zniechęcenieby przetrwała, że lot skrzydeł moich z tą duszą siostrzaną przy boku, aniby się utrudził, ani też zniżył kiedykolwiek. Takie przekonanie, to skarb mój jedyny, to bardzo często Prometeuszowy sęp mojej wyobraźni; lecz czasem, czasem to biała z korabiu życia za oliwną gałązką puszczona gołębica. Musi być przecież cel jakiś dla władz naturze mojej wrodzonych, musi być dla mnie jakaś przyszłość inna, choćby dopiero z tamtej strony grobu... Nie—ja nie jestem zupełnym bankrutem; został mi pewien kapitał wsteczny i warunkowy nadziei, wolę go od skostniałej nędzy mnóztwa innych rozrzutników, co się nawet łudzić nie mogą, że gdyby otrzymali, zdobyli, posiedli, toby im nigdy siły do przyciągnięcia nieba na ziemię nie zbrakło. Powiedzieć sobie: „kochałem, i cóż mi przyszło z kochania mojego? — byłem kochany, cóż mi dzisiaj po tem? czym rzeźwiejszy, mędrszy, bogatszy? Oto mi zimno, głucho, nudno, ciemno—oto muszę tak samo się krzątać, trudzić, ubijać z wypadkami mej doczesności, jak z rojem komarów brzęczących. Oto się tylko dowiedziałem na pewno, że wszystko przemija, wszystko kłamie, wszystko jest próżnem złudzeniem złudzenia, że człowiek dlatego się rodzi, by całe życie umierał w apatyi — cha, lub jeżeli może w ascetyzmie. Tak powiedzieć sobie, to okropność, to szkaradzieństwo!... Stokroć już lepiej pocieszać się i drażnić nieskończoną różnych „gdyby“ litanią: gdyby mię kochano — gdybym czuł jej dłoń białą na mej dłoni wspartą — gdyby ona zapragnęła dla mnie wyższości między ludźmi, nauki, powagi — gdyby dobre powodzenie upragnionem, jakbym to ja postąpił daleko, jak urósł wysoko, zasłynął szeroko, jakby mi łatwo było wtedy umieć, spełniać, pokonywać, odpychać, przyciągać, brać i rozdawać! — A teraz?... jeszczeć nie łotr i nie ostatni niedołęga ze

mnie, jestem człowiek bardzo obowiązkowy — w tem bieda cała, że każdy obowiązek mógł być przyjemnością... jest trudem.

A tymczasem, gdy tak snułem mój wewnętrzny monolog, ów Romuald, srodze na początku zlekceważony, przypomniał mi drobniutki szczegół, który w jego charakterystyce pominąłem zupełnie, wziął skrzypce i grać zaczął — ów dzieciak egoista, światowiec, był-to zawsze dzieciak egoista, światowiec z talentem. Talent w jego naturze tworzył odrębną, sobie tylko właściwą kombinacyą, a ja na śmierć zabaczyłem, a mnie prawie dziwnem się zdało i niesłusznem, że on szczęśliwy, że kochany być może. — „O głowo! ty głowo!“—On magnat, on pan na swojej łasce utrzymujący rzesze wrażeń zgłodniałe — on, po całych godzinach mocarz nad mocarzami, władca nad wszystkich władców potężniejszy, bo mocarze, bo władcy do rządów swoich nad bliźnimi widomego jakiegoś znaku lub ciągu zdarzeń potrzebują; aby zasmucić, uweselić, przerazić, aby miłość, nienawiść, zapał tłumów wzbudzić, szafują złotem, tytułami, próżnością, grozą i karą. On bez znaku, bez zdarzeń pośrednich, odrazu w ludziach rozbudza to, co jest wszelkich wypadków sumą ostateczną, odrazu daje to, co się z każdego powodzenia lub niepowodzenia, z każdej doli lub niedoli wyciska: daje poczucie wrażenia, daje ekstrakt życia spotęgowany w jednę chwilę, jak w kropelkę jednę najesencyonalniejszego nektaru. I komu tu było nad nim wymyślać? Komu to piąć się górą w życzeniach swoich? mnie, robaczkowi niememu, cząsteczce niedojrzanej poddańczego gminu!

Ale też bardzo prędko w pokorę uderzyłem — ocho, prędko, zaledwie skrzypce się odezwały, chociaż najpierw odezwały się tymsamym dźwiękiem tłumionego poszeptu, który przy końcu z ust Romualda uleciał, a nawet, że mu jeszcze wargi drżały słów wymówionych wzruszeniem, trudno mu było muzykę od głosu rozróżnić, zupełnie sprawy sobie zdać nie mogłem, czy on ciągle powtarza: „miłości jej... miłości

jej.“ czy to już struna wibruje pod jego smyczka dotknięciem — lecz wkrótce silniej nacisnął i nuty jedna za drugą do serca spadać zaczęły, nuty westchnienia, łezki, perełki, aż wreszcie zdaćby się mogło, że grecka nimfa przechyliła trzymaną przy źródle urnę swoję marmurową, strumień pieśni rozlał się szeroko najprzejrzystszym kryształem i płynął w głąb duszy i przepełniał ją dziwną słodyczą, ubłaganiem, tkliwością; chciałoby się ręce wyciągnąć, prośby wysłuchać, smutek utulić, dziecię jakieś popieścić, biały skraj szaty anielskiej ucałować... a pieśń płynie i rośnie, przebiega całą skalę najwyższych i najniższych tonów—jasna—głośna—wyraźna—już nie rozrzewnia, nie prosi, rzekłbyś raczej że cię wspiera, że taką, jak przysięga, pewnością utwierdza. Jest w niej pewne przypomnienie wieczornego hymnu Helusi, lecz bogaciej rozwinięte i z większą męzkością wydane. Tam, w odosobnionych kadencyach, artysta szedł jedynie za przywództwem uznanej myśli, godził się z nią, dopełniał jej czasem — tutaj, owładnął jak swoję, kazał jej wezbrać potokiem harmonii, kazał trudności łamać, niepodobieństwa pokonywać. Temat był prosty i surowy, jak prawda — ale forma jego to podziwem, to obawą, to uwielbieniem przejmowała. Nieraz, gdy wyciągnął dźwięk osobliwy, tuż przy krańcach możliwości artystycznej drgający, mnie prawie tchu w piersiach nie stawało, bo to ni mniej ni więcej, tylko jakoby lunatyk wstępował na stromy cypel lodowatej góry i ponad samą przepaścią niezachwianym szedł krokiem; niech atom śniegu zpod nóg się usunie, wiatr najlżejszy niech powionie, już rozbicie, już fałsz, jeno krzyknąć i uszy zatykać... A Romuald ciągnął śmiało, przesuwał się po tym dźwięku, jak dusza sprawiedliwego po ostrzu mieczowym do raju Mahometa, i chwilkę tylko wśród wonnych kwiatów spocząwszy, znów się zuchwale ze szczytów w otchłanie przerzucał, znów duchy najsprzeczniejszych żywiołów do zwycięzkiej walki powoływał. Rycerz bez skazy i bojaźni w państwie pieśni i tonów, kiedy w gromki głos

uderzył, to czoło się chyliło mimowolnie, kiedy zaczął pasaże, tremolanda, arpedżia masami na wszystkie tony rozmiatać, to się czuło, wyraźnie się czuło, że człowiek radby tej dzielnej, tej nieomylnej prawicy zaufać — gdyby skinęła: „pójdź za mną.“ poszedłby bez namysłu i dałby się prowadzić wszędzie, przez góry i doliny, przez lasy i pola, przez pustynie samotne i przez tłumy zbrojnych wrogów. „Co tobie po miłości jej?“ — pytałem zaniepokojony przed godziną może; w tej chwili już wiedziałem, już to przyjąłem za konieczność losu i nic mię nie gniewało, nie trwożyło, nie oburzało. Z miłości Helusi miała być coraz piękniejsza muzyka...

Wtem, gdy ja tak słucham zachwycony, pochłonięty... nagle kwinta wrzasnęła przeraźliwie. Romuald skrzypce na stół cisnął, że aż jęknęły, i sam blady, ze łzami w oczach na szyję mi się rzucił.

— Ludwiku, mój kochany Ludwiku, nie wyjeżdżaj! zostań się, zostań z nami -- prosił, naprzykrzał się jak dziecko...

Przez pół sekundy odurzałem zupełnie—Romuald mię tak kocha! Romuald błaga o przedłużenie mego pobytu... niewiele brakowało, bym i ja się rozpłakał; lecz mię natychmiast wszelka zarozumiałość odstąpiła, jeszcze on głowę wspartą na mojem ramieniu trzymał, gdy już zgadłem o co mu chodzi. Żal mi się go zrobiło okropnie—przytuliłem do siebie tem serdeczniej, w jasne skronie ucałowałem tem tkliwiej, lecz z niezachwianą stałością chociaż ze smutkiem głębokim:

— Nie, nie mogę zostać, mój Romualdzie — odrzekłem.

Romuald wysunął się z mych ramion, stanął o parę kroków, popatrzył mi w oczy i z oburzeniem prawie zapytał:

— Dlaczego nie możesz?

Przymusiłem się do lekkiego uśmiechu.

— Co tam tobie w chwili szczęścia i dobrego natchnienia o takie niepotrzebne bagatelki się pytać?

Nawet-byś mię nie dosłuchał, jakbym ci zaczął rozpowiadać o stanie mego procesu, o gospodarstwie naszej wioseczki, o hypotekach, płodozmianach...

— Mów o sobie samym, to cię dosłucham i lepiej ci uwierzę.

— Nawet gdybym o sobie mówił, tobyś mi nie uwierzył, Romualdzie, nie zrozumiałbyś...—I zatrzymałem się. Wypowiedzenie, czegoby on-to nie zrozumiał, zbyt wiele mię kosztowało—żadne zgłoski jakoś nie pasowały do téj boleści, która była hardem poczuciem doznanej krzywdy i ślamazarną tęsknotą zarazem—dumą moją i upokorzeniem mojem.

— Muszę odjechać — dorzuciłem tylko po chwili jeszcze pewniejszym niż z początku głosem.

Kiedy Romuald potrzebował kogo, kiedy chciał co otrzymać, to nie było w całej Angorze pieszczotliwszego, miększego, układniejszego koteczka; sił swoich nie rozdwajał na miłość własną i pożądanie — miłość własna szła na bok, on całą, nierozdzielną wolą swoją darł się do upragnionego cacka, choćby mu sto razy na duchem krzyczano: „Fe! to niegrzecznie! to niedelikatnie! powinienbyś się wstydzić!...“ jemu bynajmniej wtedy o punkt honoru nie chodziło; chciał dostać, chciał mieć, chciał dosięgnąć; żaden sposób go nie upokarzał wtedy, żaden postronny wzgląd nie zatrzymywał — przymilał się, wdzięczył, rozrzewniał, całował, prosił, nie zrażał się odmową, a tak mu to jakoś szło gładko i wdzięcznie, że nikt się nie mógł zgorszyć natręctwem, że chyba ja tylko i wtenczas tylko mogłem się oprzeć czarownikowi.

— Ludwisiu! — mówił do mnie swoim najsłodszym głosikiem — co tobie jest, Ludwisiu? Widzę żeś smutny, przeczuwam jakieś głębokie zmartwienie w twojem sercu, a ty mi nie powiadasz. Jabym ci własną pierś otworzył, w sumieniu dałbym ci czytać jak księdzu lub bratu rodzonemu—ty mię nie chcesz przyjąć za brata...

Och! mag chaldejski! jakich-to on umiał wyrazów do swoich zaklęć i zamówień używać!... Na nie-

szczęście, w owej chwili święta formułka zupełnie odwrotną mocą działała: ja go nie chciałem przyjąć za brata...

— Nie, Romualdzie, braćmi być nie możemy — wycisnąłem nakoniec ze zduszonego niby żelazną obręczą gardła—niema równego działu w majątku naszym: tybyś przynosił szczęście, sztukę, wesołość i dobre wieści do podziału, a ja czczość, nudę tylko, zgryźliwy morał lub dysonans niewczesnej przestrogi. Nie, my nie braćmi, Romualdzie, ale ty zawsze moim będziesz do pewnego stopnia suzerenem duchowym: przyniosę ci w ofierze wszystko, co będę mógł zebrać z mojego ubóstwa, złożę wiernie dziesięcinę ziarna i owocu — pozwól niech sobie jedynie chrusty, suchą słomę i plewy zostawię.

— Czy myślisz, że mi te piękne słówka na odczepne wystarczą? Mylisz się bardzo, panie Ludwiku — odparł trochę rozdąsany, a trochę jednak niemi przekupiony artysta.—Nie chcę być ani twoim, ani niczyim suzerenem-bałwankiem, kwituję z ofiar i dziesięcin wszelkich, lecz kiedy kogo kocham, to się dopominam, żeby mnie kochał także, jak go o co proszę, niech mi zrobi, a jak go co zaboli, niech mi powie otwarcie.

— Przecież to nikt serdeczniej kochać nie może od matki, a właśnie dlatego, że kocha, bardzo często prośbom dziecięcia odmawia i ze swoją troską przed niem się ukrywa.

— Szkaradny Ludwiku, czy ty nie postrzegasz nawet, jakie mi ciągle impertynencye wygadujesz, przezywasz od suzerenów, od dzieciaków?! Nie wiem na czem skończysz, a wszystko to, dla ukarania chyba wielkiej winy mojej, że ci chciałem ulżyć dźwiganego ciężaru i rozjaśnić aby promyczkiem jednym chmurniejsze od bieżącego października czoło. Domawiając ostatnich słówek na miód stopionym, czy też na cukier skrystalizowanym tonem, Romuald znów mi ramię na szyję zarzucił i patrzył w oczy, jak magnetyzer, albo kobieta zalotna.

Przyznaję, że musiałem pewną siłę z siebie wydostać, by te uroki odczynić; wiedziałem, co one znaczą, pobudka najprzyjaźniejszych oświadczeń wcale mi tajną nie była, ani też dziwnem nie było tkliwe miłosierdzie Romualda, który zwykle od smutnych, jak od zadżumionych, uciekał. Może być, że w owej chwili czując się szczęśliwym, poczuł się także i nieco lepszym, żywiej współczującym, ale główne tło całej owej dobroci stanowił zawsze ten sam, nieświadomy siebie egoizm, i chęć pociechy i braterstwa i wszystkie czułości do jednego mianownika sprowadzone, znaczyły po prawej stronie:— „Mój kochany Ludwiku, ciesz się, bo ja wesoły — niech ci nic nie zawadza, bo mnie już jest dobrze.“ — a po lewej to jeszcze prostszym wyłuszczały się sensem: Romuald zgadywał, że jakieś zmartwienie jest mego wyjazdu przyczyną, mój zaś wyjazd w obecnem rzeczy położeniu wcale mu był nie na rękę, utrudniał bardzo i wpół rozrywał prawie bliższe stosunki z Helusią. Każde więc pocałowanie, każde spojrzenie Romualda mówiło tylko: — „Nie smuć się i zostań“ — ja też po chwili milczenia raczej na myśl jego cichą, niż na głośne odpowiedziałem wyrazy:

— Nie mogę, nie mogę zostać.

Romuald arcy-naiwnie uznał stosowność takiej odpowiedzi—nic go to nie zastanawiało, że się z tem, co do mnie przy końcu mówił, nie zgadzała; lecz, że się nie zgadzała z tem, czego pragnął, to go do wielkiej niecierpliwości przywiodło. Osunął mnie z uścisku, zakręcił się parę razy po pokoju, a wreszcie rzucił się na fotel przy oknie stojący i twarz rękoma zasłonił. Zdawało mi się, że płacze — serce mi jakoś rozmiękło. Czyż doznany przezemnie zawód i w jego szczęściu ma być przeszkodą?... Jakąby tu radę znaleźć? czem go pocieszyć?... Wszakże Marya-Regina kocha Helusię—mogą coraz więcej się zbliżać, coraz rodzinniej zaznajamiać... a gdy ja tak dobieram uspokajających przypuszczeń, Romuald nagle w tył głowę

odrzuca i nie ze łzami wcale, tylko z tryumfującym uśmiechem, patrząc na mnie, w ręce klaszcze i woła:

— Brawo, Ludwiku! nie możesz zostać, odjeżdżaj! Właśnie mi teraz osobnego do pracy potrzeba mieszkania—wynajmę po tobie te śliczne, ciche pokoje, napiszę mój wielki kwartet koncertowy, sprowadzę sobie fortepian, zacznę Helusię uczyć muzyki...

Zdrętwiałem przy wyliczaniu tych szalonych projektów; on się niemi po swojemu rozmarzył, a że milczałem, pewnie zaraz zastosował przysłowie: „kto milczy, zezwala“—snuł więc dalej złotą przędzę swych urojeń.

— Wcale mi o to nie chodzi, żeby kiedyś biegle grała na fortepianie; niech tyle umie, ile do śpiewu potrzeba. Śpiew to jej posag, to jej przyszłość nieunikniona — już widać Bóg ją stworzył dlatego, żeby ludziom śpiewała. Ty może niedość jesteś z tajemnicami sztuki oswojony, ja wiem dopiero, co za przeczucie prawideł, co za instynkt umiejętności w tym talencie leży! jak ona włada oddechem! jak frazesa rozdziela! jak je cieniuje misternie! Powiadam ci: to skarb i przeznaczenie. Ma się rozumieć, że solfeżiowania spróbujemy zaraz — nauczyciela nie powołam na pomoc — niebezpieczni ludzie; gdyby się z takim zachwycająco bogatym głosem spotkali, wnetby im się chciało cudów dokazywać i zepsuliby mi go może, nadwerężyli, umanierowali. Och! nie pozwolę — sam będę pielęgnował pierwsze początki, a później... według mego zdania, nie godzi się czasu tracić, coprędzej do Włoch jechać należy... We Włoszech...

I Romuald nie dokreślił świetnych swoich planów; z ostatniem słowem w inną sferę uleciał. Jestem pewny, że go otoczył cudny auzońskiej ziemi krajobraz, nad jego głową rozpostarło się szafirowe, bez żadnej chmurki niebo, dokoła gaje cytryn i pomarańcz zawoniały, a on z Helusią przy boku siadł kędyś w cieniu złamanej kolumny — czy śpiewu słuchał, czy serca jej uderzeń — to wiem tylko, że twarz jego inny przyoblekła wyraz, rozśmiechnięta bez uśmiechu, rozcie-

plona niejako bez wyraźnego rumieńca, zawisła na chwilę w nieruchomej, senliwej błogości.

— Ja myślę, że nic z tego nie będzie—zdobyłem się wreszcie na odpowiedź;—ty, Romualdzie, mieszkać tutaj nie możesz.

Gdybym go był ukąsił, toby mu jeszcze tak błyskawicowo rozmarzone jego oczy gniewem nie zamigotały.

— A to czemu? — syknął z bólem prawie, jeśli nie ze złością gwałtownie powściągniętą. — Mogłeś ty mieszkać, mogłeś ty lekcye dawać, któżby mnie zabronił? co uchodziło tobie, młodszemu, czemuż mnieby ujść nie miało? co dla ciebie było przyzwoitem, czemuż dla mnie ma być gorszącem?

— Istotnie, Romualdzie, według zewnętrznych okoliczności, takież same prawa nam służą; jednak zdaje mi się, że wewnętrzne nasze usposobienie stanowczą między niemi rozkreśla granicę. Ja się nie kochałem w Helusi.

— A to logika! Ludzie, co się nie kochają, powinni być razem, a ludzie, co się kochają, powinni być zdaleka!... Jeśli w tej zasadzie jest sens najmniejszy, to mię przez okno wyrzuć, Ludwiku!

— Niech mię Bóg broni! nie popełnię takiego grubiaństwa, ale z wszelką względnością raz jeszcze ci powiem, że jest sens—jest, według miary dzisiejszego towarzystwa i dzisiejszej moralności. Wiem że mnie, młodszemu, takie poważne słowa śmiesznie na ustach wyglądają; nie powstydzę się ich przecież—żaden sofizm i żaden żarcik nie zmieni we mnie poczucia jasnej prawdy. Dziwi mię tylko, że ona tobie wydaje się tak wielką niedorzecznością, tobie, co masz siostrę i co możesz lepiej niż kto inny warunki życia kobiecego na świecie zrozumieć.

— Ja to rozumiem tylko, że jeśli Helusia „może mię kochać,“ powinno być jej dobrze ze mną, a inni ludzie niech się o nas nie troszczą.

„Inni ludzie niech się o nas nie troszczą“ — jak to łatwo rzucić przed siebie głosem, a jak trudno w so-

bie prawdziwem życzeniem osadzić, pominąwszy już, że od ludzi uprosić niepodobna. Człowiekowi ten bodziec sądu ludzkiego, jak woda rybie, do oddechu potrzebny — każdy Filip ma swoje Ateny, o które się ciągle dopytuje: a co tam w nich mówią o nim? Dwie po nim są chwile zupełnego zpod sądów ludzkich wyzwolenia: kiedy chcemy coś bardzo dobrego zrobić, albo coś bardzo złego popełnić; w jednym i w drugim razie „ludzie niech się o nas nie troszczą," nie ich pochwała zachętą będzie, nie ich groźba powstrzymaniem. Ze strony Romualda wyrażenie takie strachem mię tylko i oburzeniem przejęło — znałem, nie przez siebie, ale przez drugich cały kurs nauki obyczajowej, w obiegu między naszą młodzieżą będącej.

— Czy mógłbyś mi dokładniej znaczenie tych słów określić? — zapytałem więc Romualda surowo, jak sędzia, z badawczem, jak inkwizytor, spojrzeniem.

— Mógłbym, ale nie chcę — odrzekł, zuchwale wzrok mój przetrzymując; wkrótce jednak oczy mu złagodniały, wyciągnął do mnie rękę: — No — mówił dalej swobodniej—aby raz ten hultaj Romuald poczciwszym będzie od ciebie. Ludwiku, ty najmniejszego nie masz we mnie zaufania, ty na mnie kamieniem, ja na ciebie szczerością i chlebem. Nie lękaj się; w moich słowach była tylko pod twoim adresem groźba wyzywająca — dla Helusi nawet cienia złej lub uwłaczającej myśli nie było. Helusia wyrośnie na znakomitą artystkę, tłumy całe uwielbieniem ją otoczą— ja, pokorny, zdala modlić się będę, żeby nie odepchnęła pierwszego uczucia, co ją na progu jej królestwa powitało, żeby nie wstydziła się przed ludźmi nazwiska, co przy jej imieniu tak pospolitem, tak nieznanem wyda się wtedy!

Uściskałem poczciwego chłopca, jakgdyby mi kamień z piersi odwalono, lżej mogłem oddychać, uwierzyłem artyście i przyszłości — cha! bo miałem lat dwadzieścia cztery...

— Czy chcesz mi wielką łaskę wyświadczyć? — rzekłem po tym moim najtkliwszym uścisku.

— Łaskę! — zawołał ze zwykłą już sobie wesołością Romuald.— Niech dzisiaj wszyscy zgłaszają się o łaski do mnie. To właśnie dzień łask moich, dzień nieodmownych odpowiedzi i dotrzymywanych obietnic. Słucham, słucham, przedstawiaj swoję petycyą.

— Najjaśniejszy, bo najszczęśliwszy Romualdzie, proszę cię więc bardzo, proszę koniecznie, abyś rozmowę naszę i projekta swoje co do słowa pannie Maryi-Reginie powtórzył.

— A, nieinaczej, powtórzę, bądź pewny że powtórzę, nawet bez twojego wniosku sam z własnego uczyniłbym to natchnienia.—Romualdowi się zdawało, że mnie tylko gwarancya Maryi-Reginy potrzebną jest na upewnienie się względem losu Helusi.

— Kiedyś już taki zgodny — rzekłem jeszcze— to w liczbie dotrzymywanych obietnic na mój rachunek zapiszesz jednę prócz tego obietnicę.

— Jaką? gotów jestem—i coprędzej wydobywając kieszonkowy pugilares, z ołówkiem w ręku czekał na dyktowanie.

— Zapisz, mój drogi, że jak odjadę, mieszkania tutaj nie wynajmiesz. — Romuald pugilares i ołówek do kieszeni schował.

— Już co tego, to nie przyrzekam; albo ty zostań, albo ja się wkwateruję.

— Jestem pewny, że gdy się lepiej zastanowisz...

— Niegłodnym zastanowienia, wcale nie mam apetytu na zastanowienie — przerwał mi pośpiesznie, za kapelusz chwytając.—Bądź zdrów, przewielebny kaznodziejo! Miałbyś dziś we mnie nader nieuważnego słuchacza.

— Pozostawiasz mi przynajmniej nadzieję, że jutro powolniejszego mieć będę?

— Ocho! zobaczymy!

— Ocho! zobaczymy! — powtórzyłem z uśmiechem i szedłem za nim na schody, jak to zwykle bywało, gdy w przedłużanej gawędce, bez czapki częstokroć, na sam róg ulicy go przeprowadzałem. Tym ra-

zem gość mój nie miał bardzo zadowolonej tą grzecznością miny; łatwo mogłem zmiarkować, że byłby się zupełnie obszedł bez mego towarzystwa. Ileż-to czasem zmian i przewrotów jedno słówko wywołuje! Na parę godzin pierwej gdybym mu był pozwolił wejść za sobą do pokoju pani Agnieszki, nie posiadałby się z radości, czułby dla mnie wdzięczność nieograniczoną—wiedziałby i pamiętał, że to ja go moją nauczycielską powagą osłaniam i proteguję — lecz usłyszał odemnie tylko to jedno: „Helusia może cię pokocha“ — zaraz nadęta pycha rogi swoje pokazała, z użytecznego stałem mu się wcale niemiłą zawadą, a gdy jeszcze spostrzegł drzwi do mieszkania ślusarzów nawpół otwarte, wyraźnie to widziałem, że byłby mię z ochotą za dziesiątą granicę wyprawił.

— No, żegnaj, mój Ludwiku!—rzekł niby najnaturalniejszym głosem, lecz całą siłę akcentu w uściśnienie ręki przeniósł i dobitnie zrozumiałem, że to miało znaczyć: „Idź precz sobie! albo: niech cię tam...“

Uparłem się jednak i dodatku objaśniającego nie pojąłem. Pierwsze spotkanie Romualda z Helusią po takiej ważnej rozmowie nadzwyczaj mnie zaciekawiało, lub właściwiej się wyrażając, niepokoiło mię serdecznie.

— Mogę ci towarzyszyć aż pod sam teatr, bo mi właśnie obowiązkowa w tamtej stronie wizyta wypada—odpowiedziałem z równą napozór nieumyślnością.

Romuald zatrzymał się i ręką w czoło uderzył.

— Teatr! No, widzisz, zupełnie o teatrze zapomniałem, a to był główny cel moich odwiedzin. „Łucyą“ dziś dają, Marya-Regina wybiera się z pułkownikową i z panną Ireną, kazały mi się spytać te panie, czy będą mogły po Helusię nad wieczorem przyjechać? My we trzech z Kazimierzem do krzeseł odkomenderowani. I cóż? Pan Ludwik zatwierdza nasze rozporządzenia?

Panu Ludwikowi w głowie się coś zamąciło, że te dwa dni poprzedzające, te dni bez gwiazd i słońca, to niebyłość jakaś w jego życiu. Nic się przecież nie

zmieniło, wszystko tak jest, jak przedtem bywało. O pana Ludwika się dopytują, panu Ludwikowi przesyłają uwiadomienie o różnych projektach, z panem Ludwikiem chcą dzielić chwile zabawy, układać przedsięwzięcia: wszystko tak jest, jak przedtem bywało, tylko „przedtem“ co najmniej przyjazną życzliwość znaczyło, a teraz „po tem“ co znaczy? Może lekceważenie, może litość, może sprawiedliwość sumienną? Na pierwsze nie zasługuję, drugiej nie chcę, o trzecią już nie dbam. Dziś nawet żal twój, Maryo-Regino, dziś twej pomyłki uznanie jużby wystarczyć nie mogło; kochaj, lub znikaj na zawsze, bądź jedyną moją aż do grobu, lub nawet poza grobem zdala od wieczności mojej!...

Tak więc na przedstawienie Romualda wszystkie mi koło serca arterye wezbrały, planów jego wszelako zatwierdzić nie mogłem, z drugiej strony jednak nie chciało mi się nowej sprzeczki wszczynać i nowego śledztwa przechodzić: pośrednią żartu wyśliznąłem się drogą.

— Ej—rzekłem z uśmiechem—przyznaj się, Romualdzie, że ci w tych wszystkich układach najmniej własnie o pana Ludwika chodzi.

Romuald odśmiechnął mi się bardzo wdzięcznie, słowa moje wziął za zwykłe „prześladowanie,“ które wszędzie rozkochanych ściga, a jednak nie bardzo im dokucza; jest to wprawdzie pewien rodzaj cła zwyczajowego, jest cień, długą czasem karykaturą za szczęściem, jak za ciałem człowieka ciągnący; ale cło się płaci od towarów, co nam zyski wróżą, cień pada wtenczas tylko, kiedy słońce świeci, i prześladowanie ma swoją dobrą stronę: tak nam daje prawo śmiać się w oczy tym, którzy z nas się śmieją, tak pozwala nam dbać o cudze słowa, nie troszczyć się o nikogo, tak upoważnia, ośmiela, zachęca, że istotnie, radzi mu jesteśmy więcej nawet... niż skrzeczeniu żab na wiosnę. Zrobiłem prócz tego małe spostrzeżenie, że kto „prześladuje, ten najczęściej sprzyja naszemu uczuciu. Stanowcza opozycya, póki z otwartem *veto* nie wystąpi, póty jest milczącą głęboko i ślepą na wszystko. „Gdzież

to podobnem, aby pan X. lub Y. kochał się w mojej córce? starał się o naszę kuzynkę? miał wzajemność naszej siostry, synowicy, siostrzenicy? i t. d.“ — Gwiazdy na niebie koło swoich osi z większą spokojnością się nie kręcą w stosunku do ziemskich glist i kretów, jak niektóre powagi familijne w stosunku do uczuć młodocianych, do serc dla siebie stworzonych, do przeznaczeń spotykających się w życiu. Cóż dziwnego, że Romuald zapytanie moje przyjął radośnie, jakoby pieczęć kanclerską na dyplomie nowych swoich tytułów i godności? Odśmiechnął się więc, jak to już wspomniałem, a przechyliwszy się trochę do ucha, półgłosem mi rzucił:

— Mylisz się: najmniej mi chodzi o pannę Irenę... Nie, nie, nie gniewaj się, już wiem co chcesz powiedzieć, bardzo szanowna osoba! bardzo znakomita panna! Przepraszam cię, szlachetny rycerzu; na zadosyć uczynienie powiem chyba, że mi najmniej chodziło o... o Helusię...

I domówiwszy tego imienia, tak prędko, jak wiewiórka, na dół po poręczy się spuścił.

XIV.

Ledwo przy ostatnim schodzie zdążyłem Romualda zatrzymać.

— Helusia jeszcze nic nie wie o moim wyjeździe —rzekłem do niego przyciszonym głosem— proszę cię, niech to między nami, li między nami, aż do pojutrza zostanie. Wszakże się czujesz zdolnym przez trzydzieści sześć godzin utrzymać taki niewinny sekrecik?

— Hm! niewinny? trzeba złożyć dowody — i figlarnie spojrzał mi w oczy i pod najweselszem wrażeniem dziecinnej, jak on ją miewał pustoty, wbiegł prędko do pokoju, gdzie Helusia właśnie siedziała.

Wbiegł, a za progiem stanął jak wryty. Czy go dziwna nieśmiałość ogarnęła, czy wzrok promienny Helusi przykuł do miejsca? — ja wiem tylko, że byłbym go uściskał za tę chwilę pomieszania, wzruszenia, obawy, za to nagłe stracenie fantazyi, a poczucie jakiegoś lękliwego uszanowania.

Pani Agnieszki nie było jeszcze, Małgosia w drugiej izbie przy gotowaniu się krzątała, dziewczę samo z myślami swemi zostawione, łokieć na stole, a główkę wsparło na dłoni i widać było, że w sobie dosłuchuje przerwanej Romualda muzyki. Cichość ulicy, drzwi odemknięte, niewielka schodów wysokość, wszystko to razem ułatwiało pochwycenie każdego brzmienia w jego najsubtelniejszem zadrgnięciu. Kiedyć ja, profan, tak się dałem oczarować świetnej improwizacyi Romualda, można sobie wyobrazić, jak współkastowa,

współwyświęcona Helusia zachwycić się nią musiała; ale ten wrzask ostatni. dla mnie słowami i prośbą Romualda uzupełniony. dla niej się niczem wytłumaczyć nie mógł. Ciągnęła dalej w wyobraźni swojej rozwinięcie pierwotnego tematu, lecz do ładu trafić jej było trudno i pewne zmęczenie w całej postawie się odbiło. gładkie czoło w dwie prostopadłe między brwiami wyrysowało się kreski, twarz nie powiem że zbladła, ale zbielała trochę, niby po już przemijającem osłabieniu. Wejście nasze niczem ani wyrazu oblicza, ani układu postaci nie zmieniło; Helusia miała pod tym względem niekarną, ale prześliczną naturę. Przykrym zawsze, niepodobnym w niektórych chwilach był dla niej wszelki gest konwencyonalny. ukłon, schylenie głowy, podanie ręki, przymilający uśmiech witania lub pożegnania: na nic się zdobyć nie mogła, jeżeli to równocześnie w jej usposobieniu nie leżało; ale też kiedy się zdobyła. mimowolnie każdy szczerzej odczuwał i wyżej cenił sobie. W pierwszych początkach naszej znajomości bardzo długo wytłumaczyć sobie nie umiałem, dlaczego najprostsze pozdrowienie Helusi więcej na siebie zwracało uwagi i dłużej było pamięci przytomne, niż milszej sercu częstokroć i daleko pożądańszej życzliwości objawy. Gdy Marya-Regina uniosła się z krzesła lub kanapy na moje przyjęcie. gdy mi z wdziękiem nie tak bardzo odległe do siedzenia wskazała miejsce, gdy rzuciła najłaskawszem o zdrowie lub o rachunek z dnia wczorajszego pytaniem, czułem, że mi jest „dobrze“ na świecie, ale nie czułem, że ona jest „dobrą;“ dla mnie była to, zaiste, wielka uprzejmość z jej strony, ale był także i zwyczaj towarzyski; kilka słów tylko. lub nazwiska przemienić, też same względy mogły spotkać pierwszego lepszego z przybywających gości. U Helusi przeciwnie: rzemieślnicze, nieforemkowe, a przy pieszczotach rodzicielskich jej samowoli zostawione wychowanie rozwinęło do wysokiego stopnia pierworzutność wrażeń. wyrażeń i ruchów. Kiedy była czasem pilnie szyciem zajęta. to choćby aksamity i gronostaje do pokoju weszły, nie byłaby

oczu podniosła, ani też igły z ręki nie byłaby wypuściła. Kiedy miała do śpiewu ochotę, to jej głosik słowiczy rozlegał się po dworku całym, po ogródku, po ulicy nawet, a czy kto słuchał, czy nie słuchał, jej to było wszystko jedno; żadna twarz obca „nie żenowała“ jej wówczas, lecz kiedy na ochocie zbywało — och! to znów prośby, namowy, jej własne usiłowania na nic się nie przydały. Dziwna jej natura ciągłego w najdrobniejszych szczegółach potrzebowała natchnienia.

Ludzie, którzy o sobie jakiemkolwiek wrażeniem znać nie dali, ginęli jej zprzed oczu — nigdy Helusia nie wiedziała, gdzie było więcej, a gdzie mniej osób, gdzie stroje świetne, a gdzie skromniejsze ubrania; z przechadzek swoich, z nieczęstych w okolice warszawskie wycieczek, zawsze wprawdzie przyniosła jakieś wspomnienie, albo spostrzeżenie jakieś, bo nie trzeba znów sobie wyobrażać, że Helusia po obłokach chodziła i że jej samej w niej samej nie było — wiele jest takich aż do bezmyślności marzycielskich organizacyi: moja wybrana siostrzyczka nie do nich należała — dzięki Bogu. Zanosiło się potrochu na tę szkaradną chorobę wtenczas, gdy ją bezmowna tęsknota dręczyła, lecz skoro tylko raz się otrząsnęła z padającej na nią niemocy, wszystkie władze ducha do życia powołane nie zasnęły już potem w owej limfatycznej, ospałej martwocie, którą dykcyonarz ostemplowanych fałszów marzycielstwem nazywa. Nie, Helusia nie była marzycielką, chociaż się dla niej tego bardzo obawiałem; Helusia nie znała chwil pustych i czczych zupełnie: jej myśl była zawsze wypełniona jakąś stanowczą, w słowa ujętą ideą; jej serce zawsze uderzało pewnem i nazwać się mogącem uczuciem — zbierała więc i wspomnienia i spostrzeżenia po drodze, lecz najczęściej takie, którychby inni może z ziemi nie podnieśli, a wymijała takie, które wszystkich uderzyć mogły. Co zaś górowało nad jej całą osobistością, to głównie zdolność—iż tak rzeknę—topienia się, absorbowania się w chwili obecnej, w pracy obecnej, we wrażeniu obecnie doznawanem; ztąd szła i trudność

owa do zadośćuczynienia wielu prostej przyzwoitości przepisom. Nie zliczyłbym nawet, ile razy moje pozdrowienie bez wzajemnego pozdrowienia przepadło, moja grzeczność lub przysługa nawet wdzięcznem nie opłaciła się spojrzeniem — a jednak to wszystko w innych chwilach sowicie nagradzało się znowu! Helusia niby nie tworzyła oddzielnych znaków i wyrażeń na objaśnienie tego, co się w jej duszy działo — więcej powiem: Helusia była skąpą i głosu i ruchu każdego, ale głos i ruch każdy zawsze to jedynie wyrażał, co mu kiedyś przed puszczeniem w obieg pospolity wyrażać było poruczonem.

W owej chwili, gdyśmy weszli z Romualdem, dziewczynka bardzo głęboko jeszcze muzyką i dziwacznem jej zakończeniem, lub raczej dziwacznem jej niedokończeniem zajęta, zupełnie wypuściła z uwagi, że mój towarzysz poraz pierwszy dnia tego jej się przedstawiał. Romuald śpieszył do uśmiechu, do ręki serdecznie podanej, a tu na progu zaraz spotkał się ze smutnie surowym wyrazem jej twarzy; gdy go przytem ogarnęło zaniepokojenie, pytające spojrzenie tych pół-błękitnych, pół-słonecznych oczu, nie śmiał dalej postąpić, bo, przyznał mi się później, tak go coś nagłym strachem przejęło, jakgdyby cała rozmowa nasza przez Helusię podsłuchaną być mogła i jakgdyby obraziła ją śmiertelnie. „Wszystko stracone! — ona mię nigdy kochać już nie będzie“ — pomyślał sobie z przerażeniem, a Helusia tymczasem wcale nie rozgniewana, wcale nie obrażona, swoim najłagodniejszym właśnie, przytłumionym, lecz pełnym dźwięku przenikającego odezwała się głosem:

— Cóż-to się panu stało, panie Romualdzie? Na kogo się tak zniecierpliwiła ta nuta ostatnia? Nie mogę zrozumieć—ona przecież do ciągu tego, co pan grałeś, nie należy?

W Romualda jakgdyby dusza wstąpiła — prędko zbliżył się do Helusi, ujął jej rękę, i w swoim ręku dłużej nad uścisk powitania zatrzymał. Krótka to była chwila, dla mnie przecież jedyna, w której się

zblizka przypatrzeć mogłem, jak promieniejącemi blaskami twarz kochającej kobiety promienieje. Zdawało mi się, żem doskonale już pojął całe bogactwo duchowej piękności, z tych niby mniej kształtnych rysów Helusinych przeświecające; nagle spostrzegłem, że ja się ani cząsteczki jego nie domyślałem nawet—dopiero pod wzrokiem Romualda wybłysnęło „z pączka tajemnicy“ zjawisko dziewicze. Rzekłbyś, iż światłość jakaś zaskórna z opalów i rubinów po licach się rozlała. Spojrzenie, zwykle do głębi własnej duszy powściągnięte, wezbrało teraz i płynęło na świat Boży strumieniem szczerozłotym tak czystego ukochania, tak nieprzebranej, nieograniczonej dobroci, że tylko ręce składać i o pomoc w drodze życia, o pociechę w strapieniach, o uświęcenie w radości jej prosić. Nie, trudno pojąć nawet bez żywego przykładu, jak Taborowym cudem rys każdy zosobna wyszlachetniał, wywdzięczniał, wyrobił się do stopnia właściwego sobie ideału.

. . . .

Jak myślę, że gdybym się w niej był kochał, tobym zawsze miał władzę widzenia jej taką, jak wówczas widziałem, jak nigdy ani pierwej, ani już potem przypomnieć jej sobie nie mogę. Miłość musi być chyba przeczuciem, odgadnięciem, a nakoniec uprzytomnieniem sobie tej doskonałej piękności, którą jako możliwość Bóg na każdej, choćby też i bardzo brzydkiej twarzy, złożył; kto obojętny, ten się jej nie domyśla wcale, kto życzliwie, uważnie, z pewnem już własnej moralności podniesieniem rozpatruje się w fizyognomiach ludzkich, ten ją czasem spostrzega, czasem wywnioskowywa; ale kto kocha, ten zawsze, w każdej chwili żywemi oczami, na żywą i wcieloną patrzy. Jestem pewny, że Romuald, jeśli nie sercem, to artyzmem i talentem, od pierwszego spotkania zaraz ujrzał Helusię w jej seraficznem przemienieniu. A ja sam, czyż dlatego Maryą-Reginę kochałem, że według powszedniego dykcyonarza piękniejszą, przystojniejszą

od Helusi była? Och! nie, dziś to wiem jeszcze, iż mi się w niej nie podobał ani poprawniejszy rysunek, ani świetniejszy koloryt, ani żaden z tych ujętnych, określonych kształtów, które każdy przechodzący na ulicy rozeznać i nazwać sobie potrafi. Nie, moja Marya-Regina nie była Maryą-Reginą warszawskich salonów: ona ciągle stała przedemną w pierwowzorze swoim, jaką przed narodzeniem Bóg ją w swej świętej myśli stworzył — jaką po śmierci w zbawieniu swojem być była powinna: jasna, silna, archanielska — nawet taka jakiej nigdy dowidzieć nie mogłem: nawet tkliwa i kochająca. Toż-to właśnie w pierwszych dniach mojej wiekuistej straty najwięcej mi dokuczało; gdybym odrazu był sobie powiedział: „omyłka lub niepodobieństwo“ — odrazu także byłbym ją wyrwał choć z kawałem zakrwawionego serca i nie rozmazgajałbym się w żalach bezcelowych i bezskutecznych ku przeszłości zawrotach. Ale na nieszczęście widziałem sam przed sobą, ile tam skarbów zaklętych w tym Sezamie złożonych, a co gorzej, tkwiło we mnie to przekonanie głębokie, że nikt inny tak dobrze nie wie, że mnie tylko dostała się zdolność osobna jakaś na przeniknięcie wszystkich tajemnic tej duszy. Ja się mogłem nie zrazić jej wyższością, nie upokorzyć jej pychą, nie zniechęcić jej egoizmem rodzinnym, bo ja czułem, jak ta „wyższość,“ najczęściej zawadzająca w kobietach, dokoła niej wdziękiem i koniecznością dobrego się roztaczała; czułem, że to jest wyższość, która wznosi i podtrzymuje towarzyszów, a nie spycha ich z drogi swojej—wyższość, przed którą nie czoło nachylać, lecz przy której wgórę ku słońcu rość trzeba. Jej pycha znowu, to proste chemiczne pokrewieństwo natury ze wszystkiem co wielkie, świetne, szlachetne; wśród drobnostek i błędów poziomych stąpa ona wzgardliwie trochę, szyderczo trochę i ze wstrętem, ale wezwać ją do najrozleglejszej pracy, rzucić w jej przeznaczenie najtrudniejsze a piękne do spełnienia przedsięwzięcia — z pychy wykwitnie siła, potęga, energia. A cóż dopiero owo jej samolubstwo

rodzinne! Czyż-to ono w czemkolwiek psuć mi mogło harmonią całości? ono ją właśnie najpiękniejszą koroną wieńczyło— ono kładło świadectwo o niezaspokojonej niczem potrzebie kochania; ono rozbudzało wszystkie nadzieje — ach! i wszystkie żale moje! Marya-Regina mogłaby kochać; Marya-Regina musi kochać pod grozą ostatniego zubożenia na duchu; Marya-Regina kochać będzie zapewne—lecz czy znajdzie takiego, co ją pojmie, uzna, oceni? Ja takbym umiał dzielić wszystko z nią sprawiedliwie; takbym wiele przyjmował bez fałszywego wstydu; tak wszystko własne oddawał z radością! — Cha! to szatan chyba wichrzy po świecie — mnie ona kochać nie może...

*

* *

Takiem to szczerem, najrzetelniejszem i pokornem wyznaniem już miałam wszystko rozstrzygnąć, gdy mi głos bardzo życzliwej, lecz bardzo zawsze wymagającej przyjaźni sumienie zaniepokoił.

— Dlaczego niechcesz „Książki pamiątek“ dokończyć?

— Dla czego nie chcę? — powtórzyłam z zadziwieniem niespodziewanie oskarżonej niewinności — ja nie chcę!? A toć tygodnie płyną, miesiące mijają, a ja nad tem właśnie mózg suszę i życie marnuję. Są ludzie swobodni, co myślą o swoich zamiarach lub kłopotach, pociechach lub obowiązkach. Ja myślę tylko o „Książce pamiątek.“ Są ludzie, co się martwią wypadkami jakiemiś, co się radują tem lub owem zdarzeniem; dla mnie wypadków niema, zdarzenia się przerwały, zmartwień zapomniałam, radości nie doznaję — utonęłam w „Książce pamiątek.“ Gdzie stąpię, gdzie usiądę, gdzie do snu głowę złożę, wszędzie za mną, przy mnie, przedemną „Książka pamiątek“ się snuje. Przeczytam co pięknego, mnie ona brzydka na pamięci staje — zagra kto kiedy prześlicznie, mnie wspomnienie artysty Romualda dusi. O zakochanych usłyszę — mnie wszystkie złości porywają, że się jakiś Ludwik kiedyś w Maryi-Reginie zakochał, że Marya-Regina kapryśnica w Ludwiku się nie zakochała. Nawet gdy ogień na kominku rozniecą, gdy wszyscy dokoła zadumają się o głębokiej przeszłości, o przyszło-

ści dalekiej, ja dumać nie mogę, patrzeć na grę płomiennych języków nie mogę, bo przed mojemi oczyma, niby w krzaku Mojżeszowym, ciągle się pali tylko i spalić nie może fatalny tytuł „Książka pamiątek przy kominkowym czytana ogniu,“ a kiedy się tak z nią biedzę, noszę, mocuję daremnie, ty właśnie wtedy się pytasz, dlaczego dokończyć jej nie chcę! Spytaj, dlaczego nie mogę? dlaczego to jest niepodobieństwem największem, przepadłością zupełną?...

— No, to powiedz dlaczego?

— Powiem, lecz pierwej muszę wiedzieć, czy dobrze rozumiesz, jaka zachodzi między utworem wyobraźni a rzeczywistością, między powieścią a biografią różnica?

— Ta najpewniej, że powieść od biografii piękniejsza.

— Niekoniecznie — o piękności talent stanowi. Jedni piszą daleko piękniej, niż żyć umieją, inni znów żyją daleko piękniej, niżby to najsławniejszy autor opisać potrafił. Nie, nie, piękności za cechową różnicę między powieścią a biografią nie godzi się uznawać, ale jest pewne stanowcze rozgrodzenie, które je od gór alpejskich łańcuchem przedziela. Powieść ma sens jawny i wybitny; biografia ma sens ukryty i najczęściej niezrozumiały. W powieści zdarzenia ze zdarzeń płyną, charaktery pod grozą recenzyi muszą być utrzymane i konsekwentnie przeprowadzone; wszystko co do głównego wątku nie należy, co do jedności działania nie pomaga, co zasadniczej myśli i dramatycznego efektu nie podnosi, wszystko to jak nieużyteczne strzępki obcinać trzeba, gdyż powieść jest przedewszystkiem całością, jest dziełem skończonem — niech jak chce w analizę psychologiczną się wdziera, zawsze od wypadku jej wątek rozsnuty, zawsze musi być określona tem, „co się stało.“ Życie zaś do pewnego stopnia nie określa się, nawetbym powiedziała „stać się“ nie może nigdy; życia sens i ład na tem polega, „co się staje“ ciągle, co się rozwija i unieśmiertelnia. Artyzmem powieści jest zręczne nawiązanie szczegó-

łów, artyzmem życia ogólność władz duchowych zbogacona. Prawda powieści dowodzi się faktami, prawda życia urobieniem osobistości naszej. Autor bierze pewne dane moralne i z nich rysuje arabesk odpowiedni: cnoty, występki, namiętności, uczucia wszelkie dla autora są materyałem przygód i dziejów— przygody i dzieje są dla człowieka żyjącego materyałem tylko uczuć, namiętności, występków lub cnoty. Powieść rozwiązuje się ostatecznie dolą lub niedolą, szczęściem lub nieszczęściem; biografia dolę lub niedolę, szczęście i nieszczęście przetwarza w niedowidzianą, niedosłyszaną, niedocieczoną, wewnętrzną historyą zbawienia — powieść z kilku nieskończoności atomów skończone dzieło tworzy, biografia przez wszelkie dzieła skończone ku nieskończoności idzie.

— I to wszystko w takim się ma stosunku do „Książki pamiątek,“ jak wymówka, lub z francuska mówiąc, jak ekskuza do winy, a subtelność do prostej prawdy?

— Mylisz się — w takim stosunku, jak usprawiedliwienie do niemożności, a niemożność do słusznego powodu. Istotnie „Książka pamiątek“ daleko więcej biograficznych niż powieściowych obejmuje żywiołów. Gdyby szło o powieść tylko, łatwiejby mi przyszło według pewnych wymierzonych linij drugie niedomierzone nakreślić. Cuvier z jednego zęba wywnioskował całą postać mamuta; kto powieści czytuje, z jednego szczegółu potrafi niezawodnie cały plan artystycznego rozkładu zdarzeń odgadnąć i gdy tego trzeba, odpadłe cząsteczki dorobić, lecz biografii, tej biografii, co się upadkiem lub podwyższeniem władz moralnych tłumaczy, tej co nie dzieje, lecz postępy, wrażenia, uczucia ludzkie rozwija, tej nikt się domyśleć nie może i nikt bezkarnie dopisywać nie powinien.

— Przypuśćmy że masz słuszność, ja cię pomimo tego od dokończenia „Książki pamiątek“ uwolnić nie mogę. Dość długo przecież jej rękopis był w twojem ręku, jeśli nie głośno z ukochanymi, to pocichu sama z sobą do ostatniej kartki pewnie go odczytać mu-

siałaś; przypomnij sobie teraz, co tam było w dalszym ciągu.

— Przypomnij sobie!... przypomnij!... jakto prędko się drugim dysponuje! A wiesz ty, że między chwilą obecną i chwilą w której straciłam ten zwitek papierów kilkanaście lat już przepłynęło? a wiesz ty, co ja przez owe lat kilkanaście robiłam? nad czem w duchu pracowałam? do czego wdrożyłam całą naturę moję? Oto najpierw: nie rozglądałam się nigdy w jednostkowej przeszłości mojej. Żeby ludziom przebaczyć, żeby Pana Boga nie obrazić, żeby nie zgorszyć, nie skłamać, nie zniechęcić się, nie zaszkodzić, nie zbluźnić, nie rozmazgaić się, nie upaść — żeby iść naprzód, a jeśli nie naprzód, to chociaż żeby iść coraz, coraz dalej, żeby dożyć, a jeśli nie dożyć, to przynajmniej doistnieć, dotrzymać, dociągnąć po dzień dzisiejszy, żeby mniej grzeszyć i mniej cierpieć, ja nigdy w tył się nie oglądałam. Wszystkie zdolności moje, wszystkie władze mej duszy ku temu skierowałam, żeby się zapominać nauczyły — i powiodło mi się doskonale — nie pamiętam niczego. Zła, czy dobra metoda? niema dziś żaden trybunał dostatecznej na rozsądzenie powagi, bo przed żadnym nie mogłabym jeszcze z obronnemi artykułami i wyszczególnieniem łagodzących okoliczności, „circonstances attenuantes.“ wystąpić. Wierz mi tylko, że zapomniałam, zapomniałam co kto mówił do mnie, gdzie i kiedy widywał się ze mną, jak i o kim opowiadał, ile przyrzekał, ile czynił, za czem się ujmował, przeciw czemu powstawał z oburzeniem, komu był przyjacielem, komu wrogiem. Ach! niechaj śpią w pokoju dawni znajomi moi... żadnego z nich nigdy nie upokorzę, nie zawstydzę, na niekonsekwencyi lub na kłamstwie wierutnem nie schwycę... bo zapomniałam! zapomniałam! Lecz niestety, i dalszego ciągu „Książki pamiątek“ zapomniałam także. Zpoczątku byłam pewna, że temu prędko da się jakoś radę, przysztukuje się trochę fantazyi, rozsmaruje trochę atramentu i biografią na powieść, długi szlafrok na obcisły kaftanik przerobi. Wzięłam tedy jeden

arkusz, zapisałam, podarłam; wzięłam drugi, podarłam — wzięłam piąty, dziesiąty, podarłam. Myślałam przez dzień jeden, myślałam przez dzień drugi, piąty i dziesiąty — myślałam przez trzy miesiące, a doprawdy myślałam pracowiciej, sumienniej niż nad pokierowaniem własnej historyi, niż nad planami najważniejszych dla mej osobistości przedsięwzięć, niż nad wszystkiemi listami i powiastkami, jakie mi się dotychczas napisać zdarzyło. I cóż powiesz?... niczego, a niczego wymyśleć nie mogłam. To, cobym chciała przyczepić z własnego natchnienia, raziło szkaradną dysharmonią z tem, co już niegdyś wydrukowane zostało. Teraźniejszy sąd mój o ludziach nie mógł się w żaden sposób dostroić z sądem i opisami wprowadzonych na scenę indywidualności; zawsze był to o pół tonu wyżej w zasadzie, to o całą kwintę niżej w szczegółach, faktach, rozmowach, apostrofach!... Łamałam sobie głowę, biedziłam się napróżno. Widzę, że nie podołam zadaniu — „Książkę pamiątek“ pisał człowiek z wiarą w siebie i w drugich, jego krytyka nawet była uwzględnieniem, jego skarga naiwną wymagalnością. Kiedy przeciw złemu piorunował, to się ohyda z poddźwiękiem mimowolnego zadziwienia mieszała. Kiedy się nad czem entuzyazmował, to mu kretowiny z łąk zielonych amerykańskiej Kordyliery dosięgały wierzchołków. Kiedy czego zapragnął, to mu się, jak żółw Chińczykom, do podtrzymania świata koniecznem zdawało. W najnierówniejszych wyrazach tegoż samego używał iloczasu, kładł przycisk na nie równiutenieczki, czuł w sobie płomień życia i tym płomieniem wszystko iluminował dokoła: stoczki, lampy, kandelabry balowe, szabasówki, pochodnie, kinkiety! Och! ja dzisiaj tak poczciwie nielogiczną, tak bezświadomie rozrzutną być już nie potrafię. Muszę sobie, i wydawcy i czytelnikom stanowczo oświadczyć, że „Książka pamiątek“ nigdy, nigdy, a nigdy skończoną nie będzie!

— Nie oświadczaj — „Książka pamiątek“ skończoną być powinna i skończoną być musi. Ty mnie pytałaś, czy wiem jak długie lata od jej zawieszenia

przepłynęły? Czy wiem coś przez ten czas robiła, myślała, czuła? Ja się nawzajem spytam, czy wiesz co to jest publiczność? Czy wiesz, że przed tłumną, zarówno jak przed nieliczną, każde słowo rzucone jest wekslem na osobistą odpowiedzialność wystawionym— kto wekslu nie spłaca...

— Tego do kozy pakują, więc gotowa jestem; wolę w kozie siedzieć, niż pisać bez myśli i właściwego usposobienia.

— Bardzo wierzę — ale w tej sprawie o coś ważniejszego, niż o karę chodzi. Kto wekslu nie spłaca, ten zły przykład daje i kredyt ogólny psuje. Właśnie dlatego, że dzisiaj między publicznością a pojedynczemi osobistościami wszystkie wiązadła tak haniebnie się rozpuściły, właśnie dlatego, że wzajemne poszanowanie osłabło, wzajemne prawa się zachwiały, że czujność sumienia pod tym względem coraz bardziej drętwieje, że jawność udowodnionych pretensyj coraz więcej się lekceważy—właśnie dlatego rzetelniejszą niż kiedykolwiek, uważną aż do drobiazgów, pilną aż do pedantyzmu ty być powinnaś, Gabryello. Zaiste, „Książka pamiątek“ sama przez się nic nie znaczy — jeden tom więcej albo mniej w księgarni nie zbogaci i pewnie też nie zuboży literatury naszej; lecz w stosunku do uznanej przez ciebie prawdy „Książka pamiątek“ znaczy zawsze jawnie wypowiedziane przekonania, znaczy imieniem twojem podpisaną współkę z autorem. Możesz mnie zbyć lada odczepką i lada egoistycznym wykrzyknikiem, żeś zapomniała!... ja cię zrozumiem nawet. Nie obrażę się, gdy mi ciśniesz zuchwale na głowę te słowa: „czy wiesz ty, co ja robiłam?...“ ale publiczność...

— Zbyt szumnego używasz wyrazu.

— Nie, wyraz jest najwłaściwszy; choćby tylko jeden człowiek przeczytał to, co zapomocą pras drukarskich wszystkim do czytania podałaś, już ten człowiek względem ciebie publicznością—już on przedstawia istotę moralną, zbiorową, uświęconą, istotę, w której służbę się zaciągnęłaś, której cyrograf na siebie

wydałaś, której się nie odejmiesz, póki się nie odejmiesz najświętszym życia obowiązkom. No, nie przybieraj tak ironicznej miny; niech ci się nie zdaje, że przez publiczność rozumiem tutaj gawiedź ciekawą, lub koteryjki plotkujące, choćby i literatów współcechową rzeszę, nie, nie! Gabryello: publicznością twoją są ci, których miałaś na myśli, gdyś pierwsze kartki znalezionego rękopisu ogłaszać zaczęła; publicznością twoją ci, z którymi jak chleba kawałkiem chciałaś się każdem spostrzeżeniem, każdą nadzieją, każdym zamiarem podzielić; publicznością twoją cała masa takich, dla których wszystko, co było najlepszego w twej duszy, pragnęłaś na wspólny oddać użytek, ku wspólnej zaprządz pracy, do wspólnego przyrzucić majątku. Tej publiczności nie traktuje się tak hardo, nie odprawia się jej z kwitkiem. Ta publiczność ma prawo pytać co robiłaś i czego dorobiłaś się nakoniec? Przed tą publicznością musisz złożyć swój bilans, musisz objaśnić wszelkie w obec niej wygłoszone słowo, musisz dopowiedzieć każdego zdania wynikłość... I czemuż tak posmutniałaś znowu...

— Posmutniałam, bo czuję, że słusznie mówisz, a nie czuję, bym przez to zdolniejszą do pisania po autorsku się stała. Cóż ja temu winna? „Krzycz, wrzeszcz jak czajka, nie przyjdzie bajka.“

— Nikt też się bajki u ciebie nie dopomina, w prawdzie tylko zadłużyłaś się ludziom, prawdą uiścić się trzeba. Według twojego zeznania, „Książka pamiątek“ jest biografią, nie powieścią; zapomniałaś jej ciągu, nie pamiętasz szczegółów, a rozwiązania ostatecznego w wyobraźni swojej znaleść nie możesz. Mniejsza o to, podobne rzeczy dość często wielu innym zdarzają się ludziom — jednak temu nie zaprzeczysz, Gabryello, że gdy pierwszy raz do czytania tej biografii przy kominkowym ogniu zasiadłaś, była ku temu jakaś w twej duszy przyczyna; gdy sama ją odczytałaś, był jakiś z jej stronnic wyciśnięty twej własnej rozwagi wniosek. Otóż daruję ci wątek naracyjny, daruję zaspokojenie mej ciekawości względem losu

krążących w „Książce pamiątek“ pseudonymów, ale tego wyrobu twojej krytyki, tego sensu moralnego, tej zasady, co ją sobie stawionemi przykładami objaśniłaś — darować ci nie mogę. To już nie do cudzej zapomnianej, tylko do twojej własnej, za którą odpowiedzialna jesteś, biografii należy. Mamy prawo upominać się o to. Musisz mnie i nam powiedzieć, jakie wrażenie na tobie znaleziony rękopis uczynił? jaką cię myślą przeczytanie jego zbogaciło? w jakim celu z nim na wieczornych wystąpiłaś zebraniach? Tego wszystkiego nie wolno ci było zapominać.

— Ja też to wszystko pamiętam dotychczas — rzekłam po chwili głębokiej zadumy.— Tak jest—wrażenie, myśl i cel pamiętam, lecz wrażenie się zmieniło, myśl dalszych zastosowań nie wytrzymała, cel uznałam pomyłką.

— Niemniej wszelako rachunek z nich przed „twoją publicznością“ złożyć jesteś obowiązana; dalej więc, śmiało, przyznaj się najpierw, jakie było wrażenie?

— Okropnie smutne — aż się dusza zamąciła. W początkowych rozdziałach spotkałam osobistości poczciwe, natury wcale zamożne, dążności zupełnie sympatyczne — przy końcu wszystko to razem łamało się, krzywiło, cierpiało, ginęło. Helusia najlepiej jeszcze wyszła, biała duszyczka uleciała w nieskończoność, biała lilijka na zielonym zakwitnęła grobie, ale ten biedny Ludwik! dostał rozdrażnienia nerwów i lekarze go do Ostendy wyprawili. Jestem pewna, że w Ostendzie się zaznajomił... no, co mi do tego z kim się zaznajomił... nic on sam o tem w swoich wspomnieniach nie pisał — pisał natomiast bardzo wyraźnie, że Marya-Regina skamieniała, artystka, piękna, dumna, zrobiła się skąpą gospodynią dziwacznego ojca i rozrzutnego brata. Romuald po śmierci Helusi zaczął się coraz gorzej łotrować; widziano go pijanym przed południem, a nieumytym po południu nawet. Kazimierz niby wierzchem w tej ogólnej powodzi płynął, lecz płynął samotny i gdzieś daleko samotny się rozbi-

jał. A dlaczego? dlaczego? pytałam wtedy srodze zniechęcona. Dlaczego całą owę gromadkę prąd życia ku boleści i zepsuciu niesie? Jest li to groźbą? sarkazmem? przestrogą? Nakoniec zdawało mi się, że dośledziłam prawdy. Wspomnienia Ludwikowe przestrogą być miały — i on i wszyscy dokoła niego jeden. tenże sam właśnie popełnili występek: Helusia rozstała się z Romualdem, bo Romuald zatruł życie jej pierwszej ukochanej; Ludwik na wieki Maryą-Reginę pożegnał, bo jej śmierć Anny-Klary i Helusi przypisywał; Marya-Regina oderwała skłaniające się ku Ludwikowi serce, bo w jej przekonaniu prawym obowiązkiem niewieściego uczucia był wybór i uznanie najlepszości w wyborze—ona tak dla swej pychy, czy dla swego rozumu ideału najlepszości potrzebowała, jak Romuald do podparcia swej niemocy, do utrzymania swego charakteru kochającej i kochanej potrzebował kobiety. Kazimierz pobłądził tylko zbyt surowym sądem, pobłądził zbyt nielitosnem przeciw sobie męztwem, ale pobłądził także, i choć zaszedł najdalej, nie zaszedł tam, gdzie dojść pragnął. Jak widzisz, wszyscy mniejwięcej przeciw miłości zgrzeszyli — jedni ze zbytku sentymentalnych skrupułów, inni z teoryi, lub z niedołęztwa, lub jeszcze ze źle zrozumianej cnoty. A więc... proszę jednak pamiętać—co się mówi, to się mówi wedle dawniejszej o lat kilkanaście przeszłości; a więc taki sobie sens moralny zdobyłam, że nigdy nikt miłości wyrzekać się nie powinien. Kiedy przy kominkowym ogniu wznowiono o tem rozprawy, ja wzięłam pełną żywych i żyjących pamiątek „Książkę“ Ludwika, a wzięłam do głośnego odczytania dlatego jedynie, by na końcu powiedzieć: — „Patrzcie, co się z tymi ludźmi stało— tak i wam będzie, gdy własnemu sercu skłamiecie. Wam się zdaje, że miłość wyłączna, że ukochanie tej, a nie innej istoty od dowolnych rozporządzeń waszych zależy; nie jesteście pewni, czy skłonność podobna jest przypadkiem, czy upadkiem, szumowiną czy mętem? Ona jest przecież wielkim darem Bożym, jest aniołem, który raz na rok, raz na ca-

łe życie wasze do serca zstępuje i drzemiące wody tej martwej sadzawki Bethsaidy porusza. Jeśli ukrytych na dnie szatanów nie wyrugujecie, to może jeszcze miłosierdzie Pańskie wam przebaczyć, a jeśli dobrowolnie odpędzicie anioła, przez kogóż Bóg was uratuje potem? Wiem, że jest pełno udania i fałszu, pełno niedokładności i pomyłek, tylkoż właśnie fałsz i udanie, pomyłka i niedokładność wszelka silniej do duszy przywiera, zupełniej ją wyczerpuje; z namiętnością też ludzie nie walczą, zajmującej fantazyi nikt porzucić nie chce, a byle nad wiecznością prawda uczucia zaświtała, tak łatwo nam oczy zamknąć, tak łatwo w inną stronę śpieszny wzrok skierować! Och! bardzo łatwo. Miłość jest siłą, miłość ukrzepia, ośmiela, uzbraja. Miłość tak wzmacnia, że samę siebie zwyciężyć jest zdolna i my szaleni korzystamy ze zdolności owej. Zamiast cobyśmy objawiającej się potęgi użyli na ogarnięcie ziemi i nieba, na pokonanie piekła i niepodobieństwa, na stworzenie ideału i doskonałości — my jej używamy na jej samej zniszczenie. Powiedzcie, najdrożsi moi, czy z was kto widział kiedy zalotnicę, wypuszczającą ze swych szponów ponętną ofiarę? czy widział mazgaja, rozstającego się ze zgubną dla swej duszy i dla worka swojego czarownicą? czy spotkał opętaną kłamstwami dziewczynę, któraby przed głosem zwodziciela uszy sobie zatknęła? Czy zakochana w rozpustniku dziedziczka dała się kiedy o nikczemności posagowego łowca przekonać? Nie, nigdy — przeciw takim skłonnościom i przywiązaniom niema energii, oporu niema żadnego. Ale gdy czasem, czasem... bo to arcy-rzadko bywa i mało kogo spotyka, gdy czasem kwiat paproci rozkwitnie, anioł do Bethsaidy zstąpi, zorza, słońce słońc, błyśnie i miłość prawdziwa do nieśmiertelnej duszy zawita, wspomnieć jedynie, że ona przeszkodą w natchnieniu, niewygodą w rodzinnych stosunkach, że się papie, mamie, stryjowi, wujowi, siostrze, bratu, cioci nie podoba, w mgnieniu oka poświęcenie gotowe. Przyjaźń częstuje się ofiarą miłości, rozsądek zaświadcza się ofiarą miłości,

karyera ubezpiecza się ofiarą miłości, wykształcenie zdobywa się ofiarą miłości. Zawsze i wszędzie, w każdem zdarzeniu ważnem i fraszce nieważkiej najłatwiejszą, najprędszą bywa ofiara miłości. Samsony dają sobie długie włosy obcinać, udarowane wieszczek chrzestne dzieci wyrzucają za okno kosztowny talizman i później dziwią się naiwnie, że — nie mówię zawór utwierdzonych, żelaznych bram miasta podważyć i wziąć na plecy — lecz najprostszej furtki, najokropniej spruchniałej rogatki po drodze swojej uchylić nie mogą; dziwią się, dlaczego ani familii lepiej się nie powodzi, ani im samym nie weselej na świecie? dlaczego pomysłów, tryumfów, arcydzieł w ich życiu nie przybywa? Zapominają biedni, że przez odstępstwo jednej prawdy wszystkim prawdom się sprzeciwili! Nie rozpromieni szczęściem dokoła, kto sam w głębi swej piersi własnego szczęścia nie świeci gwiazdeczką; nie nakarmi, kto sam głodny; nie nauczy, kto sam bezwiedny; nie wesprze, kto sam bezsilny; nie stworzy, kto sam umarły. Bez miłości niema rodzin, niema mistrzów, niema bohaterów, niema artystów — a gorzej jeszcze z miłością zaprzeczoną w czyjejś przeszłości, bo z taką są w dalszem życiu dziwacy, skąpcy, systematycy kamienni, łzami przesiąkłe gąbki, woski szkaradnych odcisków biorące piętna, są pijacy, niedołęgi, zbrodniarze lub trupy!... Otóż ja temi słowy chciałam się niegdyś przy końcu „Książki pamiątek“ odezwać.

— I czemuż dzisiaj się nie odzywasz?

— Bo dzisiaj wiem z pewnością, że zaprzeczona czy uznana, podzielona czy odparta, skojarzona czy rozbita—każda miłość z lat koleją, choć innemi ścieżkami, u tegoż samego punktu błotnistej rozłogi staje. Wszakże miałam czas w różnych przerobach najróżnorodniejszych jej gatunków się rozpatrzeć. Lat kilkanaście!... pomnij tylko, lat kilkanaście!...

— Tak jest, pojmuję. Te lat kilkanaście fatalnie jakoś usposobiły cię do sarkazmu i do mizantropii.

— Ani do sarkazmu. ani do mizantropii, owszem, nigdy może więcej uwzględniającą, szczerzej wyrozumiałą nie byłam, a zwłaszcza dla tej garstki znajomych Ludwika — ach! i dla tej garstki moich znajomych także. Codziennie widzę tłumy stokroć występniejszych. lecz o połowę przynajmniej szczęśliwszych, o ćwierć przynajmniej użyteczniejszych ludzi; widzę morskich korsarzy, jak świetnie do wspaniałych portów zawijają; widzę raz po raz. jak skalanym rękom udaje się cegiełkę do najtrwalszej budowy przyrzucić; widzę szachrajów zbogaconych i przestających szachrować; widzę nikczemnych, pod przymusem opinii publicznej wdrażających się zwolna we wszystkie obowiązki człowieczeństwa; widzę egoistów. którym okoliczności ich własny interes do rydwanu ogólnego dobra przyczepiają; widzę masy ulepszeń, poprawek, instytucyj korzystnych, wznoszące się na masach obłudy. próżności. kłamstwa. niechęci — a biednym Ludwika przyjaciołom nic się nie wiedzie, nad każdym ich usterkiem ciężka wisi kara. dla żadnej ich cnoty niema zastosowania na świecie. przedsięwzięcia nie dojrzewają, zapał stygnie, wytrwałość się zniechęca. życie całe jako prawdziwa rzeka z góry na dół ciągle płynie. Wypadki i skłonności złe i dobre jednakowo zupełnie ku chemicznemu rozkładowi dążą. Ten się chwieje dlatego, że ubogi. tamten drętwieje dlatego, że bogaty. Wesoła pomyślność osuwa się nieznacznie w samolubstwo bezczynne; ci, którym ciężka dola ramiona ugniata, siadają niby żebraki pod krzyżem przy drodze i świecą swemi łachmanami. lub odurzają swojem próżniactwem. Głupcy marnują swoję pracę; rozumni marnują się bez pracy. Nad wszystkimi straszliwa zda się klątwa zepsucia lub nieużyteczności zawisnęła. Och! i ja byłam w Arkadyi! Znałam pasterzy i pasterek twarze jasne radością wzajemną ukochania; chciałam wrócić na te łąki, chciałam odpocząć przy nich w gaju zielonym, nad kryształowym strumykiem: łąk ani śladu, gaje wyrąbane, strumyki wyschły już do dna—a co się z twarzami stało? — Twarze tak

znudzone i cierpkie, jak gdyby je spekulacya, a nie błoga sympatya obok siebie ustawiła, lub tak zakłopotane, utrudzone, tak sobą tylko zajęte, jak gdyby świętość uczucia żadną łaską sakramentu na wspólną nie zaopatrzyła ich pielgrzymkę, jak gdyby skarby entuzyazmów, uniesień, zachwytów żadną nie były obciążone względem społeczeństwa odpłatą. Co się stało ze szlachetnemi serc młodych chęciami? w czem się ziściły zamiary poczciwe? jaka jest dziś różnica między kolegami, co to od ławek szkolnych na przeciwne niby porozchodzili się drogi? Jedni gonili za posagiem i wziątkiem, za znaczeniem i próżnością światową; drudzy z gatunku owych strzelców baladowych, hożych i młodych, na progu swego zawodu jak w Mickiewiczowskim lesie, „przyklękli wszyscy, wzięli w dłoń piasku, piekielnej, cha! i niebieskiej wzywali potęgi, klękli przy srebrnym księżyca blasku, czyż dochowali przysięgi?...“ Oto lada świtezianka, lada ognik fosforyczny na moczary, na bagna ich zawiodły; zbłąkali się, ubłocili, połamali wszystkie kości. Jeśli teraz pierwsi ich towarzysze, otwarcie z zachowawczemi występujący doktrynami, na porządniejszych nie wyszli obywateli, no, to przynajmniej bliźnięco upodobniły się ich szeregi; i tu, i tam—martwota! Lecz ja ani zmartwiałym, ani rozkruszonym, ani zepsutym, ani niepoprawionym, ani wszelkim innym upadłym, zawodnym, kamienia potępiającego na głowę nie rzucę. Może ci się zdaje, że nie mam prawa, bo sama lepszą nie jestem? Zaiste, nie mam prawa lepszości, prawa sędziego—ale mam prawo odwetu, i dałoby się to nawet powiedzieć, tylko wyraz zbyt pogański: mam prawo zemsty! W ogólnej upadłości ogromne, na różnych bankach poumieszczane sumy, bezpowrotnie mi przepadły; zubożałam o to wszystko, co wszyscy moi stracili. Ja pomimo tego jednak nie skarżę ich przed Panem Bogiem, nie wodzę się z nimi po trybunałach, zapłaczę nieraz nad ich i swoim losem, serce mi wzbiera bolesną litością i gdy się gorzki wyrzut do ust czasem tłoczy, to — Panie odpuść im... Wolę zgrzeszyć przed

Tobą, niżeli im złorzeczyć. Ot, myślę sobie, w Ludwika otoczeniu nie było przecież skażenia wywołującego piorun Najwyższej Sprawiedliwości; po większej części nawet były chwalebne i odważne, choć nieskuteczne zrywania się ku cnocie, były z Damona i Pytyasa naśladowane heroizmy, ascetyczna była tu i owdzie przesada — lecz to wszystko razem, choćby stokrotnie zasłużyło na próbę cierpienia, jeszcze od chłosty najsroższej, chłosty moralnego upadku wolnem być powinno. I dlaczegóż ta właśnie oszczędzona im nie została? Dla wad, grzechów, ułomności?... Wady, grzechy, ułomności właściwego postępu nie tamują nigdy; jako pewna konieczność i nieoddzielność ludzkiej natury, w wielu swoich kombinacyach pomagają do niego nawet. Ze szkodliwemi walczyć, zbyt rozwinięte wypleniać, za nikczemne wstydzić się trzeba. Taka praca poprawcza już sama przez się połowę postępu stanowi, a prócz tego wady, grzechy i ułomności, do przyrządu machiny społecznej zręcznie zastosowane, naprzód ją pędzą także niepohamowanym rozpędem — tylko tu, w mojej okolicy inne prawa, inny rozwój biograficzny! Złe się nie poprawia, dobre się psuje, szermierstwo siły wycieńcza, rezygnacya ducha nie wzmacnia; byle nieroztropność, to śmiertelną chorobą grozi, byle katar letargiem; ocet z żółcią smak przytępia, a cukier z miodem rozmdławia — nie możemy stosownych dobrać sobie pokarmów: i kuracye szkodzą i cierpliwość nie leczy. A dlaczego? dlaczego, mój Boże? pytałam znowu po tych latach kilkunastu, jako przed temi latami pytałam. Dlaczego szczere intencye wicher po śmieciach rozrzuca? Dlaczego wypadki losu szydzą z tych, co ku pięknu, lub wielkości wyciągają ramiona? Dlaczego wszelkie indywidualne zwycięztwo silniejszych rozbraja, a kropla pomyślności słabszych nie krzepi, mniej hartownych nie ożywia? Dlaczego ruchliwa pracowitość materyalizmem, a idealna bujność wyobraźni zniechęceniem, lenistwem się kończy? Dlaczego wszystko, krótko mówiąc, wszystko jest ciągłem niebezpieczeństwem, boleścią lub truci-

zną?... Boże mój! Boże! daj mi zrozumieć, bym Imienia Twojego nie brała nadaremno... I skoro tylko myśl ku Bogu wzniosłam, wnet niepojętość się wytłumaczyła, zakręty manowców wyprostowały się przedemną. Już wiem, już wiem dlaczego!... Nie bawię się podawnemu w subtelności romansowe, nie prawię moim słuchaczom o braku szczęścia, o uznanej miłości, o zorzach na niebie i archanielskich wizyach, czuję, że gwałtowniejsze cisną nas potrzeby, rozpaczliwsza dokucza nam nędza.— Żeby kiedyś szczęśliwi mogli bezkarnie szczęścia używać, żeby kiedyś zakochani kochać wzajemnie i święcie umieli, to im brakuje czegoś więcej, niż tkliwych spojrzeń i pieszczot miłosnych, czegoś więcej, niż szczebiotania dziatwy rozigranej, czegoś więcej nawet, niż zdolności umysłowych, niż szlachetnych popędów, niż majątku, niż poczciwości, niż zdrowia... im przedewszystkiem brakuje... Ale czyż to mój obowiązek przypominać najprostsze katechizmowe dogmata?... czyż każdy sam o sobie i sam w sobie wiedzieć nie powinien, co mu jest do zbawienia duszy najpoważniejsze? Mamże koniecznie powiedzieć, czego im brakuje?...

— Nie, nie powiadaj; zbyt prędko gniją cudzego morału owoce — własnem tylko szukaniem znaleziona prawda leczy i wspiera, bogaci i oświeca. Nie, nie powiadaj czego im brakuje, niech sami sobie szukają...

— I niechaj znajdą sami, co daj Boże! Amen.

LIST

NIE WIEM CZYJ I NIE WIEM DO KOGO.

Ustęp niniejszy był drukowany w „Bibliotece warszawskiej, jako *wyjątek z domowego dzienniczka,* bo redakcya zmieniła tytuł i stosownie do tej zmiany całe zakończenie obcięła, dlatego podobno, by mi upokarzającej triologii oszczędzić. „List nie wiem czyj — nie wiem do kogo“ toć lada rozweselony czytelnik mógł zaraz: „i nie wiem o czem“ dorzucić. Powinnabym z wdzięcznością, jak się zdaje, utrzymać łaskawej redakcyi poprawkę — a przecież zuchwała i uparta, wystawiam się na wszystkie żarty, sarkazmy, krytyki, wszystkich dowcipnych lub niedowcipnych, bystrych lub niedomyślnych czytelników i do pierwotnego wracam tytułu, gdyż kartki po nim następujące rzeczywiście były *listem,* nie zaś wyjątkiem z żadnego domowego dzienniczka. Jeśli autorka listu nie wiedziała, *o czem* jej się w nim napisało, to ja, nie autorka, wiedziałam doskonale, *czemu* rzecz napisaną drukiem wówczas ogłosiłam i wiem teraz nawet, *czemu* jej właściwą formę listu zachowuję.

LIST.

Bądź pokorną przed Bogiem, a mężną przed ludźmi, Elżbieto: doktór niema już prawie żadnej o Lucyanie nadziei. Raz jeszcze jutro spróbuje sondę zapuścić, ale wątpi, czy znajdzie tę kulę nieszczęsną, która zdaje się coraz bardziej usuwać. Chory tymczasem nie traci przytomności, spokojny jest, cierpliwszy niż był kiedykolwiek w pełności sił i zdrowia; gorączka nawet nie zachwiała sił jego umysłowych, owszem, podniosła je niemal do stopnia natchnienia i jasnowidzenia. Mój Boże, jakiż to zapas siły w tym organizmie!... Poczciwa Milcia ustąpiła Lucyanowi własnej izdebki, ostatniego zakątka, gdzie sama czasem wypocząć mogła na chwilę. Nie jest to jeszcze cichość pożądana i zupełna, lecz w obecnem położeniu jest za co Bogu dziękować, że się i takie schronienie znalazło. Pokoik wprawdzie niewielki, ale dość wysoki, czyściuteczko biały, okno na ogród wychodzące, przy łóżku w głowach czarny z lekarstwami stoliczek, a w nogach krzesło, na którem zawsze ktoś z przychylnych siada i czuwa. Chciałabym ci temi drobnemi szczegółami osłodzić nie na dzisiaj, ale na kiedyś stratę, którą poniesiesz. Juźcić gdy lata, lata miną, gdy mniej z boleścią, a więcej ze wspomnieniem żyć zaczniesz, błogo ci będzie pomyśleć, że twój Lucyan

wśród pogodnych i dobrych wrażeń umierał, że mu nie brakło na pożegnanie ani światła, ani powietrza, ani widoku rodzinnej ziemi, ani starań tkliwej przyjaźni. Pojmuję, że teraz wszystko ci jeszcze obojętnem będzie: uczujesz żal jakiś rozpaczliwy za szczęściem, co z twego życia odpada, jak ja go czuję ciągle za ubytkiem piękna i dobrego, które dla świata ginie. Później dopiero może się obie nieraz pocieszymy, że twój ukochany, a mój piękny i dobry odszedł sobie w pokoju przed jakąś chwilą wielkich boleści, gorzkich zawodów, prób ciężkich i doświadczeń nad siły człowiecze. Tobie dziś trudno przypuszczeniu takiemu dać wiarę: ja ci mówię jednak, ja, dwa razy wiekiem starsza i świadomsza wszystkich żalów serdecznych, ja ci mówię, że tak bywa najczęściej. Płakałam tylu drogich zmarłych moich szczerym, nieutulonym płaczem i zawsze prędzej czy później musiałam ręce złożyć, a Bogu dziękować, że już niema ich ze mną!.. Przyjdzie godzina, w której się pewnie także śmierci Lucyana smutnie radować będziemy: — „Ach jakie szczęście, że on tego nie dożył, że on tego nie widzi, że jemu to przynajmniej oszczędzonem zostało!...“

Zobaczysz, Elżbieto, mimowolnie kiedyś powtórzysz słowa podobne, masz prawo nie wiedzieć o tem, lecz ja wiem; tylko z tej całej wiedzy i mnie jakoś hartu nie przybywa; tak cierpię, tak się mocuję z koniecznością, takbym chciała wydrzeć zniszczeniu ten piękny obraz Boży, jak gdybym miała dla niego przyszłość najświetniejszą i najwygodniejsze na ziemi miejsce. Och! bo Lucyan jest rzeczywiście „pięknym“ obrazem Bożym: im więcej rysy jego się zmieniają, tem więcej rys każdy uwydatnia się w duchowej prawdzie swojej i ze śmierci nieśmiertelnym wybija pierwiastkiem.

Widziałam go przed miesiącem; zdawał mi się tylko trochę wyższy, trochę przystojniejszy od innych młodych ludzi, którzy mój salonik napełniali wtedy. Zapytana o niego, wątpię nawet, czy byłabym umiała komukolwiek charakterystycznie go opisać; dzisiaj już

pewną siebie jestem, że nie zapomnę nigdy tej twarzy na rzymskich zdaje się kościach, czysto-słowiańskim ciałem powleczonej; gdyby ją w profilu suchym odznaczyć konturem, toby kto myślał, że z jakiego medalu przed-cezarowych czasów rysowana; kontur wypełnić tylko cieniami i kolorytem, nikt się już nie omyli, że to syna poczciwych naszych Piastów wizerunek. Czoło, znać jeszcze rzymskie, gładkie, trochę niby dumne, nad brwiami wzniesione lekką wypukłością, nos rzymski także, w przejściu z orlego na cudny typ grecki, jak gdy niegdyś drapieżne zbiegi Romula na rycerskich przerabiały się Scypionów; ale usta, ale oczy, ale całe wypełnienie czystego twarzy obwodu, to bezzaprzeczenia zupełnie nasze, Elżbietko. Usta mają takie rzewne a serdeczne uśmiechy, taką dziecinną czystość w swojej pełności, taką prostotę w swojem rozwarciu; oczy mają takie błękitne spojrzenia, a takie ciemne źrenice. Nie domyślam się nawet podobnego wzroku, bo to nie owa hardość i przenikliwość bystrych promieni dyamentowego kalejdoskopu, ale trudno powiedzieć: na mnie oczy Lucyana robią wrażenie gwiazd z głębokości przepaścistej świecących; im więcej się pochylić, im więcej spojrzeniem w ich spojrzeniu zanurzyć, tem one coraz jaśniejsze, coraz spokojniej we własnej światłości utkwione, a dalekie, a głębokie, jak nieskończoność.

Wczoraj dopiero spostrzegłam się, Elżbietko, że mimowolnie wszystkie dotychczas widziane obrazy i wszystkich prawie spotykanych w życiu ludzi przyrównywam sobie do tego młodzieńczego oblicza, które mi się stało już pewną miarą na ocenienie wartości, na wytłumaczenie prawdziwego znaczenia, wszelkich kształtów zewnętrznych. Gdzie czoło jest podobne, a brak podobnego uśmiechu i spojrzenia, tam pycha tylko inteligencyi, tam siła woli bez miłosierdzia; gdzie uśmiech i spojrzenie, a brak odpowiedniej kościstej podsady, tam miłość do słabości posunięta, lub idealność w rozmarzenie zapadła; trzeba koniecznie takiej zgody, jaką twarz Lucyana przedstawia, żeby

do pierwowzoru najdoskonalszego się zbliżyć, ale też na to trzeba mieć i duszę Lucyana, co to niby z pogańskiej wszechwładzy i chrześciańskiego czucia urobiona w naszej przeszłości, Regulusowe uszlachetniła cnoty, w naszych boleściach z Katońskiej rozmiękła twardości, naszemi ofiarami Maryuszowe spłaciła błędy. I pomyśleć że za dni kilka, za kilkanaście może godzin, garstka ziemi przysypie tyle jeszcze nieużytych skarbów, że ze szczupłej gromadki sprawiedliwych i poświęconych ubędzie i to najgłodniejsze sprawiedliwości, najchętniejsze do poświęceń serce; pomyśleć, że gdy codzień rodzą się kaleki, potwory, samoluby, wydziercy, tutaj umiera on—piękny i dobry—on, wyższych zdolności a miłującego ducha... Pomyśleć to i nie sarknąć... Nie sarknąć — broń Boże, Elżbieto — gwałtem sobie przypominać trzeba, że Pan i Ojciec nasz w Niebiesiech jest Mądrością i Łaską Najwyższą, tylko my nie zawsze mamy, nie ciągle pamiętamy, nie odrazu pojąć jesteśmy zdolni. Przyszłość dopiero objaśni, bo przez wiek wieków „Bóg się usprawiedliwia w sądach swoich.“ Przecież czujesz, że tych słów z prostego zwyczaju nie piszę. mam niemi sama duszę przepełnioną, nie daję ci rady, ani pociechy; daję ci żywy przykład i komunią spełnionego czynu, a niech ci się nie zdaje żem obca, więc też obojętniejsza, więc też łatwiej się z wyrokami Najwyższego zgadzająca. Kto wie, czy mnie nawet nie trudniej niż tobie upokorzyć się przed niemi? Ty tracisz własność swoję — ty możesz w każdej chwili powiedzieć „oddałam.“ ja tracę cząstkę wspólnego bogactwa i załamuję ręce, bo najbliższem mojem wrażeniem jest to, że mi wzięto!..

List mój przerwałam, gdyż Lucyan kazał mię prosić do siebie; zaledwie się zbliżyłam i przy łóżku stanęłam, popatrzył mi w oczy badawczo i spytał łagodnym głosem:

— Czy kto umarł znowu?

Spostrzegłam się dopiero, że mi łzy nieotarte po twarzy płynęły.

— Nikt dzisiaj jeszcze — odpowiedziałam pośpiesznie.

— Więc na zadatek płaczecie po tych, którzy jutro umrzeć mają? — rzekł z uśmiechem, w jednej wolnej ręce moję rękę ściskając.

Nie dlatego, by jemu wzruszenia oszczędzić, lecz dla siebie samej, bý się w głos nie rozpłakać, chciałam inny dać naszej rozmowie kierunek.

— Ot, zwyczajnie — odpowiedziałam z udaną swobodą — pisałam listy, a zawsze jest więcej smutnych, niż pomyślnych wieści do rozdania. Czego to jednak było tu potrzeba?

— Ot zwyczajnie — powtórzył, żartobliwie mnie przedrzeźniając — leżałem sobie nie śpiący, a zawsze wtedy choremu więcej dziwactw, niż zdrowych myśli do głowy przychodzi, i mnie także zachciało się z łóżkiem trochę bliżej ku oknu powędrować... Prosiłem posługacza, żeby tu pani zawezwał, a pani, jako najrozsądniejsza i najwszechmocniejsza opiekunka moja, raczysz mi to zachcenie z głowy wybić, lub zadość uczynić mu każesz.

Skłopotałam się okropnie, bo nie mogłam przewidzieć, czy jakiekolwiek lekkie poruszenie stanu chorego nie pogorszy, jednak z drugiej strony tęsknota jego do powietrza i szerszego na świat Boży widoku tak mi się poczuć dała, jak gdyby mi z własnego wydarła się serca. Lucyan odgadł zapewne jedno i drugie wrażenie; kiedy w namysłach stałam, on znów prosić zaczął.

— Jestem pewny, że mi to nic szkodzić nie będzie, a słońce zachodzi tak pięknie; ztąd go nie widać, lecz pełno złota i purpury w powietrzu. Czyż warto się pozbawiać takiej dekoracyi dla... — zatrzymał się i dodał po krótkiej rozwadze — dla trochę mniej lub trochę więcej bólu?

Poszłam się naradzić z chirurgiem, wezwałam kilku zręcznych pomocników i udało nam się, dzięki Bogu, łóżko bez żadnego wstrząśnienia przenieść. Gdy już Lucyana dobrze koło okna ustawiono, całej

twarzy wyrazem ucieszył się i drzewom ogródka i tuż za ogródkiem płynącej rzece, ale najdłużej wzrok jego spoczął na ramionach drewnianego krzyża, który się trochę dalej wznosił przy zakrzywionej do sąsiedniego miasteczka drodze. Nic nie mówił, bo znać lękał się, by z głosu nie poznano, że go trochę przenośna podróż umęczyła, łatwo tylko odgadnąć było można dziękczynną modlitwę. pobożne a rozkoszne w sercu uniesienie. Tymczasem wszyscy się oddalili, ja sama do pilnowania chorego zostałam, przysunęłam sobie krzesło, usiadłam naprzeciw Lucyana, wydobyłam z kieszeni swoję podręczną robótkę i chciałam się nią zająć szczerze, ale robótka mimo wiedzy na kolana opadła, raz wzniósłszy oczy przed siebie, już ich spuścić ani odwrócić nie mogłam. W orzeźwiającem cieple majowego wieczoru Lucyan zdawał się powoli do sił przychodzić, oddech jego był coraz równiejszy, cera coraz czerstwiejsza, usta, lekko pierwej nerwowym bólem ściągnięte, wypełniały się krwią i życiem. jak gdyby jeszcze pełen nadziei toast im się należał. Ujęłam owę nieprzybandażowaną rękę, która po mojej stronie leżała wyciągnięta, ręka była jędrna, miękka, niespocona, niezbyt sucha także, jaknajwyraźniej gorączka zawisła na chwilę, prąd swobodnego ducha zranione ciało przenurtował i wskrzesił.

— Dobrze mi tutaj, ach jak dobrze! — zawołał czystszym i pełniejszym, niż w całym biegu choroby głosem — oto mi są podarowane chwile, w których prawdziwie warto i błogo umierać. No, czemuż pani zaraz łzy się w oczach kręcą? a rozumna kobieta, a chrześcianka...

— Niech mnie Bóg broni od takiego rozumu i takiego chrześciaństwa, co poczciwe łzy w oczach wysusza— rzekłam mu, do spokojnego zmuszając się uśmiechu; — gdybym nie zapłakała czasem na widok tylu nieszczęść i klęsk tylu, po czemżeby mnie w dzień sądu ostatecznego anioł wskrzesiciel rozpoznał?

Lucyan znów się zadumał.

— Masz pani słuszność—odezwał się wreszcie:— są łzy świadectwa. tylko jabym chciał i pani i wszystkim moim gorzkich łez żalu oszczędzić. Mówmy otwarcie, wszak prawda, że blizką śmiercią zagrożony jestem?

Nie starczyło siły na potwierdzającą odpowiedź: mocniej tylko trzymaną w dłoni dłoń jego ścisnęłam i usta coś niewyraźnie o nadziei szepnęły.

— Wszak prawda — powtórzył z lekkim naciskiem—ja to już wiem, że prawda, ale czemuż wy, dobra opiekunko moja, razem ze mną do wspólki wiedzieć tego nie chcecie?

Tyle pewności i prośby razem było w tych słowach ostatnich, że nagle zrozumiałam całe usposobienie i wszystkie moralne potrzeby Lucyana; on chciał, póki mu władze umysłowe wiernie służyły jeszcze, z całą uroczystością ducha obchodzić wielkie swego przerodzenia święto; miałamże ja dziecinną troskliwością i kłamliwemi obietnicami narzucać mu jakąś względną dla żalu mego obłudę? miałamże rozrywać skupiające się w jednę pracę myśli, żeby go niepewną możliwością życia, z najwznioślejszego piękna śmierci wydziedziczać? Nie, Elżbietko, na mojem miejscu byłabyś także znalazła odwagę powiedzieć, jak ja powiedziałam mu wtedy:

— Prawda, Lucyanie, doktór zawyrokował wielkie niebezpieczeństwo, ale gdzie sztuki lekarskiej nadzieja się kończy, tam się nadzieja chrześcian zaczyna.

Oczy chorego zabłysły wszystkiemi jasnościami duszy.

— Dziękuję wam za te szczere i religijne słowa — rzekł z głębokiem wzruszeniem — wyswobodziliście mnie od wszelkiego przymusu, rozpowinęliście z wszystkich moich bandaży. Mam teraz wolne ręce, mam skrzydła, mam siły. Będę przy was umierał swobodnie. Wy tacy dobrzy, jak matka rodzona. Każdą myśl podzielę z wami i dla moich najdroższych w waszej pamięci złożę. Jak oni wszyscy żałować mię bę-

dą! Najpierw stryja mego wam polecam. Starajcie się go uspokoić i pocieszyć, niech aby cząstką waszej przyjaźni odpłacę mu ten mozół, z jakim mnie za swoję trzechtysięczną emeryturę wychował. Ilu on sobie surdutów nie sprawił, ilu filiżanek ulubionej czarnej kawy nie dopił, żeby tylko mnie na szkoły, mundurki, książki i kajeta potrzebnych pieniędzy dostarczyć! Pewny byłem, że mu to kiedyś zwrócę stokrotnie, że odsłużę w miłości i synowskich staraniach, ale inaczej Opatrzność zrządziła: to też stryj moim żalem jedynym, bo jedynym, osobistym a niespełnionym życia obowiązkiem; chyba duch się zpod niego nie wyłamie, wszak prawda? Obowiązek rzecz święta, obowiązek to rozkaz Boży, wyższy nad wolę i wybór człowieka: nie ja go sobie znaczyłem; z tajemnic przeszłości wypłynął, w tajemnicach przyszłości dokonać się musi. Dziwną mam jakąś pewność, że mego biednego stryja nie opuszczę: ale bo ja nikogo z moich nie opuszczę: będę służył, kochał, czuwał innym sposobem może, nie inną duszą przecież. Im śmierć bliższa, tem silniejsze tej nieomylności poczucie. Wszelkie stosunki moje rozjaśniają mi się tylko i gatunkują według złożonej w nich prawdy. Są takie, co nikną z oczu, są co jak grzech zapomnienia łaski potrzebują, są co jak niepotrzebny ciężar złożą się nad grobem, lecz gdzie raz wiekuistość się przebiła, tam już zginąć nie może. Wiekuistem jest wszelkie ukochanie myśli Bożej, prawa Bożego, obietnic Bożych. Z kim się choć raz podzielimy opłatkiem wspólnej wiary w dobre, wspólnej tęsknoty za sprawiedliwem, wspólnych nadziei zbawienia, z kim wymienimy słowo pokoju, wzajemnej przestrogi lub zachęty ku poczciwej pracy, z kim się aby w jednym szlachetnym połączymy zamiarze, aby w jednej odmówionej razem zgodzimy modlitwie, z tym i wieczność nas nie rozdzieli. Och! ja to czuję głęboko teraz właśnie, gdy ostatnia chwila się zbliża, a światłość wiekuista pierwszym promykiem swoim rozprasza wszelkie sądów i nawyknień ludzkich ciemności. Spotkałem przecież i złego wiele na ścieżkach

żywota; i nieprzyjaźń mnie potrąciła, i zawiść obdarła i fałsz oszukał mnie często, a w obecnej chwili mam tylko pamięć dla moich najlepszych, mam tylko miłość dla tego, co ukochać warto. Że mnie kto ranił, ledwie wspomnę sobie; żem piersią własną ołtarz wioski rodzinnej zasłonił, za to jeszcze pod skalpelem chirurga, z lancetem w rozkrajanem ciele, jutro Panu i Bogu mojemu dziękować będę...

Powiedzcie wy im wszystkim, że ich kochałem aż do śmierci.

Mój poczciwy Paweł... brat ośmioma latami starszy, popędliwy, nerwami gwałtowny, a sercem jak wata miękki. W dzieciństwie bardzo przewodził nademną, czasem i prętem bez litości wytrzepał, aż w siły wyrosłem i z przewodzenia do wzajemnych walk przyszło, a z walk do równości, a z równości do przewodzenia znowu, lecz już mojej głowy. Ileż to razy zastanawialiśmy się nad tą dziwną koleją naszych stosunków. Paweł nie czuł się nią bynajmniej upokorzonym; on mię tak kochał... Ot, zdaje mi się, że tak, jak to nas tylko siostry kochają.

Wszystko co zrobiłem, zawsze mu się podobało: w przeprowadzeniu każdego zdania lub zamiaru, moje uwagi zdawały mu się najwłaściwszem uzupełnieniem jego własnych pojęć; nigdy w niczem żadnego współzawodnictwa; na każdy wypadek pomoc nieochybna, na każde moje żądanie macierzyńskie ustępstwo, ojcowska do poświęcenia swego interesu gotowość. Drogi ten, jedyny Paweł! co ja mu świetnych ideałów do grobu z sobą poniosę: ministra spraw wewnętrznych, poetę, hetmana, bo w jego przekonaniu tem wszystkiem być mogłem. Zadziwi się niemało, gdy mu przyjdzie dalszy ciąg dziejów bez mego historycznego imienia wyobrazić sobie. Co ja się też nażartowałem z tej braterskiej zarozumiałości; „Mamą Pawlunią“ przezywałem go często, i rzeczywiście twarzą, jak mówiono, był do naszej matki podobnym. Kto tam zgadnie, co za dziedzictwo wraz z podobieństwem rysów od umarłych się przejmuje. Żegnaj, Pawle! nie miałem czasu

urzeczywistnić najdrobniejszej cząsteczki twoich świetnych marzeń, ale też i skłamać im czasu nie miałem.

Tu głos chorego przycichł, w odrywanych przestankach jedynie podszeptywał sobie z niewymownej błogości uśmiechem:

— Mój dobry Paweł! mój najserdeczniejszy — widać, że zbierał myślą bliższe i dalsze o nim wspomnienia. Później znów inne w pamięci stanęły postaci.

— Ksiądz Euzebi nieraz pewnie westchnie za moję duszę, on ją też ubogacił całą przeszłością niejako. W pierwszych chwilach zagorzałego nowatorstwa byłbym jak drugi Mieczysław kruszył i topił wszystkie dawne ludzkości bożyszcza; Grecy, Rzymianie, to były prochy pod stopą moją; klasycyzm, to był powijak geniuszu; sława, to przesąd; wielkość, to egoizm. Ksiądz Euzebi najpierwszy dał mi w ręce źródłowe dzieła prostomyślnych tytanów zmarłego świata: „czytaj, mówił do mnie, czytaj i nie pogardzaj, ale czyń lepiej.“ Pod jego wpływem, za jego przewodem zwiedziłem Troję, szedłem z Milcyadesem na pola Maratonu, widziałem Temistokla pod Salaminą; słuchałem Peryklesa na pogrzebowej uroczystości w Atenach; obradowałem z senatorami Rzymu i żyłem jako obecny wśród tych mężów, wśród tych zdarzeń.

Dopiero wtedy pojąłem, jak ciężką powinność włożyły na nas owe pogany starożytności, którym sprostać już trudno, a których jednak przerość my chrześcianie koniecznie musimy. Co tam za pewność samego siebie w duchu, co za forma wykończona, wspaniała i spokojna na zewnątrz! Och! ja ze ślepym Homerem i z ojcem Herodotem pewnie się gdzie zejdę na drogach mojej dalekiej przyszłości. Decyuszów także powitać muszę, ale wy może nie wierzycie w Homera i Decyuszów, a Herodot starym bajarzem jest dla was tylko? — zagadnął mię nagle z pół-uśmiechem wesołym. Jakie na mnie wrażenie zrobił ten smętny żart przedśmiertny, chyba poczujesz Elżbieto: ja się tłumaczyć nigdy nie poważę. Wielkie szczęście, że Lu-

cyan odpowiedzi nie czekał: z przypomnieniem zaczerpniętej w książkach nauki, myśl jego popłynęła ku szkolnym towarzyszom, ku młodym przyjaciołom... Wszystkich imiona wspominał koleją, nie wiem tylko, czy o wszystkich ja z równą wiernością słowa jego powtórzyć potrafię.

— Leon—mówił on—Leon byłby gotów do boju stanąć przeciw każdemu, co śmiał osobistości Homera zaprzeczać i w siedmiu królów rzymskich nie wierzyć: germańskim wymysłem nazywał to zawsze. Drażniłem się z nim często, że nie German, lecz Włoch najpierwej rozbił na rapsody całość Illiady i Odyssei. — I cóż to znaczy — odpowiadał z gniewem — o Włocha pomyśle nikt przez lat tyle ani słowa nie wiedział, bo Włoch się jął nie swojej rzeczy. Włoch nie umie niszczyć i przeczyć. German dopiero jak cisnął grubą księgą swoją, tak wszyscy usłyszeli, że się coś druzgoce i wali.— Według zdania Leona, teutońska rasa jest wielkim taranem, dla rozbicia pogańskiego świata przeznaczonym: o ile w chrześciaństwie byt się jej przedłużył, o tyle znaczył swoje ślady rozbiciem i skruszeniem. Zaborczość, analiza, nihilizm, to jej kolej dziejowa. Fryderyk Wielki, Niehbur, Strauss, to trzy logiczne po sobie następujące aforyzmy, trzy najwyższe w Walhalli niemieckiej posągi. Wartoby słyszeć Leona, jak on tę myśl rozwija. Dzielny chłopak, jest w nim prawdziwie natura jego imienia, a najwybitniejsza z plemiennością germańską sprzeczność. Bo to dziwna mieszanina właśnie lenistwa i twórczości. Kiedy wszyscy gonią za szczęściem, na los ciężko pracują, on pewny swojej siły zboku przylega i zdarzenia, jak lew łupu swego, oczekuje bezczynnie; ale niech tylko sposobność byle jaka, niech prawdopodobna nadzieja o jeden rzut od jego legowiska się przesunie, jużci na nogach i trzyma szponami. Całe życie składa mu się z chwil pogardliwej apatyi, po której następują niezrównanej energii chwile. Do wytrwałych usiłowań wcale się on nie przyda, do śmiałych czynów jedyny; zawsze mu wróżyłem, że jeśli kiedy żołnierzem będzie,

to albo w długich marszach ze zmęczenia padnie, albo przy jakiem oblężeniu fortecę nieprzyjacielską w powietrze wysadzi i zginie jak Samson pod rumowisk gradem. Gdzie się on też obraca? W ostatnim liście Józefa żadnej o nim nie było wzmianki, trochę mnie to dziwi i niepokoi... ale dowiem się przecież. Śmierć jest niezawodnie jakimś stopniem wszechwiedzy, o tych przynajmniej których kochamy i którzy nas kochają; a mnie z Leonem syamskiemi bliźniętami przezywano. Zawsze nam było dobrze i wygodnie razem; chociaż nie powiem, żeby to była przyjaźń najtkliwsza, była jednak najzupełniejsza zgoda. Józef kochał mnie więcej nierównie, z pewną nawet słabością; gdybym tylko jego i Pawła miał na świecie, to mógłbym zwolna rozpieścić się, rozgrymasić jak despota, a spysznieć jak głupiec... Ej nie... nie... ja przesadzam i wybyście uwierzyć gotowi, że czyjabądź miłość szczera jakiegobądź człowieka zepsuje na ziemi. Nigdy mnie ani Józef, ani Paweł nie zepsuł: właśnie ich wszystkie z dobrą wiarą osobistości mojej narzucane idealiki, czyniły mię sumiennie za ich urzeczywistnianie odpowiedzialnym. Co sił starczyło, dociągałem się do wyznaczonej miary: a Stefan zato na łokcie, na ćwierci, na cale i linijki wiedział ile mi jeszcze brakuje; wrazie chwilowego zaniedbania przestrzegał surowo, chłostał dowcipem, przypiekał ostrą prawdą. Wam się to jednak bynajmniej osobliwem nie wyda, że Stefana więcej prawie niż Józefa, więcej niż Pawła kocham. Gdyby ten człowiek był palcem na mnie skinął, tobym przez płomieniejący ogień pobiegł ku niemu; gdyby mi był powiedział, że jest prorokiem, tobym uwierzył; gdyby mi kazał co złego zrobić, tobym usłuchał, bo miałem przekonanie, że on wszystko jaśniej widzi, gruntowniej pojmuje, sprawiedliwiej odemnie sądzi. Nie przyznawałem się do tego fanatyzmu sam przed sobą nawet, lecz dziś spostrzegam dopiero, jak głęboko tkwił w mojej duszy. Może to było trochę grzeszne uczucie; nigdy człowiek w tak bezwarunkowe poddaństwo względem człowieka wprzęgać się nie po-

winien, ale charakter Stefana był poczęści mojem uniewinnieniem. Rozum ważąc, nie wiem, czy go miał więcej odemnie; wiadomości to już bez wątpienia zupełnie równą mieliśmy dozę, lecz gdy szło o kierunek spraw życia, chcąc nie chcąc, musiałem uznać jego zwierzchnictwo. Pewność w rzucie oka, prędkie objęcie wszelkich okoliczności, rozeznanie warunków, wyprowadzenie wniosków, zastosowanie sposobów, nadewszystko krew zimna, niczem niezachwiana powaga, żadną przeciwnością niezłamana wola, te go czyniły niby Jazonem naszej młodej przeciw światu i przeciw biedzie argonautyki. Ot, wiecie, pani, gdyby Stefan chciał wejść na iglicę maryackiej wieży, to najpierw potrafiłby dowieść i wam, i mnie i wszystkim koło siebie, że to jest nieodbicie potrzebną rzeczą; potem sam szedłby z nami; a czy on, czy kto inny upadłby, czy nogę złamał, dla Stefana byłoby to zupełnie równej wartości wypadkiem. Możeby wolał trochę, aby na niego spadło to nieszczęście, lecz nie przez miłość dla cierpiącego, tylko przez miłość dla zamiaru, bo nieochybnie wstałby prędzej niż kto inny i szedł dalej swoją drogę; jemu zaś wszystko na tem zależy jedynie, by dojść, by stanąć u celu. Dzięki Bogu, cel piękniejszy i świętszy, chociaż wyższy niż maryackie wieże. Cel jest mądrością, cnotą i szczęściem, jakże więc tego Stefana nie kochać? Przy nim zawsze krew w sercu się rozgrzewa, pomimo tego, że on sam zimny z pozoru; przy nim zawsze prędzej się biegnie, choć krok wymierzony, niepośpieszny, ale on też chyba siedmiomilowe buty z francuskich bajek wielkoluda nosi. Niedawno wybrał się w drogę, a gdzie już zaszedł... Wpływ, opinia, majątek, to materyały które bez żadnego przyboru własną pracą uzbierał i z których wie, że dopiero ma czynić służbę ludzkości. Ach! Bóg jest bardzo dobry, bardzo litościwy, że go dłużej odemnie na zagonie trzyma; kiedyś, gdy się za moją duszę będziecie modlili, módlcie się także, niech wam Opatrzność Stefana w sile i spokoju zachowa. Prędzej czy później przekonacie się, co to za użyte-

czny, możny w pracach dla bliźnich człowiek z niego będzie...

Nasz Korol także innemu zawodowi się poświęcił, lecz pewny jestem, że go chlubnie i poczciwie przebieży. Jeśli okoliczności sprzyjać mu będą, wyrośnie z niego prawdziwej nowej szkoły, nowych pojęć artysta. My w artystach przyzwyczailiśmy się widzieć ludzi niekarnych, fantazyjnych, dziwaków jednem słowem. Według ogólnie przyjętej opinii, artyście wolno być gorszym od innych ludzi człowiekiem; jeśli namiętnościom swoim puści wodze, jeśli się zawieruszy w gwałtowne wrażenia, w życie bez ładu i związku, to nam się zdaje, że większej siły zaczerpnie na wydanie owych arcydzieł, które nam właśnie ład, związek, potęgę i czystość objawiać mają. Karol nie uznaje tak potwornej sprzeczności: z natury jest on trochę burzliwy, ale z natury także głębokiem obdarzony uczuciem i religijnie czujnem, sprawiedliwem sumieniem. Miłość dla prawdy jest w jego organizmie tem, czem miłość dla sztuki w organizmie innych malarzy, tylko trzeba wiedzieć, że jego prawda nie ogranicza się wiernem oddaniem rzeczywistości, nie jest owym realizmem, co przeciw idealizmowi walczy: jest prawdą prawd wszelkich, prawdą zbawienia i myśli Bożej. Ta cześć dla prawdy, ten jej instynkt żadnym sofizmem nie skrzywiony, stanowić kiedyś będzie cechowe piętno wszystkich dzieł Karola, jeśli się szczerze i zupełnie malarstwu poświęci. Obrazy jego nie zginą w tłumie: nie liczbą jedynie powiększą liczbę po galeryach rozwieszonych płócien, ale szeregiem nowych wyobrażeń, szeregiem nowych poglądów zbogacą przypatrujących się im znawców i nieznawców. Może to was dziwi trochę, że względem powołania Karola wyraziłem lekką wątpliwość; i mnie się niegdyś zdawało, że się artyści na konieczną pracę według swego talentu rodzą, bo też spotykałem takich jedynie, w których talent był pochłaniającą inne, lub wyłączną władzą: dopiero osobistość Karola przekonała mię, że talent, wielki nawet, znakomity bardzo talent może być i być

powinien tylko naddatkiem, jedną kosztownością więcej, przyrzuconą do skarbnicy ducha ludzkiego.

Karolowi z łatwością przyszłoby się wyrzec ołówka i pędzla, bo Karol poza talentem swoim jest człowiekiem, który potrafi to wszystko, co my potrafimy, chociaż potrafi i to, do czego my zdolni nie jesteśmy. Mam przecież ufność w Bogu, że ten dar łaski przydatnej, że to „więcej“ co Karol przyniósł z sobą na świat, nie obciąży go żalem ani zmarnowania swojego, ani swojej bezużyteczności. Dla niego malarstwo nie jest fatalistycznie potrzebnem, ale dla mnie on jest potrzebny malarstwu. On ze sztuki nie weźmie utrzymania, wrażeń przyjemnych, wykształcenia umysłowego, i owszem, sam jej przyniesie dań własną, dań jasnego rozumu i szlachetnego serca. Trudno-bo sobie wyobrazić, o ile te pierwiastki są niezbędne we wszelkich utworach artyzmu; ludziom się zdaje, że zdolność może je zastąpić: niech zdolny mistrz wykona piękne dzieło, a najsurowszy krytyk o nic dopominać się nie będzie. Tymczasem pięknego dzieła wykonać nie można bez prawdy, prawdy poczuć nie można bez właściwych do jej przyjęcia organów, bez jasnego rozumu i szlachetnego serca. Krąży to już oddawna w liczbie spowszedniałych maksym, tylko tak spowszedniałych właśnie, że aż nowemi się stają. Każdy dzisiaj powtórzy: „prawda jest warunkiem piękności, gdzie brak prawdy, tam piękności niema;“ ale któż się zastanowi choćby tyle, co Piłat poncki, i kto spyta Chrystusa w sumieniu swojem: „a cóż jest prawdą?“ Gromady całe biorą za piękność to, co im się podoba, nim gromadom całym to co jest prawdziwem podobać się zacznie; długo, och! pono długo jeszcze ziemia czekać będzie musiała.

Wysoko już w hierarchii godności człowieczej ten stoi, komu się prawda podoba. Karolowi właśnie owa prawda jedyna, owa moralna i religijna jest przewodnią gwiazdą życia i dlatego nie wątpię, że się w jego utworach odbije, że się stanie ich oryginalnością najwłaściwszą. Ileż razy mogłem się o tem prze-

konać w naszych poufnych stosunkach! Każdy sąd jego o cudzej pracy, każdy pomysł do nowego dzieła rozszerzył mi zawsze widnokrąg dobrego lub sprostował jakąś duchową omyłkę. Raz pamiętam zachwycałem się wyborną kopią Magdaleny Corregia; Karol wzruszył tylko ramionami i rzekł, smutnie wzdychając: „Biednej pokutnicy jeszcze za grobem ciężą grzechy jej żywota,“ a kiedy z uniesieniem broniłem mego upodobania: „Gdyby to była Julietta — mówił spokojnie — gdyby śliczna Wenecyanka za swoim Romeo tęskniąca, pewnie cześćbym oddał mistrzowi; ale pokutnica!... Ja myślę, że nawet Julietta po oddaleniu Romea, Dydona po wyjeździe Eneasza trocheby więcej schudła i zczerniała, niż ta jawnogrzesznica rozpamiętywająca mękę swego Chrystusa i utratę swojej niewinności.“ Zrobiłem uwagę, że jawnogrzesznicy sam Chrystus przecie wszystkie już winy odpuścił, to może być piękną i cichą w żalu swoim. „Nie, nie — zaprzeczył Karol — Chrystus przebaczył, ale ona sama nie przebaczyła sobie jeszcze. Chcesz być mędrszym od katechizmu, Lucyanie, i dlatego się błąkasz; w katechizmie znajdziesz, mój drogi, że odpuszczenie grzechów z pokuty nie zwalnia. Znów ci się zdaje, że to jest tylko surową ustawą kościelną, to jest prawdą chrześciańskiej natury. Odpuszczenie grzechów zmienia skłonności nasze, rozjaśnia ciemność naszych wyobrażeń, lecz nie umarza pamięci. Chciej tylko uprzytomnić sobie życie takiej duszy, co już świętość najwyższą ukochała, a musi wlec za sobą kawał powalanej, uśmieconej przeszłości, z którą się rozstać na żaden sposób nie może. W niebie, zbawiona, zapewne dostanie od Boga jakąś nową władzę, nowe uczucie przeciw jej wspomnieniom oddziaływające, wielkiem miłosierdziem je ogarnie, jak gdyby to były bliźniego tylko wspomnienia; lecz tutaj, na ziemi, pomyśl, Lucyanie, gdybyś ty sam na przykład w chwili obłędu, złego pojęcia rzeczy, przez bojaźń lub namiętność zdradził dobrego przyjaciela, a jednak masz zarody prawości: cud łaski Bożej rozwija je w tobie, stajesz się

nagle prawym, szlachetnym, wstręt czującym przeciw wszelkiemu brudowi młodzieńcem. Cóż? czy bardzo godne zazdrości byłoby twoje położenie? Czyż wobec hartownej cnoty Stefana nie czułbyś się na proch startym i upokorzonym; czy choćbyś znalazł przyjaciół, choćby oni tobie ufali, mógłbyś ich zupełnemu przebaczeniu zawierzyć, a zdradzonego czybyś pozbył z myśli, jak sennej mary po rannem obudzeniu? Toć wyobraź sobie teraz, że zdradzonym przyjacielem Magdaleny jest Bóg Chrystus; że wzorem, który jej na oczy staje, jest Marya bez zmazy. Sam zmartwychwstały Rabboni: „Nie dotykaj mnie“ — woła, On, co później niewiernemu Tomaszowi ran swoich dotknąć pozwala. Zrozumiej, uprzytomnij sobie tę miłość bez granic Izraelitki dla Mesyasza, wyciągniętej z kału, dla Jezusa, na którym nikt grzechu nie dowiedzie; przykuty jeszcze do ziemi dla Syna Człowieczego, co już w niebo wstąpił, choć jednę chwilę przeżyj w tej miłości, a nie będziesz zachwycał się pokutnicą malowaną w taki sposób, że widok jej rozbudza wszystkie wrażenia ponęty i rozkoszy, które ona gorzkiemi spłakała łzami.“ I żebyście wiedzieli, droga pani, jak zawsze ten Karol umie się przenieść w chwilę podaną na obrazie, umie się wtajemniczyć w osobistość przedstawionych osób, a rozsądzić je według niezmiennej prawd Bożych sprawiedliwości, to doprawdy historyk mógłby mu pozazdrościć. Niezbyt dawno przed tą całą zawieruchą odwiedzałem go w jego szczuplutkiej na poddaszu pracowni; jak mi zaczął o religijnem malarstwie mówić, tak ja sam w duszy czułem, że się religijniejszym staję. Pierwej zdawało mi się, że Włochy zamknęły całą seryą religijnych obrazów; Karol mi dowiódł, iż są nawet nietknięte żyły w tej obfitej kopalni: prawda chrześciańska, niewyczerpnięta dla dziejów ludzkości, ma i dla sztuki coraz świeższe, coraz nowsze, coraz wyższe natchnienia. Choćby tylko uzupełnić dotychczasowe omyłki, jużby wiele do roboty się znalazło, a cóż jeszcze, gdyby zacząć rozprzestrzeniać, tworzyć, zdobywać, gdyby świętość zawar-

tą dzisiaj w postaciach modlących się lub zachwyconych przenieść w postacie czynne i skarbiące sobie zachwycenia żywioły; gdyby jej promieniem rozświecić wszystkie władze ducha ludzkiego, wszystkie poczciwe serc ludzkich uczucia i wszystkie prace dni dziejowych naszych. Wiemy, czem jest rozum, wyobraźnia, nauka, czem miłość kraju, rodziny i własnej godności, czem męztwo, wytrwałość, szlachetność; ale jeszcze artyści muszą nam stawić przed oczy, czem jest to wszystko właśnie. Świętości podsycone pierwiastkiem, jakże wzniosłe kombinacye się tworzą z owej najwyższości ludzkiej, w najwyższość Bożą podniesionej; a toć-to całe przestworza, wieki całe, toć-to nieskończoność przed artystami. Karol pokornie mi się przyznał, że mu jeszcze typów odpowiednich jego pomysłom brakuje, ogranicza się więc nateraz wymiarem, jak mówi, sprawiedliwości kilku pokrzywdzonym. Zaczął najpierw od Sary i Izaaka, którzy głośniej niż wszyscy obdarci, zrabowani i spotwarzeni, o pomstę na malarzy do nieba wołają. Karol utrzymuje, że wypędzenie Agary szczególniej przez najbieglejszych mistrzów było zawsze z Hogartowskim humorem traktowane. Agara jest wszędzie prześladowaną pięknością, Izmael ślicznym jak mitologiczny półbożek dziecięciem, Abraham zawojowanym mężem, Sara jędzą zazdrosną, a Izaak rozgrymaszonym Żydziakiem. Tymczasem to wszystko jest kłamstwo i błąd w sztuce, bo jest kłamstwo w prawie duchowem i herezya w religijnych podaniach. Gdyby ludzie nie sądzili się mędrszymi od Pisma Świętego, łatwiejby im przyszło, w jednej cząsteczce chociaż, tak mądrymi jak Pismo Święte zostać. Według biblijnej myśli, Agara powinna stanąć jako harda nałożnica; Izmael jako syn niewolnicy, syn zmysłowego uścisku; Abraham jako patryarcha z władzą i prawem sędziego; Sara jako żona i siostra, a Izaak jako dziecię anielskich obietnic. Tak ich pojął Karol i tak ustawił na obrazie swoim. Nie jestem dość biegłym znawcą, bym szczegóły wykonania ocenił, lecz wrażenie ogólnego układu, mojem

wrażeniem sądząc, za najlepsze uznaję. Przy rozwiniętych kształtach gniewnej, a jednak ciałem powabnej jak namiętność Egipcyanki, stokroć artystyczniej niżeli we wszystkich innych dziełach odbija postać dziewięćdziesięcioletniej Sary z niespożytą swoją, moralnie przedstawioną pięknością. Mimowolnie trzeba w niej uczcić kapłankę rodzinnego życia, spełnionych obowiązków i czystych zawsze myśli; twarz jej stara bez zgrzybiałości, przywiędła bez zmarszczek, rysy wydatne a nie ostre, spokojne a nie martwe, poważne i smutne, a nie dumne i oburzone. Kto w sercu nie ma uznania takiej kobiety, niech co chce czyni, takiej też twarzy dla niej w żadnych nie dobierze ideałach; trzeba koniecznie duszą Karola pojąć niewiasty duszę, we wszystkich jej przejawach od kolebki aż do grobu, od pieszczoty córki do błogosławieństwa prababki, trzeba ją uznać i kochać, żeby stworzyć równie doskonały jak Sara pierwowzór.

Niezawodnie jest-to ta sama kobieta, co ją Paweł apostoł „wolną“ w swym liście nazywa, wolną przez prawdę, która nas wyswobadza, przez miłość, która jak śmierć jest silna; wolną od ciemnoty i niewiadomości, od potępienia i zmysłowych szałów; wolną od zwycięztw czasu i kajdan niedołęztwa, wolną w uczuciu, w rozumie, w możności, bo wolną w zbawieniu swojem. A co za przecudna sprzeczność między dwoma chłopiętami tych dwóch tak sprzecznych matek! Izaak wobec Izmaela maluczki, pokorny przed gwałtownikiem potężnym; skrzywdzony przed krzywdzicielem; osłoniony łaską Bożą przed pysznym; silnego ramienia pasterz przed łucznikiem; protoplasta Chrystusa przed protoplastą Mahometa, a zawsze, zawsze syn wolny przed synem niewolnicy, dziedzic Królestwa Bożego przed poddanym, co w jego dziedzictwie cząstki mieć nie będzie. Karol nietylko stworzył dwa typy: Karol przeczuł dwa kierunki ludzkości i zrozumiał proroków obietnice. Ach, czy mu danem tylko będzie skończyć ten obraz? może w dzisiejszych trudach ręka mu ociężeć. Może tak szkicu odejść bę-

dzie musiał, jak ja odchodzę pierwszych pieśni, wielkiego mego o Życiu i Śmierci poematu. Nie spodziewalibyście się po mnie takiego zuchwalstwa, jednak trzeba grzech wyznać: porwałem się na ogromny w dziesięciu pieśniach poemat. Przez wszystkie historyczne i niehistoryczne wieki prowadziłem ducha człowieczego ku zwycięztwu nad śmiercią i ku wszechmocy nad życiem, chciałem pokonać śmierć której się lękałem instynktem jak zwierzęta, którą szerzymy rozumem jak szatany, której znów tak czasem pragniemy, jak zwyczajni, utrudzeni i cierpiący ludzie. Ale widać śmierć się obraziła za to i chciała koniecznie na rękę się ze mną spróbować, do tej chwili nie czuję przecież, by mocniejszą była...

Z tem słowem Lucyan zrobił trochę dłuższy przestanek, nie było na nim znać większego zmęczenia, lecz trochę głębsze zamyślenie, jak gdyby własnego sumienia chciał pytać: czy prawdą jest to, co powiedział? Zapewne sumienie mu przyświadczyło, bo po chwili bardzo spokojnie zagadnął mnie znowu:

— Wszak Karol już wie o mojem niebezpieczeństwie?

— Doktór właśnie dzisiaj miał mu powiedzieć.

— A jego tu jeszcze niema! — zawołał z lekkim, jedynym wciągu całej rozmowy osobistego żalu podźwiękiem.

Łatwo mi było usprawiedliwić Karola, który istotnie tak prędko przybyć nie mógł, gdyż sam o pół mili ztąd przy chorym bracie dnie i noce trawił. Skorom przyczynę jego nieobecności wyznała Lucyanowi, strasznie się zaniepokoił, aż mu kilkakrotnie powiedzieć musiałam, że choć brat Karola cierpi straszliwie i ciągłego dozoru potrzebuje, wszelka jednak nadzieja, prawie pewność jego ocalenia pozostała.

— To niechże Karol siedzi przy bracie — mówił znów szczerze jego położeniem przejęty; — biedny Ignacy! żonę i troje dzieci w kłopotach majątkowych zostawić, toby mu okropnie było, lecz kiedy wy za jego przyjście do zdrowia ręczycie, muszę wierzyć, choć

żal mi serce ściska, boć jemu gorszy los niżeli mnie wypadł.

Za przedłużenie terminu wypłaty on cierpieć musi srodze, dla mnie żadnej prekluzyi; lecz też ból wcale znośny. Tęskno mi jednak, że Karola nie zobaczę; miałem do niego wielką prożbę ostatnią...

I znów Lucyan zamilkł, a ja dziwiłam się, czemu tak długo twego nie wspominał imienia. Czy dla ciebie jednej miał więcej żalu rozstania i sam się drażnić nie chciał? Czy tak wierzył w serce twoje, że mu zbytecznem się zdało przez cudze pośrednictwo wiadome i odczuwane z całą rzeczywistością swoją przesyłać wyrazy? Rozważałam to sobie w duszy mimowolnie, a Lucyan tymczasem wypoczywał po zbyt może długiem wysileniu i tylko natężonym wzrokiem przypatrywał się objętej framugą okna okolicy. Samego zachodu słońca nie było widać w tej stronie, ale jaskrawe smugi jego promieni grały po drzewach więcej pączkami kwiatów niż liśćmi okrytych, przesuwały się zwolna po krzakach dobrze już zielonego agrestu i po zagonach kiełkujących niedawno zasianemi kwiatami. W oddaleniu rzeka zwykle błękitną, złocistą się ublaszkowała czerwonością. Złoto posypało się na trawę łąk pobocznych, nawet krzyż ciemny, ostatni punkt w dowidywanym krajobrazie, od jasnego złota niby rozgorzał cały. Wmiarę jak słońce ku ziemi się spuszczało, równe części tego złotego pejzażu w coraz głębszą, nie stopniowaną, lecz wydatnie odciętą zapadały ciemność. Najpierw grządki jedna po drugiej zaczęły znikać i w jednolitą stapiać się masę; potem woda swoje topazy i rubiny w połyskliwy zmieniła szafir; potem utonęła w zmroku drobna dziatwa agrestowych i porzeczkowych krzewów; potem na wierzchołkach tylko grusz, śliwek i jabłonek zostało kilka goretszych barw i blasków; potem już tylko ramiona krzyża ostatnie zatrzymały promienie. Lucyan wiódł oczyma za ustępującem światłem, jak gdyby magnetyczną siłą wzrok jego ciągnęło ku sobie, kiedy sam krzyż jedynie widniejszym pozostał. Spojrzenie

Lucyana na krzyżu odpoczęło. Nie potrzebował mówić: z uśmiechu i łzy jego odgadłam, co za wdzięcznem, co za pobożnem uczuciem serce mu wzbierało na ten przypadkowy symbol ostatnich świata połysków, w ostatnim życia wieczorze żegnającym go znakiem ofiary i zbawienia. Dopiero gdy i krzyż pociemniał, lekka niespokojność na twarz Lucyana wybiła, uniósł głowy nad możność prawie, szyję wyciągał, popatrzył o ile mógł najdalej... lecz i najdalej wszystko dokoła przygasło.

— „Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe“—rzekł z głębokiem westchnieniem i głowa jego bezsilnie na poduszki opadła, oczy się przymknęły, mocniejsza bladość po licu się rozlała. Zatrwożona wstałam coprędzej, przyłożyłam rękę do czoła, do piersi, czoło było zimne, wilgotne, ale serce biło równo, choć silnemi uderzeniami. Lucyan wzniósł na mnie ociężałe powieki, ścisnął mi rękę i chciał się trochę roześmiać, żeby mnie uspokoić; nie powiodła mu się jednak ta próba, ledwie że wargi zadrgnęły nieco boleśnie. Trudno oznaczyć, jak długą chwilę w milczeniu spędziliśmy oboje; ja trzymając mu ocet z wodą na skroniach, on ciągle miłą intencyą uśmiechu dziękując; nareszcie po jego woli się stało, uśmiech prawdziwy, nieprzymusowy rozpogodził całe jego oblicze.

— Niepotrzebnie się tak trwożycie — rzekł znowu pewnym i silniejącym w każdem słowie głosem — to moje zwykłe organiczne usposobienie. Przyznam się wam, że gdy najzdrowszy byłem, zawsze widok zachodzącego słońca okropnie przykre, ale to fizycznie przykre robił na mnie wrażenie. Ma się rozumieć, że przy zdrowiu i muskularnej ciała krzepkości nie omdlewałem cowieczór, jak powój lub anemona, niemniej wszakże z godziną zachodu biła dla mnie dzień po dniu jakaś chwila przelotnej boleści; teraz górę wzięła nademną. Lecz już złe przeszło, wierzajcie mi; przeszło zupełnie, jutro zobaczę jeszcze wschód mego kochanego słońca... a zachodu... nie doczekam. Chwała Panu na wysokości. No, czemuż tak stoicie, moja droga

pani? Ręczę wam, że mi przed jutrzejszą operacyą całą noc siły i spokojności podarowano z nieba; siadajcież na swojem miejscu, tam was lepiej mogę widzieć i lepiej rozmawiać z wami.—Gdy go usłuchałam, on mnie usłuchać nie chciał i zamiast do snu w cichości się sposobić:

— Czy też wam—spytał—nie zdarzyło się kiedy zauważyć, jaki to dziwny stosunek bardzo często imię na chrzcie dane człowiekowi z jego losem, albo też z jego usposobieniem łączy w dalszym ciągu życia? Ja przynajmniej wdzięczny jestem matce, że mnie Lucyanem nazwać kazała, bo imię w świetle ma swój źródłosłów; od dzieciństwa też nie potrafię wam wypowiedzieć, jak ja kocham światło. jak goniłem za światłem, czy natury, czy ducha, byle świeciło oczom i rozumowi, a nie mogę się skarżyć, jasno było w mojem życiu. Dwudziestocztero-letnia przeszłość moja jest ciągłem wstępowaniem na coraz pełniejszą blasków widownię. Jakież rozkosze, jakie to uniesienia, kiedy nauka zaczęła świat mi rozpromieniać, kiedy codziennie prawie dowiadywałem się czegoś, rozpoznawałem nowe przedmioty, odkrywałem nowe przestrzenie i wieki, a kiedy serce żywiej wszelką miłością piękna i dobrego zapłonęło, o Boże mój! o Boże, zrozumiałem ja wtedy twoje: „Fiat lux“ wiekuiste!... Wszystko co kiedykolwiek uznałem jako wielkie, mądre i święte: wszechmoc, wiedza, cnota, wszystko mi zawsze tłumaczyło się pewnem poczuciem światła, ognia, gwiazd, słońca; słońcem dla mnie była Elżbieta. Nie mogę sobie zdać sprawy, czem byłbym został, gdyby jej brakowało w mojem przeznaczeniu, bo też nie mogę sobie wyobrazić czem byłaby ziemia, czem księżyc, czem planety w warunkach bezsłonecznego systematu. Może z tych samych złożone pierwiastków, też same wydałyby twory w inną skombinowane atrakcyą, po tych samych krążyłyby drogach, tylko z odjęciem barwy i połysku. Miałyby zapach kwiaty, ciężkość gatunkową metale, przezroczystość kryształy, różaby jedynie swojej krasy nie miała, złotoby się nie świeci-

ło, a dyament nie iskrzył. Tak i ze mną bezwątpienia; gdybym Elżbiety w darze od Pana Boga nie dostał, trzymałbym się prawdopodobnie obowiązkowej drogi, nie szkodziłbym nikomu, pracowałbym jak koń w stępaku na kawałek chleba i nie domyślił się nawet, że piękną jest ta ziemia Boża, co mię na sobie dźwiga, że najpiękniejsi są ci ludzie, co ją wraz ze mną prawem ukochania wspomnień i nadziei dziedziczą. Bez Elżbiety jabym nigdy w życiu nie pojął, co to jest kobieta, a więc nie pojął całej jednej świata połowy; szczęście i cierpienie, ohydę grzechu i cześć świętości nawpół tylko znałbym, czuł, doświadczał. Możebym szalał za jaką ładną i zalotną dziewczyną, możebym się ożenił z jaką posażną lub świetnie wychowaną panienką; żonębym stroił, pieścił, a do znoszenia kaprysów moich układał, wrazie oporu jeszczebym pewniej pono dla świętej spokojności jej znów dziwactwom ulegał, lecz przy tej całej dyplomatyce, wygładzającej dwóch nieprzyjaznych sobie interesów chropowatość, nigdybym się w prawa harmonii nie wtajemniczył.

Elżbieta jedynie objawiła mi prawdziwe znaczenie tych słów Bożych w Genezis Mojżeszowej: „Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczyńmy mu pomoc jemu podobną. Tak jest: Elżbieta była ciągle pomocą podobną; ani górująca nademną, ani przezemnie górowana, miała te właśnie przymioty i te wady drobniutkie, których ja do uzacnienia mojej duszy potrzebowałem i w których jej dusza tylko odemnie rozświecenie i wsparcie wziąć mogła. Za co ją więcej kochałem, czy za to, że mnie lepszym czyniła? czy za to, że widziałam jak sama przy mnie lepszeje? Nie wiem: po niemiecku w ostatniej chwili analizować nie będę. Kochałem ją ze wszystkiem i za wszystko na raz, kochałem za uprawdzenie każdego mego o prawdzie przeczucia i wyobrażenia. Czasem nęciło mię ku sobie coś takiego, czego rozumem udowodnić, nauką zastosować w ogólną zasadę nie umiałem; czasem też wstręt czułem, a wstyd mi było samego siebie, że in-

stynktowi brakło ludzkiego usprawiedliwienia; ona przeszła, rzuciła słów kilka, zajęła się tem lub owem we właściwy sposób, i choć to napozór żadnego związku z przedmiotem mojego ulubienia lub wstrętu nie miało, znalazłem zaraz nić Aryadny, z labiryntu wszelkich wątpliwości na jasność dnia Bożego mnie wiodącą. Ktoby mi był na przykład bez herezyi, bez jezuityzmu wyrozumował dość logicznie wyższość ducha nad literę, wolność wprawdzie doskonalszą niż wolność w prawie najliteralniejszem, to co w kościele zowią łaską, świętsze niż to nawet, co w świecie zasługą posłuszności jest zwane? Nikt podobno, gdybym nie miał obok siebie tej przeczystej, wyższemi władzami ubogaconej duszy, co więcej żyła natchnieniem, niż przykazaniem Bożem, a żyła dobrze, pięknie, spokojnie, głęboko, jak koral w morzu, wysoko jak zwyczajne moje słońce na niebie. Zdaje mi się, źle mówię, nie zdaje mi się: tego pewny jestem, że choć mię wiele serc poczciwych żałować będzie, w niczyjem sercu moja osobistość tak długo się nie przeciągnie jakiemś współtrwaniem nierozdzielnem, jakąś współpracą bezprzestanną, jak w najpełniejszem miłości sercu Elżbiety mojej.

Pierwsze chwile jej żalu będą nawet mniej łzawe, mniej utęskliwe, nie jeden aż się zadziwi, czemu tak mało płacze, kiedy tak wiele kochała? Lecz ona poco ma płakać: ona, co wie i czuje, że my się nigdy nie rozstaniemy!...

Odczytuj sobie te słowa, Elżbieto, powtórz je kilkakrotnie, boć dopiero przed dwiema godzinami wyszły z ust Lucyana. Możesz w nich czuć jeszcze tchnienie jego piersi, możesz dosłyszeć akcentu ich wymówienia, musisz im wierzyć i musisz żyć niemi. Gdy Lucyan w chwili zadumania zbierał najlepsze, najserdeczniejsze myśli swoje, by mi wszystkie dla ciebie przekazać, drzwi się uchyliły i wszedł posługacz z zapaloną lampeczką; chory nie dał jej przysłonić sobie.

— A toż wiecie — proszącym odezwał się głosem — toż wiecie, że ja nietylko alegoryczne światło lubię, lecz bez przenośni każde co świeci; już z tym płomyczkiem zaraz jakoś raźniej i weselej.

Nim dogodziłam naszemu najdroższemu w ustawieniu przyniesionej lampki, znów się klamka poruszyła i niespodzianie wszedł Karol na palcach, ostrożnie, cichuteczko, jak się to wchodzi do śpiącej matki, lub do konającego przyjaciela. Możesz sobie jego zadziwienie wyobrazić, gdy ten przyjaciel uśmiechniętą twarzą i radosnym wykrzykiem jak najzdrowszy człowiek go przywitał.

— Karol! poczciwy Karol! — w tejże chwili jednak zaraz mu choroba Ignacego na myśli stanęła—ale poco ty brata odstąpiłeś? — dodał ze smutnym wyrzutem.

— Brat ma się lepiej, siedzą przy nim teść i żona — odpowiedział Karol, ściskając w obu rękach wyciągnioną ku sobie rękę Lucyana i patrząc w oczy jego pełnym łez powstrzymywanych wzrokiem. Biedny chłopiec, uwiadomiony od południa już o niebezpieczeństwie grożącem jutrzejszej operacyi, przez kilka godzin tak się zmienił, tak pomizerniał, że aż mu oczy wpadły i twarz zzieleniała prawie. Ileż-to szczerej przyjaźni, ileż tkliwego braterstwa otaczało Lucyana! Szczęśliwi oni wszyscy, co się tak kochali wśród obojętnych i nienawistnych tłumu!

— Czemuż więc smutny i zbiedzony jesteś, kiedy brat zdrowszy?—zapytał Lucyan swego najdroższego artysty.

— Powiedz raczej zmęczony trochę, bo właśnie miałem wiele u Ignacego do roboty; przyszedłem tu piechotą — usprawiedliwiał się Karol.

— Ej! ty obłudniku! — przerwał mu chory wesoło — czy myślisz, że już nie wiem o wszystkiem? Przyszedłeś się pożegnać ze mną, więc żal ci serce ściska, a nie chcesz dać tego poznać po sobie. Wielka nam obu krzywda ztąd się dzieje, czas na płonnem udawaniu tracimy, a mamy przecież w chwili rozsta-

nia coś ważniejszego do powiedzenia sobie. Najpierw zastanów się, Karolu, czy śmierć moja warta łez lub skargi? Są ludzie, którzy umierają w rozpaczy, w zniechęceniu, przygnębieni troskami, znużeni długą chorobą; tych żałuj, kiedyć masz litościwe serce, ale ze mną, Karolu, dziel tylko samę uciechę i wdzięczność dla Boga. Ileż-to razy dawniej rozmyślałem już o tej chwili stanowczego przejścia duszy naszej; zawsze mnie jakaś bojaźń ogarniała, żeby na mnie bez przygotowania wśród złego usposobienia, z moralnem niedołęztwem nie spadła, bo śmierć to najogólniejsze podsumowanie życia człowieczego— „bo wieczność taka, jak śmierci godzina“— woła Juliusz, poeta nasz ulubiony: z ostatnich myśli i wrażeń umierającego tworzą się w przebywającym kędyś duchu nowe zdolności i władze. Litowałem się zawsze nad tymi próżniakami, co do śmierci jak do łóżka spoczynku się śpieszą; nad tymi głupcami, co się w nią z najgłośniejszym jękiem boleści swojej rzucają. Wyobraźcie-no sobie, mój malarzu, jak szkaradną na tamtym świecie plamą występuje każda taka rozmazgajona osobistość. Nie, ja zawsze błaganiem uprzykrzałem się Bogu, żeby mię od nagłej, niespodziewanej i złej śmierci bronił. Nie chcę w łachmanach bez szaty godowej, skrzywiony i wyziębły jasnym zbawionych lub zbawiających się chórom przedstawiać, chcę wziąć szatę najlepszych moich wspomnień i uczuć, koronę myśli najczystszych, chcę z uśmiechem i młodością, chcę z całą pełnią władz i zdolności moich uchylić głowy przed Tronem Najwyższego i czekać dalszych wyroków. Otóż Pan stokroć dobry, stokroć miłosierny, wysłuchuje mnie, Karolu...

Nazbierałem do serca samych klejnotów i kosztowności. Mam was tylko: Elżbietę, pamięć wspólnej pracy naszej, wiarę we wszystko, cośmy wierzyli z dobrem imieniem u ludzi, możność czynienia dobrego ludziom, dla wszelkiego mojego ukochania, dla wszelkiej mojej nadziei, mam dotykalnie całą wieczność przed sobą — a ty smutny, Karolu?... ty mię żałujesz?

— I czemuż się nie mam przyznać?—odrzekł Karol — a łzy mu już bez przeszkody dwoma strumieniami po twarzy ciekły. — Żałuję cię, nasz Lucyanie, bo ty masz wieczność blizką. ale my bez ciebie mamy jeszcze doczesność tak długą, tak ciężką i ciemną.

— Bezemnie? nie wierz temu. Bezemnie? a gdzież jabym się podział? Toć mówiłem ci właśnie, że w śmierci czuję tylko nowego życia początek i czuję, że nowe życie z uzbieranych na chwilę śmierci pierwiastków rozwinąć się musi. Cóż ja przynoszę Panu do ostatniego porachunku? Cóż mię teraz zajmuje? Czy gwiazdy, czy dróg mlecznych, czy niewidzianych i niepojętych splendorów blaski? Nie, przed chwilą właśnie nim wszedłeś rozmawiałem z panią o tem, że kocham światło, ale je kocham i w tej lampce maleńkiej i w odbiciu na każdym proszku ziemi, kocham dlatego bo lepiej widzę stawy, lasy, łąki, jeziora i twarze poczciwych ludzi; kocham światło. bo w świetle wy wszyscy moi, bo was wszystkich kocham, Karolu: a jestże to sposób rozłączyć duszę z miłością jej? To niepodobna. W jakich warunkach moja wieczność splecie się z czasu waszego promieniami, tego nie wiem, to zostawiam do wyprorokowania doskonalszej przyszłości i potężniejszym duchom, lecz że się spleść musi, czuję wszystkiemi władzami umysłu i serca. Powinieneś zaufać świadectwu takiego, co umiera — i wziąwszy rękę Karola, położył ją na swojej piersi, jakby znakiem jakiejś przysięgi chciał dopełnić i uważnić wymówione słowa.

Karol uległ wpływowi, któremu ja sama uległam pierwej jeszcze, bez względu na to, czy się chory nie trudzi, stał jak przykuty do łóżka i z chciwością słuchał wszystkiego, co Lucyan pełną duszą wypowiadał przed nami, ale nakoniec męzka hartowność prędzej się w błędzie od mojego kobiecego oczarowania spostrzegła; przyznaję ci się, że sama pierwsza nie pomyślałam o odejściu. Lucyan potrafił mię jakoś przekonać, juścić nie o wytrwałości swego zdrowia, lecz o potrzebie złożenia nam testamentu wszystkich skarbów,

pojęć i marzeń, wspomnień i nadziei; zmiarkowałem się dopiero, gdy go troskliwszy Karol napominać zaczął.

— Jabym cię słuchał, słuchał do białego dnia, Lucyanie; to się nie godzi jednak, zbyt długo mówiłeś, trzeba koniecznie odpocząć i zasnąć. Jutrzejsza operacya niewiele dobrego zwiastuje, tem mniej właśnie na kartę stawiać możemy.

— Stawiajcie wszystko—przerwał Lucyan, udając niecierpliwość i zadąsanie; — co postawicie, to naszą wygraną będzie, gdyż z wielkiego banku ani wy już, ani ja się choć jednej doby nie spodziewamy przecież.

— Czy spodziewamy, czy nie spodziewamy — rzekł Karol bardzo stanowczym głosem—to inna rzecz, mój drogi, tymczasem póki żyjesz, naszym obowiązkiem jest tak z tobą postępować, jak gdybyś miał żyć najdłużej. Nie chciejże nas zostawiać z gorzkim wyrzutem sumienia, żeśmy się w czemkolwiek do twojej straty przyczynili. Sam wiesz najlepiej, jak po doznanem nieszczęściu ludzie zawsze to sami siebie, to drugich oskarżają; uwolnijże nas dwoje przynajmniej od okropności tego przypuszczenia, że mogłoby być ci lepiej, gdybyśmy z lepszą i serdeczniejszą pilnowali cię surowością.

Zdaje się, że te ostatnie wyrazy, proszącym głosem wymówione, zrobiły dość silne na Lucyanie wrażenie.

— Dobrze już, dobrze—odpowiedział pokornie—każecie, to będę cicho; każecie, to będę spał; każecie, to będę się pieścił i oszczędzał, jak gdyby było warto, lecz pierwej musisz mi przyrzec, Karolu, że jednej prośbie zadosyć uczynisz...

— Aż strach mnie bierze, Lucyanie. Cóż-to za prośba, co aż obietnicami wspierać się musi?...

— Bądź spokojny, nie idzie mi o przekupienie twego sumienia, tylko o przełamanie lekkiego może wstrętu, o zniesienie małej przykrości. Jak umrę, pierwszego dnia zaraz, dopóki jeszcze będzie ostatnia

prawda życia w moich trupich rysach, zrobisz mój portret i prześlesz go Elżbiecie, ona cały zakres nowej kolei odgadnie z pośmiertnej twarzy, od niej najwięcej o mnie będziecie się mogli dowiedzieć.

Karol nieodrazu zdobył się na odpowiedź, jednak po chwili rzekł stłumionym głosem: — Przyrzekam.

— Was, droga pani, to już nie proszę nawet, byście do niej pisali...

— I macie słuszność — odrzekłam — list zaczęty już leży na moim stoliku.

— Więc idźcie naprzód spocząć trochę, a potem go dokończycie. Kiedy wy surowi, ja także surowym będę: nie chcę was widzieć wcale aż do jutra, do odwiedzin chirurga i doktora.

Karol poparł bardzo silnie rozkaz Lucyana.

— Próżnobym się sprzeczała z wami — rzekłam zwyciężona ich nielitościwą koalicyą — pójdę sobie, kiedy wiem, że mię ktoś lepszy zastąpi, ale jutro nie myślę czekać na lekarskie odwiedziny, wrócę razem z pierwszym blaskiem wschodzącego słońca, Lucyanie, i przyprowadzę ci naszego księdza Cyrylla. Jestem pewna, że nam obojgu rad będziesz...

— Wam chyba Elżbieta swojej duszy pożyczyła — odpowiedział mi tylko serdecznie, jak syn ręce moje całując, i rozstaliśmy się jeszcze z nadzieją, jeszcze ze słowem „do widzenia.“ Co jutro będzie o tym czasie? Nie chcę rozmysłem psuć sobie danych od Lucyana wrażeń, pójdę lepiej zobaczyć, czy Milcia nie potrzebuje mojej wyręki. Zmówię pacierz — spróbuję zasnąć na godzinkę, a pewnie też i słońce długo na siebie czekać nie da, bo już noc dobrze się przepołowiła. Żegnam cię, Elżbieto — nie żegnam uściskiem na jakiś czas rozstania, ale w myśli i uczuciu żegnam znakiem krzyża świętego, na wielką boleść i na wielkie męztwo...

W dalszym ciągu listu pośpiesznym i prawie nieczytelnym dopisano charakterem:

„Kula wydobyta; Lucyan jeszcze żyje, za dwadzieścia cztery godzin, jeśli gangrena nie przystąpi,

doktór powiedział, że będzie można mieć nadzieję. Póki losy się ważą, póki modlitwą uprosić co można, módl się, Elżbieto, módl się taką wiarą i takim głośnym jękiem, żebyś aż wymusiła na Bogu miłosierdzie; Chrystus przecież natrętnie w nocy do drzwi śpiącego z całą rodziną gospodarza kołatać pozwolił. O! módl się, módl się, Elżbieto“...

I co później się stało, nie wiem; ten list przerwany znalazłam w odesłanych mi z dalekich stron papierach. Że bez daty, bez podpisu, nie dziwi mnie to wcale, bo takie zwykle bywają nasze kobiece pisma. Ale że śladu osób w nich wymienionych nigdzie nie spotykam, to mi jest coraz przykrzejszem zaciekawieniem. Gdzie żyje owa plejada szlachetnych i wzajemnie się kochających towarzyszy? Gdzie jest ta Elżbieta stokroć błogosławiona, co umiała poczciwe serce tak poczciwem natchnąć uczuciem, że kiedy ją konające usta wspominają, mnie wywnioskować prawie niepodobna, o siostrze-li to, żonie, czy o młodej narzeczonej mowa? Jak dla siostry jest przyjaźń ufna i szczera, jak dla żony jest przez drugich szanowana i przyznawana miłość, jak dla kochanki jest akcent entuzyazmu, jest niby echo roztęsknionej nadziei. Wspólna wiara, równy dział w prawdzie, wzajemnie coraz wyższej lepszości wymagania, sprawiedliwe dokonanych usiłowań ocenienie, a przytem tkliwość pamiętna, względy pieszczotliwe, zwrot jakiś myśli opiekuńczy i uległy zarazem — toż to aż zazdrość bierze, toż to aż niespokojność porywa, gdzie jest kobieta, której się to wszystko dostało? Czem ona sobie na tyle skarbów zasłużyć umiała? A stryj ów z ojcowskiem sercem? a brat Paweł z macierzyńską duszą? a ojciec Euzebi z klasykami w ręku, a Józef, Leon odważny, Stefan wytrwały, Karol pobożnie natchniony — gdzie oni wszyscy? Przyglądam się dokoła — widzę ludzi zajętych samolubnem zbieraniem, lub traceniem majątku, widzę bogatych, ubogich i pracujących na to, by się z ubóstwa ku bogactwu wznieśli, widzę takich, którym wygodnie, lub niewygodnie na

ziemi, którym ciasno lub przestrono, a czy ciasno czy przestrono, czy wygodnie, czy niewygodnie, wszyscy się ciągle potrącają, rozpychają, jak gdyby miejsca już zbraknąć miało. Kto tylko może, ten się nie uczy, nie kształci; kto tylko musi, ten się uczy dla zarobku, ten się kształci przez spekulacyą. Talent, dowcip, odwaga, rzetelność, różne zdolności i cnoty, któremiby można doczesność znieśmiertelnić, a nieśmiertelność odezłego na wieki wieków wybawić — dzisiaj pieniędzmi procentować zmuszone. Słyszę jak ojciec oblicza synowi, jaka gałęź nauki do zyskownej karyery sposobniejsza, a matka dzieciom tłumaczy, że ostatecznie na poczciwości zawsze się lepiej, niż na oszustwie wychodzi. Dobre imię, to szyld ułatwiający przeprowadzenie wszelkich interesów. Bystrość pomysłów, to wędka na miliony. Gotowość do rzucenia się w sam wir niebezpieczeństwa, to przedsiębiorczość zdobywcza. Złe, to brak złota zawsze. Dobre, to zawsze tegoż złota obfitość—i trudno, trudno zaprzeczyć: przez nędzę szerzy się zepsucie, przez dostatek moralność się zabezpiecza. Tylko list znaleziony jakby zupełnie pominął te względy, zpod innej sfery, inną atmosferą otoczone przedstawia postaci — każda z nich w życiu i w śmierci, każda rozumem i sercem dobaduje się prawa Bożego, szczęściem i zdrowiem płaci za zdobytą prawdę, w miłości i radosnej prostocie niesie bliźnim krwi swojej i trudu swojego ofiarę. No proszę, gdzieby się tacy ludzie bez wiadomości, bez słychu zapodzieli? Znam agronomów, uczonych, malarzy, znam bardzo wielu młodych i starych literatów, lecz między nimi, a przyjaciółmi Lucyana, żadnego podobieństwa dopatrzeć nie mogę. Chciałam tego i owego na słowo wyprowadzić, przekonałam się, że nic a nic o tej garstce prawowiernej nie wiedzą. Tymczasem mnie do niej aż tęskno, aż niecierpliwie tęskno być zaczęło. Więc cóż na to poradzić? Szukałam, nie znalazłam— czekałam, doczekać się nie mogłam — patrzyłam, nie dojrzałam nikogo. Nakoniec taka mi do głowy myśl przyszła: żeby się wszystkich odrazu zapytać. List

bezimienny wyzwaniem publiczności rzucę, może go chociaż jeden z tych wspomnianych, wybranych przeczyta i może... może odpowiedź mi przyśle. Czy żyją? czy są tacy, jakimi ich opisano? Czy też mnie danem będzie na własne oczy któregokolwiek z nich zobaczyć kiedy?...

ADEODAT.

Adeodat na puszczy.

Piękną jest natura, piękne są wszystkie stworzenia Twoje, o Boże, olbrzymie i najdrobniejsze, wdzięczne i potworne, użyteczne i groźne — wszystkie, Panie, są dziełem woli Twojej i cudem Twej mądrości! Ze czcią spoglądam na dęby wspaniałe, na wysmukłych jodeł konary; pieściłbym, jak dziatwę moję, gęste krzaki leszczyny i błękitne wśród zielonych paproci dzwoneczki. Widziałem wczoraj króla tych lasów, wilka z paszczą zakrwawioną, jak na dzikiego wołu zwycięzko się rzucił, i uwielbiłem siłę Twoję, o Panie, w siłach bezrozumnych zwierząt działającą. Zaszeleściały listki na drzewie, pod którem stałem: zwinna wiewiórka wychyliła się ku mnie; przez chwilę popatrzyła żywemi oczkami i nagle schowała się pierzchliwie, choć ja tylko przyjazną myślą pogoniłem za nią. Na gałązce drżącej od lekkiego tchnienia wietrzyka ozwał się głos piegży wesołej; zbudzony puhacz smętnie zadął żałobnem wołaniem i ucichł znowu, a kukułka kukała i kukała, że się aż echo rozlegało wszędzie. Co to życia, ruchu, wdzięku, co tonów nieprzesłuchanych dałeś, Panie, ziemskiej bryle naszej! Gdzie oczy zwrócić, tam nowe arcydzieło Twoje, Mistrzu wszechświatów potężny! Skrzętna mrówka, co u stóp żywicznych pieńków gospodarzy, złocista pszczoła, co do

wysokiej barci kroplę miodu niesie, komar niewidzialnie w powietrzu brzęczący, gąsienica listkiem ulubionego sobie ziółka spowinięta, nad wodą czystego zdroju drżąca niby odłamany tęczy kawałek, leciuchna panna o czterech skrzydłach gazowych—jakież to śliczne, ciekawe, zajmujące, po całych godzinach przypatrywałbym się i słuchał! Mnie się nawet podoba ten wąż jadowity, między wilgotnemi trawami promieniem słońca ze snu przebudzony: oto wzniósł się na ogonie, żądłem niebu pogroził: lecz pierś jego w błocie się nurza i od błota odstać nie może; a teraz ślizga się cicho, prędko, wyłamuje się w tajemnicze półkola i hieroglificzne znaki. O! wiekuisty symbolu wiedzy ziemskiej, i ty musiałeś swój haracz mi opłacić, musiałeś dać chwilkę przyjemności, dać myśl dobrą i przypomnienie zbawienne! Tak ci Pan Twój rozkazał, tak mnie Ojciec mój, który jest w niebie, wziąć i użyć pozwolił. *Gloria in excelsis!..*

Długo, bardzo długo tęskniłem do Ciebie, Boże mój, niby pisklę z rodzinnego gniazda wyrzucone. Pierwsze lata pierwszej młodości przejęczałem w modlitwie ciągłej skargi i ciągłego utrapienia. Roztworzyłeś przedemną skarbiec darów Twoich; postawiłeś mię wśród świata, jako wśród przybytku swojego, a mnie łzy dziecinne wzrok przysłaniały i wzdychając do nieba, przez Ciebie stworzoną ziemię zupełnie z oczu traciłem. Rozżalone serce moje szukało Cię poza stronami sklepień gwiaździstych, myśl niespokojna zazdrościła białych skrzydeł aniołom Twoim, lub się roztapiała w marzeniach o blasku Cherubów, co na oblicze Twoje patrzą, o szczęściu Serafinów, co w zachwyceniu nad doskonałością Twoją nieskończenie bytują. Wzrastał i wzrastał mój smutek, aż dorósł prawdy Twojej, aż z niemocy i osłabienia wielką siłą stał się we mnie. Zerwałem się, według słów Psalmisty, „jako mocarz pijany, którego budzą z uśpienia; jako mocarz pijany, który wykrzykuje po upojeniu swojem.“ Patrzyłem: gdzież jest droga powrotna do Ojca mojego? i duch widział, duch poczuł, że to jest droga nie

żałoby, ale *miłości najwyższej.* O Panie! o Boże! więc ja *kocham,* ja nie tęsknię już.

Kocham wszystko w imieniu Twojem i dla imienia Twojego. Przez miłość *rozumiem* wszystko: nie gardzę niczem, nie potępiam niczego. Przez miłość odgaduję, czem były, czem będą wszechtwory Twoje, i widzę jak na dłoni, że każdy z nich był lub jest, będzie lub być może doskonałością według praw Twoich i według swego gatunku. Na co spojrzę, to mi się rozjaśnia chwałą Twoją w spełnionem lub spełniającem się, lub możliwem do spełnienia przeznaczeniu. Czy gad co pełza w kałuży, czy tygrys co krew ciepłą chłepce, czy nawet człowiek, co bluźni i grzeszy. Panie! przed Tobą i przed miłością moją w Tobie święci się wszystko celem i środkiem, nadzieją i obietnicą zbawienia. Gad w stosunku do pełnego wyziewów trzęsawiska, tygrys w stosunku do pustyni niepłodnej, bluźnierca w stosunku do mnie jest najlepszością i jest łaski Twojej objawem. Gdzie martwota wbrew Twojej ustawie rozpostarłaby się wszechwładnie, tam siła życia zdobywcza dzikich wysłańców Twoich popycha. Gdzie piekło na znikczemnienie i upadek czyha, tam zasługi otwierasz pole, tam prowadzi mię ręka Twoja i uczy natchnienie Twoje, jak mam cierpliwie łagodzić zawziętość, rozbrajać nienawiść—ciemnotę światłością Twoją, fałsz słowem Twojem odpierać.

Dawniej przed obrzydliwością spustoszenia i przed występku szkaradą, jako Cezar przed zabójczem żelazem Brutusa, odwracałem się ze wstrętem i skrajem pustelniczego płaszcza zasłaniałem sobie twarz upokorzoną... Upokorzoną, ale nie *pokorną,* Panie mój, bo mię tylko zgroza przejmowała bolesna, wstyd ogarniał trwożliwy, poczucie jakiejś hańby w lasów pędziło samotnie; bo mię dręczyła współodpowiedzialność rodowa i poniżył we własnych oczach bliźni związek z takimi, co obrażali Ciebie. Dzisiaj—nawet w zbrodniach mych braci błogosławię Ci stokrotnie. Więcej jest we mnie chęci służenia dobremu, niż oburzenia na złe; więcej o tem myślę, co dla drugich zrobić, co po-

święcić mogę, niż o tem, czego oni jeszcze nie zrobili, co wydarli sobie wzajemnie, co zepsowali i skazili. Nie pragnę już samotności, rzucam bez żalu pustelnię moję. Ty, Panie, dałeś mi braci, których mogę pocieszać, upominać, którym służyć i pomagać winieniem. Idę do nich z imieniem Twojem na ustach. Wiem, że mię wyszydzą, jako Ciebie wyszydzili, Jezusie Nazareński. Przebaczę im, jako Ty przebaczyłeś. Posądzeniem na mnie cisną, jak cisnęli na Ciebie, gdyś rozwięzywał opętanych i kaleki uzdrawiał. Nie zrażę się, jako Ty nie zraziłeś się, Baranku cierpliwy! Umęczą mnie może, jako Ciebie umęczyli, za świadectwo prawdzie, przed ludem całym Izraela złożone. Modlić się za nich będę, jako Ty na krzyżu Kalwaryi modliłeś się, i dam cześć, dam uwielbienie Tobie za największy łaski Twojej dowód; bo gdy śmierć koniecznością naturze ludzkiej sądzona, czyż nie wybranym, czyż nie uszczęśliwionym Twoim jest ten, co musiałby z choroby, z przypadku, lub ze starości umierać, a on umiera dla myśli Twojej i dla zbawienia swych bliźnich!

Nie, nie zazdroszczę aniołom; — nie, Cheruby i Serafy „na krótki czas“ tylko wyższe są odemnie: one posłuszne, one światłe, one radosne; ale ja, syn człowieczy, ja współdziedzic Chrystusa, *więcej* od nich kochać mogę, bo mogę się poświęcić, pracować i cierpieć. Dzięki, dzięki Tobie, o Boże!

Cię̇żyło mi pierwej ciało moje, jako namiot niewygodny; dłużył się każdy dzień życia, jako dzień wygnania tęskliwy; dziś lekki jestem duchowi własnemu—dziś uznaję, że najkosztowniejszym z kosztownych podarunków Twoich, zawsze i dla każdego, jest ów kawałek wieczności na trud, na bojowanie, na pokusy i upadki może, ale niemniej przeto na tworzenie własnego zbawienia, lub na pomoc ku zbawieniu innych wypożyczony. Bądź ty, jakim chcesz, człowiecze, prędzej czy później *musisz* stać się takim, jakim cię mądrość i sprawiedliwość wiekuista mieć chciała. Bądź jakim chcesz, prędzej czy później *musisz* zbawić sam

siebie, lub, chociaż oporem szatańskim, musisz wywyższyć drogi tych, co nad twojem zbawieniem pracują: *musisz* być świętym lub przysparzać męczenników, co krwią swoją i łzami możliwość odpokutowania twych grzechów wyjednają u Boga. Tak to w jedności celu, tak to w pojęciu zbawienia wszystkie pozorne sprzeczności godzą się i tłumaczą, a dla cnotliwych i występnych życie równem się dobrodziejstwem Bożem okazuje. Więc dzięki Tobie, Panie, że mi dałeś życie; więc dzięki, choć dasz cierpienia, trudy i pokusy!

Wracam do *ludzi*, żeby im świadczyć o Tobie, żeby ich pozyskiwać dla prawdy i miłości.

Patrz w siebie, duszo moja! ozwij się najtajemniejszym zarzutem, o sumienie moje!... Czy jest gdzie w skrytościach mego serca samolubstwo przebrzydłe? czy jest próżności okruch najdrobniejszy? czy jest zuchwalstwo i lekkomyślna zarozumiałość?... Może pragnę rozkoszy, dostatków, znaczenia? może zbyt ufam własnym siłom, a przyłożywszy rękę do pługa, za byle ponętą, za byle cackiem wtył się obejrzę i skrzywię brózdę ojczystego zagonu?...

(*Namyśla się bardzo długo.*)

Nie, Panie! Ty, co czytasz w głębi ducha mojego, Ty wiesz, że ja nie pytam nawet, czy mi dziś zapracowany kawałek chleba na jutro wystarczy; nie dbam o przychylność dla mnie, bo całej miłości bratniej chcę dla słowa Twojego. Dasz chwilę radości, Panie — przyjmę na wsparcie i orzeźwienie; nie dasz,— wyrzeknę się jej z pokorą. Oklask lub przygana równie są obojętne przyszłości mojej: ucieszą mię lub zmartwią tem jedynie, że będą przyznaniem lub zaprzeczeniem mej wiary. A wiara moja?... to nie wymysł przecie własnego rozumu, to nie systemacik żaden. Wiara moja—to słowo Twoje, obietnica Twoja, prawda Twoja, wyrażająca się przez wszystkie wieki *miłością* i coraz wyższem w świętości *udoskonaleniem*. Wiara moja — to każdochwilowa dążność ku zrzeczywistnieniu

i wypełnieniu Ewangelii Twojej, to potrzeba nienasycona ideału Chrystusowego w sobie i w drugich, na ziemi i w niebie. A więc ja nie samolub, nie pyszny, nie zuchwalca. Próżną kału jest dusza moja i sumienie moje bez trwogi. A więc ja mogę pójść między dzieci Twoje grzeszne, spracowane i smutne, a więc ja mogę cieszyć, pracować i zbawiać? Idę, idę. Boże Ojcze, błogosław!

(*Wychodzi z puszczy.*)

Adeodat w salonie.

Młoda Osoba.

Jakże się panu muzyka „Roberta Diabła“ na wczorajszem przedstawieniu podobała?

Adeodat.

Najpiękniejszą była modlitwa Alicyi przy krzyżu.

Młoda Osoba.

Och! ja na to się nie zgadzam; arya Izabelli więcej mnie zachwyciła.

Adeodat.

Czy dlatego, że namiętniejsza?

Młoda Osoba (*lekko zarumieniona*).

Dlatego, że silniejsza przeciw złemu. Alicya odparła tylko postrachy szatanów, przetrzymała tylko wichry i błyskawice. Izabella rozbroiła namiętność człowieka, przezwyciężyła własną słabość swoję. Im bardziej się zastanawiam, tem więcej prawdy i piękności w tej operze widzę. Robert, to każdy młodzieniec z namiętną naturą i chciwą wrażeń wyobraźnią na

świat wstępujący. Bertram, to każdy współuczestnik wesołych hulanek. Na byle zielonym stoliku rozgrywa się taż sama partya, co nieszczęsnego Roberta rzucaniem kości do nędzy przywodzi. Scena pokusy w teatrze dla fotelowych widzów kilkakrotnie na tydzień rzeczywistością się staje. Niech to więc pana nie obraża, jeśli przez wzgląd na ogół, Roberta Diabła nazwę prawdziwym typem dziewiętnastowiecznego mężczyzny. Szaleniec, szuler, rozkosznik, zawsze on zbyt późno przybędzie, gdy heroldowie przeraźliwym głosem trąb zawezwą na turnieje, czy po wieniec zwycięzki, czy po rękę szlachetnej oblubienicy, czy po zdobycie miejsca i czasu przestrzeni i teraźniejszości dla obietnic Bożych. Któż go z hańby teraz wykupi? kto z kału oczyści? kto przed nim kościół gorejący światłem i brzmiący hymnami dziękczynienia otworzy? kto?—Kobieta. Kobietę pan słyszysz w najcudowniejszych pieśniach tej opery. Wspomnieniem matki, opieką siostry mlecznej, Alicyi, Robert walczy przeciw poszeptom Bertrama. Głos Izabelli pierwszy go uczy, jak stanowczo zwyciężać je może. Tercet z ostatniej sceny jest tylko zaokrągleniem artystycznem, sumą niejako rozsnutych przez całą sztukę pomysłów; lecz rozwiązaniem właściwem jest śpiew błagalny pięknej księżniczki; koroną moralną dzieła jest tryumf kobiety przez miłość nad piekłem i namiętnością.

Adeodat.

Czy pani wierzy temu, że kobieta, która kocha, jest silniejszą od piekła i od namiętności?

Młoda Osoba (*z uniesieniem*).

Jakżebym wierzyć nie miała? toć w tem upewnieniu jest jedyna pociecha, jedyna wielkość nasza, jedyne prawo nasze do życia na ziemi i do zbawienia w niebie. Odbierz pan kobiecie tę świętość nierozłączną z każdem jej serca uderzeniem, wydziedzicz ją

z tej natury, dla której doskonałość ukochanego przedmiotu równie, a może więcej niż jego szczęście jest potrzebną, cóż nam zostanie? Jako matkom—instynkt; jako siostrom i przyjaciółkom—wspólność interesu; jako żonom i kochankom — niewola. Och! zaiste, wierzę i mocno wierzę, iż w sercu kobiety, pod grozą nieszczęścia i spodlenia, uczucie każde musi się w cnotę i świętość rozwijać, bo—nie byłoby uczuciem, nie byłoby miłością.

Adeodat.

Dziękuję pani za te słowa!

(*Młoda osoba ze zdziwieniem na Adeodata patrzy.*)

Adeodat.

Tak jest, szczerze i serdecznie dziękuję. Pani jesteś bardzo piękna.

(*Młoda osoba spuszcza oczy.*)

Na mnie wdzięki kobiece zawsze wielkie czynią wrażenie.

(*Młoda osoba rumieni się; Adeodat spostrzega jej pomieszanie i śpieszy z dalszem objaśnieniem.*)

Zachwycam się przecież wschodem i zachodem słońca, różowemi smułkami, co na łąkach rosną, wodą bieżącą rzeczułek, odłamkiem kamienia połyskliwym; zachwycam się byle ptaszyną, byle muszką częstokroć. W tych wszystkich martwych lub bezrozumnych tworach znajduję zawsze nowe do uwielbienia Stwórcy powody, nowe do ukochania Najwyższej Mądrości zachęty. A piękność kobieca, ta, którą chciał mieć Pan Bóg wieńcem najcudniejszym swojej *genesis*, ta jedna miałażby dla mnie martwym pozostać tylko kształtem? Nie, ja się nie zapieram, że głowy przed nią uchylam, ile razy na drodze życia mego ją spotkam; bo spotkawszy, zaraz przypominam sobie, czego ona powinna

być objawem; i nie pojęcie kształtu budzi się we mnie, lecz pojęcie cnót i przymiotów odpowiednich kształtowi; nie jasne lub ciemne warkocze, nie rumieńca lub ust świeżość na moje zmysły działa wtedy, lecz duchowi mojemu uprzytomnia się czystość niepokalana, wiara pełna spokoju, pokora pełna godności i nadewszystko miłość, owa miłość, co jako śmierć jest mocna, a jako prawo Boże święta i niewzruszona. Dlatego więc powiedziałem pani, że piękność kobieca wielkie na mnie robi wrażenie. Wiem jednak, że świat kłamie i grzeszy. W świecie kłamstwa i grzechu piękność, jedyna forma, co godną jest po ludzku wyrazić myśl Bożą o Maryi Dziewicy, w świecie, mówię, piękność próżna wewnętrznej prawdy *pokusą* jest zwykle i *nieszczęściem* się staje. Dlatego-to widok jej choć mię zachwyca, to mię i smuci także. Kiedy zdaleka przypatrywałem się pani, „Szkoda! szkoda!“ mówiłem sam w sobie — „ona, piękna, rozmarzy się o szczęściu, przyzwyczai do pochlebstw i do wymagań, wartość życia na wartość doznanych przyjemności obliczy; dla niej, dla pięknej, świat niegodnem pobłażaniem się ublichtruje; bezczelnie od niej wrażeń rozkosznych i chwilek zabawy żądać będzie—a za Chrystusem kto się upomni? kto w marnotrawstwie i poniżeniu to biedne, odurzone, ślepe, duchem niewyrosłe jeszcze dziecię próżności surowo przestrzeże?“ Pani mię wywiodłaś z mojego niepokoju, sama wskazałaś, którą drogą iść będziesz; droga dobra i prosta przez wszystkie uczucia serca i przez wszystkie szczęścia przydatki zawsze ku wyższej doskonałości, zawsze wgórę, ku zbawieniu. Teraz już wolny troski, mogę Bogu dziękować, że panią piękną stworzył, i dziękowałem też pani, że jej słowa dały mi prawo do tego. Niechaj mi danem będzie jeszcze o ich zrzeczywistnieniu się dowiedzieć. Czy pani kocha kogo?

Młoda Osoba (*z półuśmiechem*).

Rodziców, siostry i brata.

Adeodat.

A kochanka?...

Młoda Osoba (*śmiejąc się bardzo głośno*).

Co za dziwne i śmiałe pytanie!

Adeodat (*poważnie.*)

Dlaczego tak dziwnem i śmiałem pani się zdaje?

Młoda Osoba.

Bo dosięga najwyłączniejszej własności ludzkiego serca. A panu co do tego, czy ja bogata, czy uboga? (*Śmieje się znowu.*)

Adeodat.

Śmiech pani od łez jest smutniejszy. Tym jednym śmiechem zaprzeczyłaś pani prawdzie lub raczej szczerości powiedzianych przy początku rozmowy naszej wyrazów. Gdyby w duchu i w naturze pani wszelki objaw uczucia był, jako mówiłaś, cnotą i świętością rozwinięty, wspomnienie o kochanku nie wywołałoby czczej pustoty na usta. Spotkany już, albo oczekiwany jeszcze, łączyłby się on zawsze w wyobraźni pani z pojęciem surowych życia obowiązków, z religijnem serca ku Bogu wzniesieniem, z nadzieją tego dobra, które przy wspólnej pracy jemu, rodzinie i ziomkom zapewnić będziesz pani mogła. Widać jednak, że tak nie jest. To słowo „kochanek“ przywodzi pani tylko na myśl pewną sumę przyjemności, czułych oświadczeń, zadowolonych wymagań, może nawet z dosyć arytmetyczną pewnością obliczonych zysków. Dlatego samej sobie nie zdając sprawy z tych wrażeń, czujesz pani potrzebę ukrycia ich w głębi swej duszy. Dlatego zowiesz je własnością swoją najwyłączniejszą i masz słuszność: najwyłączniejszą własnością człowieka są jego *słabości* i *grzechy*. Wszystko, co w nim jest czyste, nieskażone, poczciwe, wszystko to zawsze do Boga i do ludzi braci należy.

Młoda Osoba.

Jaki pan młody! Jaki pan naiwny! Prawda, że co u nas dobre jest, to należy do Boga; ale nie wszystko co do Boga należy, do ludzi należeć może; są perły, których na zdeptanie rzucać nie wolno.

Adeodat.

A któraż perła kosztowniejsza od tej, którą już pani podarowałaś mi pierwej? Jeśli godny byłem przyjąć wyznanie jej osobistego przekonania w rzeczach największej wagi, czemu mię pani od zatwierdzających je szczegółów usuwa? Gdyby pani cisnęła w moję stronę kwiat wonnej róży lub kamień, czyżby ją zadziwiło, że pytam „dlaczego?“ a kiedy do objaśnienia uczynku jego moralna zasada, jego wewnętrzne słowo jest mi potrzebnem, jakże stokroć więcej jeszcze do zrozumienia słowa każdego jest mi wiadomość o jego sposobie wykonania konieczną.

Młoda Osoba.

Cha! to już purytanizm przesadzony! Jeśli każde ogólne zdanie przyjdzie spowiedzią uczynków swoich popierać, wszyscy zamilkną podobno i nie znajdziesz pan nawet kwakra amerykańskiego do towarzyskiej rozmowy.

Adeodat.

Czy to ma znaczyć, że nie znajdę człowieka, któryby według uznanych przez siebie zasad *postępował?* No, to lepiej niech milczą wszyscy, wszyscy zapominający, że Bóg ich własnemi słowami sąd im kiedyś głosić będzie. Co do mnie, ja zawsze o tem pamiętam i nigdy sobie rozmowy o przedmiotach czci mojej, o zasadach mego przekonania, jako chwilowej rozrywki, nie lekceważę.

Młoda Osoba.

Szkoda, że mi pan zgóry tego nie zapowiedziałeś, byłabym ostrożniejszą.

Adeodat.

Ach! pani, gdybym mógł był przewidzieć, że takie zapowiedzenie jest dla niej potrzebnem, jużby się tem samem dla niej nieużytecznem stało.

Młoda Osoba.

Rozumiem. Pan nie zacząłbyś nawet mówić ze mną.

Adeodat.

Muszę przyznać, że pani dość sprawiedliwie myśl moję odgadła: nie zacząłbym z nią mówić, a przynajmniej mówić o prawdzie, o miłości, o Bogu.

Młoda Osoba.

Czy pan dziwak tylko, czy rzeczywiście lepszy od drugich człowiek? trudna do rozsądzenia sprawa. Żeby jednak przypadkiem „lepszego“ nie obrazić, wolę już nawet dziwakowi dogodzić. Odpowiem na pana zapytanie, odpowiem śmiało i wyraźnie, bo ja przez skąpstwo może, a nie przez wstyd i lekceważenie milczałam. Chciałeś pan wiedzieć, czy kocham? Więc *tak jest,* kocham, wkrótce nawet za mąż pójdę. A szczęśliwa, a dumna jestem wyborem moim: to ramię, na którem się wesprę, dobrych uczynków ułatwi mi spełnienie; to serce, któremu zaufam, nie zmarnuje miłości mojej na marzenia bez celu i samolubną pomyślność. Och! gdyby pan wiedział, jaka to dusza czysta, szlachetna, poświęcona! jakie wzniosłe o przeznaczeniu człowieka pojęcie! jakie na przyszłość zamiary!... Lecz panowie przecież mogą się z sobą zapoznać... on tu dzisiaj będzie.

Przyjaciółka nowo-przybyła (*zbliżając się do młodej osoby*).

Witam, witam piękną narzeczoną. Ach! moja droga, cuda słyszałam o twoich przedślubnych upomin-

kach: dyamenty w broszce szczególniej mają być prześliczne. A co za ekwipaż się gotuje!... Brat mi powiedział, że najpiękniejsze konie z całego ciechanowieckiego jarmarku dla ciebie są kupione...

Młoda Osoba (*do Adeodata z uśmiechem.*)

Niech się pan tem nie gorszy: to są małe ustępstwa światowym zwyczajom. Przed wydaniem stanowczego sądu proszę osobiście poznajomić się z zapozwanym.

Adeodat.

Choćby mię pani na ten raz bez litości w dziwactwo osądzić miała, przyznam się jednak, że jestem do zgorszenia się trochę usposobiony. Kiedy zwyczaj światowy nie ma w sobie chrześciańskiej prawdy, komuż to łatwiej powstać przeciw niemu, jak ludziom zpod władzy światowej wyzwolonym? A zaiste nie znam zupełniej, swobodniej wyzwolonych nad ludzi, co się przed Bogiem i przed bliźnimi wzajemną ukochali miłością. Czyż do ich szczęścia kilka okruchów zbytku cośkolwiek przydać może? W tych ważnych chwilach życia, które o kierunku całej przyszłości stanowić będą, stokroć potrzebniejszą jest *łaska Boża,* niż wszystkie ziemskie dostatki, a połączenie się w świętej myśli, w szlachetnym zamiarze i *pięknym czynie jakim* lepszą trwałości uczuć rękojmią, niż połączenie się w odurzającym najartystyczniejszych przyjemnostek zachwycie.

Młoda Osoba.

Ma pan wielką, wielką słuszność. Tylko czasem jedno drugiemu nie przeszkadza.

(*W tej chwili młody obywatel do salonu wchodzi.*)

Otóż łatwem się staje moje usprawiedliwienie.

(*Młoda osoba wita narzeczonego, zapoznaje go z Adeodatem i po kilku wymienionych grzecznościach zostawia samych, żeby swobodniej rozmówić się mogli.*)

Przyjaciółka (*do odchodzącej młodej osoby, półgłosem*).

Kto jest ten pan, co tak długie prawił ci morały?

Młoda Osoba (*także półgłosem*).

To jakiś zacny oryginał, któremu jednak miałam szczęście się podobać.

Przyjaciółka.

Biedny! zapóźno przybywa.

(*Adeodat słyszy to wszystko i dziwi się.*)

Obywatel (*do Adeodata*).

Pan od niedawnego czasu dopiero, i nawet, jeśli się nie mylę, po raz pierwszy w stolicy naszej gości?

Adeodat.

Tak jest, całe życie moje dotychczas zdala od świata samotnie przepędziłem.

Obywatel.

Jestem pewny, że pan znowu zatęskni do swojej ustroni. Niech co chcą mówią, my, potomkowie Piasta, rolnika, wśród pól i lasów tylko czujemy zdrowe dla piersi naszych powietrze.

Adeodat.

Jednak gdy piersi zdrowe, to i powietrze miejskie im nie szkodzi.

Obywatel.

Prawda, lecz też tylko nie szkodzi, na wsi zaś ożywia i utrzymuje: tam praca, tam nagroda jedyna. Może pan dał się uwieść tegoczesnym przemysłowym teoryom?...

Adeodat.

Och! bynajmniej, bynajmniej!...

Obywatel.

To wielkie szczęście; bo owe sztuczne trephauzowe nowości przygłuszają tylko rodzinne gruntu naszego płody.

Adeodat.

Przez ostrożność, zbyteczną może, ale chciałbym się dowiedzieć przecież, co pan właściwie „nowością“ nazywa?

Obywatel (*z uśmiechem*).

Widzę że pan się lęka, czy tym wyrazem wszelkiego nie objąłem postępu. Bądź pan spokojny. Uznaję postęp, szanuję go i pragnę, ale pragnę w pojęciu „ulepszenia“ więcej, niż w pojęciu odkryć, wynalazków i spekulacyj. Pierwej, nim rzeczywiście tych dodatnich środków zapotrzebujemy, wiele nam jeszcze do roboty na miejscu, koło siebie zostaje. Gospodarstwo wiejskie dzisiaj w kolebce dopiero. Każdy obywatel jest raczej ekonomem, niż panem w swoich dobrach: zasieje, zbierze i co się da z reszty, do kieszeni schowa. To jeszcze zupełnie służalcze zatrudnienie, to stan w połowie barbarzyński, a całkowicie pogański. Otóż — zamawiam sobie chwilkę pobłażania, póki się jaśniej nie wytłumaczę. Otóż, mówię, jabym chciał, żeby każdy z nas był na glebie swojej panem prawdziwym, żeby rządził i urządzał, żeby królował w dziedzictwie swojem według tego systematu, jaki mu się najlepszym wydaje. Nie wchodzę w rozbiór, czy najlepszym będzie istotnie, ale niech będzie jakikolwiek, byle z przekonania szczerego wysnuty, a wytrwałością podtrzymany. Zdaje się, że to niezbyt trudne zadanie; jednakże siedmiomilowe buty przydałyby się naszej generacyi, gdyby chciała tę jednę stacyą postępu

przed zejściem swojem ubiedz. Ile razy gazetę lub zagraniczny dziennik weźmiemy do ręki, każdemu z nas mniejwięcej przyjdzie jakiś koncept o lepszym, lub właściwszym, lub śpieszniejszym kierunku teraźniejszej historyi państw europejskich; żaden nie pomyśli, że on także historyą małego państwa swego kieruje, że ma pod ręką sposobność i obowiązek zastosowywania swoich pomysłów w tej mierze, bo na nieszczęście, jak to wspomniałem, żaden się panem i królem nie czuje. Kawałek kraju, kawałek królestwa na własność mu oddany, a słuszniejby się rzec godziło, *wydzierżawiony* przez Opatrzność, zdaje mu się tylko materyałem, utrzymanie i przyjemności życia zabezpieczającym. Nikt względem niego szlachetniejszych nie pojmuje obowiązków, nad obowiązek prostego wyzyskiwania. Są przecież, są ogromne moralne obowiązki. Właścicielowi jakiejbądź cząstki na tej ziemi nie wolno się samolubnym odgradzać interesem, nie wolno zasklepiać w ciasnem kółeczku swoich potrzeb i życzeń. Myśli jego, prace, przedsięwzięcia wszelkie silnym cementem z *całością* łączyć się winny. Jakąby chciał kiedyś ludzkość widzieć całą, taką powinien starać się ojcowiznę swoję uczynić. Jeśli uznaje, że ludzkości byt dobry potrzebnym, to niech się stara o byt dobry w ojcowiznie swojej: niech zasiewa odłogi, osusza błota, wznosi obszerne i porządne chałupy, hojnemi rękoma niech płacę zarobku sypie. Jeśli oświata jest w jego mniemaniu potrzebniejszą, to niech szkółki dogląda, dzieci egzaminuje, z przesądami starszych walczy. A jeśliby serce jego za religią głównie, za cnotą, za braterstwem między ludźmi tęskniło, to niechże cnotę i braterstwo szczepi: niech od pijaństwa odzwyczaja, rodziny godzi, obyczaje poprawia, niech się wspólnie krząta, smuci, pociesza i modli. Widzi pan, ja to zowię królestwem, panowaniem obywatela. Na *tym* gościńcu przedewszystkiem chcę postępu i wszelkich możebnych udoskonaleń; nowości przyjdą później, znajdą się w swoim czasie i miejscu, będą nawet pomocą te, co są trucizną dzisiaj.

Adeodat (*rozrzewniony*).

Niech pan raczej bez wszelkiej przenośni powie, że gdy ludzie zaczną kształcić moralną swoję naturę i sumienie swoje, to dopiero na gościniec prawdziwego postępu się wydostaną. Czy obywatele, czy urzędnicy, czy chłopi, czy panowie, dla wszystkich jedno prawo. Jeśli o *królestwo niebieskie* starać się będą, reszta przydana im zostanie. Nadużywano tych świętych wyrazów Ewangelii, utworzono z nich jakąś formułkę ascetycznego wyrzeczenia się i ubóstwa; tymczasem w nich tkwi najpraktyczniejsza, najważniejsza zasada ekonomii społecznej. Póki się ludzie nie zaczną starać o to, co jest dobre, sprawiedliwe i święte, póty im zawsze brakować będzie nawet tego, co jest wygodne, przyjemne i potrzebne. Wiek za wiekiem upływa i doświadczenie za doświadczeniem idzie, a nieomylność tego proroctwa i mądrość tego przykazania stwierdza się coraz dowodniej.

Obywatel.

Już-to zaprzeczyć trudno, że moralne udoskonalenie natury ludzkiej jest wspólną koniecznością dla szczęścia wszelkich stanów; ale przy dzisiejszym rzeczy układzie, dla nas szczególniej, postęp tak zwanych wyłączniej „obywatelskich“ stosunków i zasad jest niewątpliwie głównem teraźniejszości na przyszłość zadaniem. Same okoliczności to wskazują. Tu pan już masz gotowy do obrobienia materyał, masz przed sobą czas i przestrzeń, masz grunt, ludzi i władzę rozkazywania — idzie tylko o to, byś miał myśl w głowie, miłość w sercu i wiedział, co rozkazać.

Gospodarz domu (*zbliżając się do obywatela*).

Ciężkie czasy, ciężkie czasy, dobrodzieju! Urodzaje ogromne, żyto tanie, najemnik drogi! Po wieleż pan u siebie płaci?

Obywatel.

Po 40 groszy; ale i wódka trzy razy na dzień w przydatku.

Gospodarz domu.

Mój rządca pisze, że i za 2 złote nie chcą w naszych stronach wychodzić. Ciężkie czasy, ciężkie czasy! A cóż ta sprawa pana z zarobnemi wsiami, czy już skończona?

Obywatel.

Niebardzo zręcznie mój adwokat mi ją pokierował; teraz pójdzie pod decyzyą Senatu.

Gospodarz domu.

Pod decyzyą Senatu? no, to właśnie doskonale się trafia: zapoznam pana z osobą, wielkie tam wpływy mającą. Musisz pan jednak godzinkę czasu wśród nas wiściarzy przepędzić. Wiem, że to będzie wielkiem poświęceniem z jego strony; lecz interes przed szczęściem, mój panie młody.

(*Uśmiecha się znacząco.*)

Dam panu miejsce przy jego stoliku, zwykle on punkcik po pół rubelka grywa.

Obywatel.

Żal mi czasu, tego się nie zapieram; ale z wdzięcznością umiem cenić dobre chęci łaskawego pana i jestem na jego rozkazy.

(*do Adeodata.*)

Pan nie z nami?

Adeodat.

Nie, nie z panami.

(*Patrzy się za odchodzącymi i dziwi się.*)

Literat *(przysuwając się do Adeodata)*.

Niech się pan nie obraża, jeśli pomimo bardzo niedawnej znajomości naszej, dość osobliwem pana zaczepię pytaniem. Powiedz mi pan, ale to szczerze, nieobłudnie, czy pan dużo czasu na czytanie traci?

Adeodat.

Jeśli mam panu szczerze, nieobłudnie powiedzieć, to czasu mego staram się nigdy na nic nie tracić; więc też i przy czytaniu nie tracę go, lecz używam. Zdarza mi się niekiedy długo, po całych dniach, tygodniach i miesiącach czytywać; jednakże wszystkich książek, w stosunku do pana, do innych tutaj zgromadzonych osób, nadzwyczaj mało przeczytałem podobno.

Literat.

Co znaczy, że pan kilka prawdziwie dobrych i pożytecznych rozmyślił z przynależną uwagą, z właściwem ducha zebraniem, z korzyścią tak dla serca, jako też dla umysłu. Och! ja to zaraz odgadłem. Zbyt żywo pan czujesz, zbyt chętnie, jak mi mówiono, do pracy i do czynów się garniesz, abyś miał poczciwe chwile swoje cudzem próżniactwem, a szlachetne wrażenie cudzemi marzeniami zabijać. Literatura dzisiejsza w torpilę Śródziemnego morza się zmieniła: kto jej dotknie, to drętwieje.

Adeodat.

Lecz mnie się zdaje, że pan właśnie takby mówić nie powinien; od niego przecież zależy choć w części uderzenie drętwikowe piorunną iskrą podsycić.

Literat.

Czy dlatego, że mię ludzie autorem i literatem nazywają? Moje próby mniej lub więcej szczęśliwe posłużyły mi do lepszego rozpatrzenia się w tajemnicach rzemiosła; bo autorstwo istotnie *rzemiosłem* się

stało. Jest-to dziś pewien rodzaj krawiecczyzny. garncarstwa, młynarstwa, przędzalni i różnych warsztatowych wyrobów: jest-to kuglarstwo i zręczność, stowarzyszenie i przedsiębierczość.

Adeodat (*wskazując jakiś ustęp leżącej na stole gazety*).

Zbyt rozpaczliwych dobiera pan wyrażeń; przecież te słowa nie są krawiecczyzną, nie są warsztatowym wyrobem. te są napisane poczciwie i sumiennie.

Literat.

Albo raczej to są poczciwe i sumienne słowa niepoczciwie i niesumiennie napisane. Gdybym panu chciał wszystkie zakulisowe niteczki literackich maryonetek tłumaczyć i objaśniać. końcaby temu nie było; lecz mam wstręt nieprzełamany do Arystofańskiej metody, do wyprowadzania imiennych osobistości na scenę. Głosem i drukiem zawsze przeciw *ogółowi* tylko złego powstaję.

Adeodat.

A wielką łaskę tym samym czytelnikom pan świadczysz. Po co im się o człowieku dowiadywać, kiedy ze słów jego zdrowsze mogą mieć wrażenie, bez tego przydatku właśnie.

Literat.

Takie też to wrażenie, jaki człowiek! Kto dziś do myśli i do serca bierze przeczytane książki? Kto się z nich bogaci jakim moralnym nabytkiem? Kto je rozmyśla, pamięta? Prędko zpod pióra płyną, prędzej jeszcze przez ręce publiczności się prześlizgają; jedno z drugiego koniecznem jest następstwem. W jakim duchu, w jakiem usposobieniu autor dzieło swoje tworzy, mimowolnie bezświadomie czytelnicy w takim samym stosunku je przyjmują. Jeśli to jest płód talentu,

grający w poczciwe i sympatyczne słowa, to się zaiste będzie „podobał,“ wywoła kilka pochwalnych wykrzykników, zajmie chwil kilka przyjemną rozrywką; lecz na tem się jego wpływ ograniczy. Pod wyższym stopniem temperatury serdecznej ulotni się, pod niższym zlodowacieje. Czy pan słyszał, żeby w tych czasach książka ta lub owa, jak to niegdyś bywało, na opinią działała? żeby historycznemu zrównała wypadkowi? żeby od niej szła data pewnych wyobrażeń, zwyczajów, cnót, choćby pomyłek wreszcie? Może się panu zdaje, że do napisania takiej książki geniuszu potrzeba? Och! nie; ledwie talentu trochę. „*Emil*“ nie jest arcydziełem, a pan *Rousseau* nie był geniuszem; po wyjściu „Emila“ jednak matki z bogatszych warstw towarzystwa same zaczęły karmić dzieci. „*O skutecznym rad sposobie*,“ ta książka pewnie surowej nie wytrzyma krytyki; gdy się zjawiła przecież, sumienie całego narodu zadrżało u nas gniewem lub niepokojem, oburzeniem lub przyklaskiem. A dzisiaj czy gorzej piszą? czy nowych poglądów i ważnych tematów braknie? Owszem, owszem; zdolności są zadziwiające, nowości śmiałe i obfite; pomimo niektórych utrudzeń, temata tak ważne, jak spostrzeżenia doktorskie w dzień 13-ty przesilenia tyfusowego. I cóż ztąd, kiedy *namaszczania Bożego*, kiedy *iskry ożywczej* wszędzie i wszystkiemu nie dostaje. Literatura z tronu zrzucona, bo literaci błotem się obryzgali. Pan utrzymuje, że tak być nie powinno; według pana wszelkie gruntowne zdanie, wszelka zdrowa zasada powinna własną wartością ostać się między ludźmi i na ich pożytek plonować; jednak plonów nie widzimy. Nad *prawdą wyrazu* niech człowiek jak chce sofizmuje, zawsze *prawda ducha* górować będzie; nie ten gatunek zboża się przyjmie, który choć z najlepszych spichrzów dla drugich zasiejemy, ale ten który w nas samych się rodzi!

(*Z wistowego pokoju orderowy urzędnik przysuwa się do rozmawiających i słucha.*)

Adeodat.

Musisz pan chyba mieć słuszność. Ja sam tego wytłumaczyć sobie nie umiałem, lecz bardzo często zdarzało mi się czytać niby po myśli mojej napisaną książkę; czytałem jednak tak chłodno, tak bez zastosowania do żywych zdarzeń i wniosków, że aż na siebie samego oburzony byłem. Teraz jaśniej widzę tego niesmaku przyczynę. Nie wiem, czy panu znajomem jest na przykład dziełko „*O sztukach pięknych?*“

Literat (*wahając się nieco.*)

Czy mi jest znajomem? Tak... to jest... znam je, znam je bardzo dobrze...

Adeodat.

Są prześliczne ustępy; forma zdaje się czysto dydaktyczną, a przecież smutne jedynie polemiki zostawia wrażenie; znać, że autor więcej przeciw ludziom, niż za prawdą swego przekonania pisał.

Literat.

Więc pan tak je osądził? Cha, to pan bardzo niebezpieczny czytelnik.

(*Kłania się i odchodzi. Adeodat dziwi się coraz więcej.*)

Urzędnik.

Jeśli się nie mylę, rozmowa naszego zasłużonego w piśmiennictwie autora niekoniecznie w przyjemnem zostawiła pana usposobieniu?

Adeodat.

I owszem, powiedział mi jednę wielką prawdę; tylko ostatnich wyrazów jego zrozumieć nie mogłem.

Urzędnik (*śmieje się na całe gardło, a potem do ucha Adeodatowi półgłosem szepce.*)

Słyszałem trochę zboku. Najniewinniej w świecie wbiłeś pan ostrą szpileczkę za paznokieć naszemu luminarzowi. Toć to jego własne dzieło tak mu pan w oczy skrytykowałeś.

Adeodat.

Jego własne dzieło?... jego...

Urzędnik.

I cóż to pana zdumiewa? Jego własne, napisane z żółcią ukrytą, bo go w tym czasie jeden znakomity artysta obraził. Zawiść i pycha serca, to są dziś bardzo gadatliwe, bardzo wymowne muzy, a ten pan ich wychowankiem. Trudno mu pewnej zdolności odmówić: umie wiele i wiele potrafi. Tylko mądrość jego serc nie rozgrzeje; bo z nią *łaska Boża* nie jest. Łaska Boża z nią nie jest; bo jej brak *pokory* i *ofiary*, a pokora i ofiara, och! to jedyne skrzydła, któremi dusza ludzka unieść może w sferę skutecznej pracy, olbrzymiej siły i cudów dziejowych. Pokora i ofiara, to dwa oblicza miłości najczystszej, najświętszej, miłości prawdziwie Chrystusowej; gdyż *pokora* jest ukochaniem prawa Bożego; *ofiara* jest znienawidzeniem własnych grzechów i własnych skłonności nikczemnych. Przez pokorę człowiek zatapia się w myśli Bożej, ucha nadstawia poszeptom Ducha świętego; nie rozumem, buntowniczym, nie fantazyą zbłąkaną, nie pokusą namiętną, lecz wyższem natchnieniem się rządzi; nie z siebie, lecz z nieba czyta i głosi prawdy wiekuiste. Przez ofiarę czyn jego martwy ożywia się dopiero: przez ofiarę jałmużna wspiera; przez ofiarę dobra rada uczy; przez ofiarę tylko ze stosunków naszych z bliźnimi usuwa się wszelka osobistość, wszelki cień samolubstwa; przez ofiarę nasze zaczepne *Ja* ginie zupełnie, a w miejscu jego staje Bóg sam, Bóg celem i przy-

czyną każdego naszego kroku będący. *Pokory* więc i *ofiary!* wołam ciągle do młodzieży naszej. Ale głos mój jest głosem wołającego na puszczy. Głowy zbyt pełne, serca zbyt puste u wszystkich. Pozbawione równowagi to, co zbyt pełne, nizko upada i w brudzie ziemskim się tarza; to co zbyt puste, na powietrzu bez żadnej buja sobie podstawy—inteligencya służy zaspokojeniu potrzeb, serce dziwactwom chwilowym! Kto ma bystrzejsze umysłowe zdolności, używa ich na wyrobienie sobie karyery; komu serce uderza, to chyba do jakich rozmarzających utopij. Prawdy życia, zgody między swojem powołaniem a przeznaczeniem ludzkości, między jednostką a ogółem, między ideałem a możliwością nikt dzisiaj w ustrój praktyczny nie sprzęże, bo nikt w sobie pokory nie ma, nikt ofiarować się nie umie; ofiarować dla myśli Bożej i dla prawdy ukochanej ofiarą prawdziwą, ofiarą Abla, ofiarą Izaaka na stosie, Chrystusa na krzyżu.

Adeodat.

Są jednak ludzie cichej duszy i pokornego serca, ludzie...

Urzędnik.

A ja panu powiadam, że ich niema. Gdyby takie drzewa rosły w naszych ogrodach, czy tam lasach, toć przecię znaćby je było po ich owocach. A gdzież — obejrzyj się pan dokoła—gdzie tu pokory i ofiary owoce? Nędza, ucisk, kłamstwo, zepsucie, martwota: oto są gorzkie jagody rozrastających się po ziemi naszej cierni.

Adeodat.

Ale bo może ciernie więcej tylko w oczy biją, to je prędzej dojrzeć możemy, owoce zaś pokory, pokorne właśnie, więc niedostrzeżone, ziarenka ofiar drobne, jak ziarenka żyta naszego. Chcielibyśmy, żeby każde cedrem zaraz wyrosło, a tymczasem ono kłosem rośnie

i wiele, wiele ich trzeba, nim pole całe okryją; lecz gdy okryją, gdy dojrzeją, to z cedru może piękna ozdoba, może trumna będzie wspaniała; z ziarneczek ofiarnych chleb — z chleba siła i życie.

Urzędnik.

Ale kiedy ja panu raz jeszcze powtarzam, że niema dziś nawet ziarneczek żyta drobniutkich...

Adeodat.

Trudno mi potępieniem na świat cały cisnąć...

Urzędnik.

Bo pan młody; bo pan także zarozumiały; bo panu się zdaje że jesteś szlachetny, sumienny, do poświęceń gotów. Och! zaczekaj! zaczekaj! niech przejdzie jedna próba za drugą, niech cię miejsca spodziewane ubiegną, niech zasłużonej nie dadzą nagrody, niech się przepchnie naprzód i wyścignie pana lada głupiec nikczemny, dopiero wtedy będziesz pan mógł rozsądzić w sobie, czy pokornym jesteś, czy ci łatwą ofiara? Przy pacierzu, w kościele, do którego nas matka zaprowadzi, lub między stosami książek jakiej biblioteki spokojnej, lub jeszcze zresztą na uniwersyteckiej ławie zdaje nam się, że wszystkiemu wydołamy bez trudności, że tak wiernie Panu Bogu służyć, że tak tkliwie ludzi kochać będziemy! A proszę tylko głowę na świat wychylić, wszędzie intryga, wszędzie zawiść; każdy pnie się po szczeblach fortuny, choćby dziesięciu innych na złamanie karku miał zrzucić. Więc powoli młody zaczyna się bronić; zaczyna trzymać mocniej, żeby nie upadł; wkońcu sam łokciami rozpycha: egoizm, jak dżuma niewidzialna, powietrzem zaraża i dotknięciem truje.— Czy pan widziałeś kiedy człowieka, coby wolał być na ostatniem, niż na pierwszem miejscu, wolał być ubogim, niż bogatym, zapomnianym, niż sławionym? Zapewne pan takiego na żywe oczy nie spotkał nigdy. Jednakże taki tylko mógłby się od

ogólnej choroby ustrzedz. Idź z latarnią go szukaj. *Pokory* i *ofiary!* wołam głosem wołającego na puszczy: *pokory* i *ofiary!...*

Adeodat.

Święte słowa pańskie!

Młody Obywatel *(przychodzi i grzecznie się skłania.)*

Teraz na pana kolej znowu: robr już rozegnany.

Urzędnik.

A przy kim szczęście?

Młody Obywatel.

Przy zasłudze, choć to się nie często zdarza; pan górą między nami.

(*Oddalają się; Adeodat zostaje sam, patrzy za nimi i dziwi się ogromnie. Po chwili wysuwa się niepostrzeżony z salonu.*)

Adeodat (*idąc przez sień*).

Święte słowa! Tak jest, ci ludzie na pamięć wszystkie święte słowa umieją!...

Adeodat pod strychem.

Adeodat.

Byłem w chaosie ludzi bardzo uczonych i bardzo bogatych; tak mi się smutno zrobiło, że do ciebie, bracie, na pociechę i wypoczynek zaszedłem.

Ubogi Młodzieniec.

Łóżka lub tego jedynego stołka chętnie ci na wypoczynek ustąpię; ale na pociechę to ani jednej myśli nie mam w głowie.

Adeodat.

Masz zawsze przynajmniej poczciwe w sercu uczucie; mnie ono wystarczy.

Ubogi Młodzieniec.

Właśnie zaczynam wątpić, czy się choćby i na poczciwe uczucie zdobędę.

Adeodat.

Już przywykłem do smutku twojej twarzy, mój bracie, lecz słów tak gorzkich nie spodziewałem się usłyszeć od ciebie.

Ubogi Młodzieniec.

Gorzkie słowa? toć *one* tylko życie mi cukrują. Póki sam siebie oskarżam, póty mi łatwiej od skargi na drugich się wstrzymać. Póki rozmyślam o własnem niedołęztwie, o własnem lenistwie, o własnej nieużyteczności, póty mi jeszcze dość wesoło na świecie, jak tylko przypuszczę, że ja mogę być niekoniecznie najgorszym z ludzi, że są inni gorsi daleko, szkodliwsi daleko, to chciałbym zaraz oknem na bruk wyskoczyć; bo jak szkaradną byłaby ziemia, na której mnie podobni mogliby się do trochę lepszych liczyć.

Adeodat.

Bracie, porzućmy sarkazm i szyderstwo; ty wiesz, jak wstrętne są mojej naturze. Mówmy lepiej otwarcie, szczerze, poważnie. Co jest główną twego zniechęcenia przyczyną? Może ubóstwo?

Ubogi Młodzieniec (*po chwili namysłu*).

Już kilka razy sam sobie zadałem to pytanie; lecz nie — sumienie przy najściślejszem badaniu zawsze mówi: *nie*. Kiedy widzę bogatych, widzę też natychmiast ciążącą na nich odpowiedzialność i otaczające ich pokusy. Większa część ubogich przypatruje się powierzchownie blaskowi zbytku i myśli sobie, że gdyby w jej ręce skarby się dostały, toby ich lepiej użyć potrafiła. Ja nie mam tego złudzenia, wiem, że koło ulubieńców fortuny *zmieniają się wszystkie zewnętrzne losu i zdarzeń warunki*, a tem samem i oni *wewnątrz* zmieniać się muszą. Co do mnie, prawda, że nie chcę być takim, jakim jestem: lecz nie chcę być także takim, jakimi oni są. W usposobieniu mojem leży łatwość wyrzeczenia się wszelkich wygód zmysłowych Na strój, na błyskotki modne, na wierzchowce i koczyki, na Lukullusowe obiady i wina zagraniczne wcale chciwością nie grzeszę. Jedwabne słówka, wyszukane grzeczności, uprzejme nadskaki-

wania i pochlebstwa nie nęcą mię także; bo „w ten sposób“ próżnym się nie uznaję. A ponieważ przy największym majątku, *to* jedynie zapewniłbym sobie, więc nieobłudnie, w głębi ducha rozstałem się już ze wszelkiem o bogactwie marzeniem. Jest jedyna fantasmagorya, która mi często jeszcze głowę zawraca: niezależność! Być niezależnym, mieć dla siebie każdą dnia godzinę, mieć przed sobą wszystkie strony świata otwarte, chodzić, myśleć, pracować według natchnienia, a nie według zegarka i czyjegoś rozkazu — och! bracie, to mnie strasznie rozmarza niekiedy!

Adeodat.

Więc już przyczyna złego odkryta: brak ci niezależności.

Ubogi Młodzieniec.

Mylisz się na nieszczęście, mój drogi. Daj mi dziś niezależność: jutro rano może trochę dłużej spać będę; ale jak się obudzę, już nie będę wiedział, co z nią robić. Mówiłem, że chcę chodzić, myśleć, pracować według natchnienia. Chodzić? a gdzie pójść? — czy jest miejsce jakie lepsze jedno od drugiego? czy mię tam lub owdzie potrzebują? czy ja się zdam na co kędy?— Myśleć? a poco mnie myśleć?—Gdybym mógł, tobym sobie mózg z czoła wyrzucił, żeby nie myśleć właśnie. A praca niezależna? — Czy ty jej wierzysz, bracie? Ja to już nie wierzę wcale. Dzisiaj pracuję, bo muszę mieć bułkę na śniadanie i choć codrugi dzień porcyą rosołu ze sztuką mięsa na obiad; muszę mieć buty i tużurek na plecach, a ten kawałek dachu nad moim tapczanem. Lecz gdyby mię codzienna nędza biczem nie zacinała, pewniebym ręce jak Turek na piersiach skrzyżował i patrzył wgórę na muchy, co po suficie chodzą. O ile więc to jest prawdą, że człowiek pracować powinien, o tyle ja ubóstwu mojemu zawdzięczam jedynie spełnienie człowieczej powinności. Im więcej się zastanawiam, tem głębszego nabie-

ram przekonania, że od zepsucia, od szaleństwa, od samobójstwa może ubóstwo głównie strzegło mię dotychczas. Niezależność strułaby mię prędzej, niż *laudanum.*

Adeodat.

A zatem pokazuje się, że nie zewnętrzne okoliczności ciebie drażnią, ale wewnętrzne usposobienie.

Ubogi Młodzieniec.

Sam ci to przecież powiedziałem: ze wszelkiego złego, ja sam sobie najgorszy.

Adeodat.

Nie nadużywajmy wyrazów. Kiedy się najgorszym przezywasz, to mi powiedz, czyjej pragnąłeś krzywdy? kogo zamordowałeś, okradłeś, spotwarzyłeś? Co już zrobiłeś lub chciałeś złego uczynić?

Ubogi Młodzieniec.

Wielka mi zasługa, że się jeszcze w drogę do policyjnego więzienia nie wybrałem. Ale mię spytaj, bracie, co ja zrobiłem, lub co ja chcę dobrego zrobić? to dopiero trudna przeprawa. Najpierw, od póki wiem, że żyję, nie zrobiłem nic. Ani jednemu człowiekowi życia nie uratowałem, ani jednej nędzy nie wsparłem, ani jedną skuteczną przysługą pochwalić się nie mogę. Radziłem sumiennie, lecz moje rady nie przydały się nikomu; kiedy chciałem błądzącego na dobrą drogę wprowadzić, to mię wyśmiał; kiedy chciałem smutnego pocieszyć, to się później jeszcze gorzej spłakał; kiedy chciałem... och! mój bracie—czegóż-bo ja nie chciałem! A wszystko zawiodło. Biłem głową o mury, i głowa się roztłukła, mury nie pękły nawet; kręciłem bicz z piasku, i piasek się rozsypał, zwyczajnie jako piasek. Teraz już nie chcę niczego. Widzę, że jest jakaś nieprzeparta, historyczna siła nad narodami

i nad pojedynczymi ludźmi; choćbym się rzucał jak wściekły i po mojej klatce rozbijał, to na nic się nie przyda. Jeszcze wierzę w Opatrzność, wierze w mądrość nieodgadniętą, która z namiętności i występków, z cnót i prac ludzkich układa część wiadomego sobie arabeska. Dlatego na oślep w miejscu stoję; dlatego obracam korbą przy maszynce mego życia. Ale czemu obracam? — nie wiem.

Adeodat.

A nie wiesz dlatego tylko, że ci miłość w sercu zastygła.

Ubogi Młodzieniec.

Cha, tryumfuj! Pono w sam środek wrzodu ugodziłeś. Tak, mój bracie, zawiele już cierpiałem i traciłem. Po wielkich boleściach, tęsknotach i zawodach miłość w sercu zdrętwiała. Nie dość kocham, bo wkoło mnie sami obojętni i nienawistni. Nie dość kocham, bo się długo i szczerze modliłem, a Bóg mię nie wysłuchał i w sądach swoich przeciw niewinnemu stanął.

Adeodat.

Odpuść mu, Panie, on nie wie, co mówi! on kocha nawet—tylko się przestał spodziewać!

Ubogi Młodzieniec.

Och! ja wiem dobrze co mówię. Mówię to samo, co mówił Job na śmiecisku, co mówił Ezdrasz wśród postów i umartwień.

(*Otwiera biblią i czyta.*)

Ks. IV, Ezdrasz (roz. 3 w. 29 do 36). „Stało się, gdym tu przyszedł i obaczyłem niezbożności, którym liczby niemasz: i wiele występnych widziała dusza moja tego trzydziestego roku i odchodziło odemnie serce moje.

Iżem widział, jako znosisz te grzeszące i przepuściłeś niezbożnie czyniącym, a zatraciłeś lud Twój i zachowałeś nieprzyjacioły Twoje, a nie oznajmiłeś.

Nic nie pamiętam, jakoby ta droga miała być opuszczona: azaż lepsze sprawy czyni Babilon, niż Syon?

Albo Cię który inny naród poznał, oprócz Izraela? albo które pokolenia uwierzyły świadectwom Twoim, jako Jakubowe? których zapłata nie pokazała się, ani praca przyniosła pożytku.

Bo przechodząc, przeszedłem między narody i widziałem je obfitujące i nie pamiętające na rozkazania Twoje.

Teraz tedy zważ na wadze nieprawości nasze i onych, którzy mieszkają na świecie, a nie najdzie się imię Twoje, jedno w Izraelu.

Albo kiedy nie grzeszyli przed Tobą ci, którzy mieszkają na ziemi? albo który naród tak strzegł przykazania Twego?

Te jednak najdziesz mianowicie, że zachowywali przykazania Twoje; ale poganów nie najdziesz.

(roz. 4. w. 1 do 11.) „I odpowiedział mi anioł, który był do mnie posłan, któremu imię Uryel. I rzekł mi: Przechodząc, przeszło miarę serce Twoje na tym świecie i myślisz ogarnąć drogę Najwyższego.

I rzekłem: Tak, Panie mój. I odpowiedział mi i rzekł: Posłanem jest, abym ci okazał trzy drogi, a przełożył przed tobą trzy podobieństwa: z których, jeśli mi jednę zgadniesz, i ja tobie okażę drogę, którą pragniesz widzieć, a nauczę cię, zkąd jest serce złośliwe.

I rzekłem: Mów, Panie mój. I rzekł do mnie: Idź, zważ mi wagę ognia, albo pomierz mi wianie wiatru, albo wróć mi nazad dzień, który przeminął.

I odpowiedziałem i rzekłem: Któż z urodzonych to uczynić może, że mię o to pytasz?

I rzekł do mnie: Gdybym cię pytał mówiąc: jako wiele jest mieszkania w sercu morza? albo: jako jest źródeł na początku przepaści? albo: jak wiele jest zdrojów nad utwierdzeniem? albo: które są wyjścia z raju? — rzekłbyś mi snadź: Nie zstępowałem do prze-

paści, ani jeszcze do piekła, do niebam też nigdy nie wstępował.

A teraz nie pytałem cię jedno o ogniu, o wietrze, a o dniu, przez któreś przeszedł, i od których oddalon być nie możesz; a nie odpowiedziałeś mi o nich.

I rzekł mi: Ty co jest twego, z tobą zrosło, poznać nie możesz. A jakoż naczynie twoje będzie mogło ogarnąć drogę Najwyższego? i gdyż się świat już zewnątrz zepsował, zrozumieć zepsowanie jasne przed obliczem mojem?“

A cóż, bracie, czy nie to samo prawie, choć innemi słowy, mówiłem? Zraziła mię niesprawiedliwość tego świata, zraziły zasłużone i niezasłużone cierpienia—wytłumaczyć je sobie chciałem nadaremnie; więc jako posłuszne zwierzę przy zaprzęgu stanąłem i przestałem się troskać, by naczynie moje ogarnąć mogło drogę Najwyższego.

Adeodat.

A w tem grzech twój właśnie. Masz księgę świętą w ręku, czytaj. Ezdrasz nie dał się nawet głosem anioła ucieszyć: powtórnie modlił się, i płakał i pościł przez dni siedm i wołał wołaniem głośnem, aż mu rzeczonem było: (roz. 5, wiersz 33, 34.). „Bardzoś się ty myślą wyniósł za Izraelem: izaliś go ty więcej umiłował, niźli który go stworzył? — Nie, Panie, ale *żałując*, mówiłem — odpowiada — i słowa Pańskie nie zmilkły w jego uchu.—Przewracaj kartę za kartą, ucz się, jaką-to cierpliwością, jakiemi trwogami, w jakich prośbach i pokłonach zdobywa się ta łaska Pańska, „aby słudze swemu pokazał, przez kogo nawiedza stworzenie swoje.“ (w. 55).

(*Ubogi Młodzieniec zaczyna karty przewracać, Adeodat wraz z nim pochyla się nad księgą żywota.*)

Ubogi Młodzieniec.

Gdzie oko padnie, tam się z wykrzykiem własnego bólu dusza spotyka. (roz. 5, w. 35.) „Na cóżem się

narodził, albo przecz żywot matki nie stał mi się grobem, abym był nie widział utrapienia Jakub, i spracowania narodu Izrael.“

Adeodat.

Przy każdem wylaniu skargi cierpiącego ja znów obietnicę i pociechę Bożą znajduję: (roz. 5, w. 36, 37, 40.) „Obrachuj mi co jeszcze nie było, a zbierz mi krople rozpierzchnione, a uczyń mi z zwiędłych kwiatków zielone. i otwórz mi zawarte jamy. a wypuść wiatry w nich zamknione, ukaż mi obraz głosu; a tedyć ukażę przyczynę utrapienia, którą pragniesz widzieć... Jako nie możesz jednej z rzeczy tych, którem powiedział, tak nie możesz naleść sądów moich, ani miłości na końcu którąm obiecał ludowi.“

Ubogi Młodzieniec.

(w. 41.) „Ale oto, Panie, Tyś blizki jest tym, którzy na końcu będą: a cóż czynić będą, którzy przedemną byli, albo my, albo ci, którzy po nas?...“

Adeodat.

(w. 48, 49.) „Jam dał ci macicę ziemi; ci, którzy na niej są, posiani za czasem. Bo jako dzieciątko nie rodzi tego. co starym należy, takem ja rozrządził świat odemnie stworzony.“

Ubogi Młodzieniec.

(roz. 6, w. 7.) „I rzekłem: któreż będzie rozdzielenie czasów?...“ a tu stoi: (w. 10.) „O więcej się nie pytaj. Ezdraszu!“

Adeodat.

(w. 16.) „Albowiem o tych rzeczach mowa drży i trzęsie się, iż wie. że koniec ich musi się odmienić.“ Jednak pan mówi dalej, Ezdrasz dalej słyszy: (w. 25 do 27).

„I będzie każdy, kto pozostanie z tych wszystkich, którem opowiedział, ten zbawion będzie, i ogląda zbawienie moje i koniec wieku waszego.

„I ujrzą ludzie, którzy są przyjęci, którzy nie ukusili śmierci od narodzenia swego i odmieni się serce mieszkających, a obróci się w inakszy zmysł.

„Bo złość będzie złagodzona, a zdrada zagaszona. A zakwitnie wiara, a skaza będzie zwyciężona i ukaże się prawda, która przez wiele dni była bez pożytku.“

Ubogi Młodzieniec.

Lecz tymczasem Ezdrasz powtarza: (roz. 6, w. 59). „Jesli świat jest dla mnie stworzon, przeczże nie mamy dziedzictwa ze światem. A pókiż to?“

Adeodat.

(roz. 7, w. 6 do 9.) „Jest miasto zbudowane, a w polu położone, a jest wszego dobra pełne. Wejście do niego ciasne i na przykrem miejscu położone, tak, iż po prawej stronie ogień, a po lewej woda głęboka. A tylko jedna ścieżka leży między niemi, to jest między ogniem a wodą, tak iż nie może się na ścieżce zmieścić, jedno tylko stopa człowiecza.“

„A jeśli miasto będzie dane człowiekowi w dziedzictwo, jeśliby nigdy przed sobą położonego niebezpieczeństwa nie przeszedł, jakoż weźmie dziedzictwo swoje...“

Ubogi Młodzieniec.

(roz. 6, w. 49, 50.) „A cóż nam za pożytek z tego, iż nam obiecan jest czas nieśmiertelny, a myśmy śmiertelne sprawy czynili—i że nam opowiedziana jest nadzieja wieczności, a myśmy się złymi i nikczemnymi stali?...“

Adeodat.

(Roz. 8, w. 2, 3.) „A przełożęć podobieństwo Ezdraszu: Jako spytasz ziemi, i rzeczeć, iż doda wię-

cej gliny, z którejby było garncarskie naczynie, a mało prochu, z którego bywa złoto: tak i sprawa wieku niniejszego. — Wieleć ich wprawdzie stworzonych, ale mało będzie zbawionych.“

Ubogi Młodzieniec.

Na taką pociechę, to masz bracie następujące słowa: (w. 4, 5.) „Połknij tedy, duszo, zmysł, a zjedz coć smakuje. — Boś przyszła słuchać i chcąc prorokować—boć nie dano czasu, jedno tylko ku życiu.“

Adeodat.

Och! nie—nie—za temi słowami idzie długa, pokorna modlitwa — długa, bo właśnie po takim buntowniczym jęku głos Boży nieprędko się odezwie — pokorna, bo musi w łzy i miłość roztopić wszelkie szyderstwo wewnętrzne.

(w. 6.) „O Panie! jeśli nie dopuścisz słudze Twemu, abyśmy się modlili przed Tobą, a nie dasz nam nasienia sercu i zmysłowi wyprawy, zkądby poszedł owoc—zkądże będzie mógł żyć wszelki skażony, który poniesie miejsce człowiecze?“

(w. 15—17.) „O wszelkim człowiecze Ty lepiej wiesz; ale o Twoim ludu, dla którego boleję, i o dziedzictwie Twojem, dla którego płaczę, i o Izraelu, dla którego się smucę, i o Jakubie, dla którego się frasuję.

Dlatego pocznę się modlić przed Tobą za się i za nie; bo widzę upadki nasze, którzy mieszkamy na ziemi...

(w. 26, 27.) „Ani patrz na występki ludu Twego, ale na te, którzy Tobie w prawdzie służą. Ani poglądaj na niezbożne sprawy narodów, ale na te, którzy świadectwa Twoje z boleściami zachowali...

(w. 31, 34.) „Bo my i ojcowie nasi takiemi niemocami chorujemy: ale Ty dla nas grzesznych miłosiernym będziesz nazwany...

„Albowiem cóż jest człowiek, żebyś się nań miał gniewać: albo naród skazitelny, żebyś miał być tak gorzki przeciw niemu.“

Nakoniec, nakoniec Pan się przebłagać daje i odpowiada i rzecze (w. 37 do 39):

„Dobrześ niektóre rzeczy mówił, a wedle powieści twych tak się stanie:

„Iż za prawdę nie będę baczył na dzieło tych, którzy grzeszyli, przed śmiercią, przed sądem, przed zginieniem.

„Ale się będę kochał w sprawach ludzi sprawiedliwych, i będę też pamiętał na gościnę, i na zbawienie i na zapłaty odniesienie.“

Tak ciągle po każdej groźbie nowa, coraz świetniejsza obietnica idzie: (rozdz. 8, w. 50 do 54) „Wielkie nędze i politowania godne przypadną na te, którzy mieszkają na świecie czasów ostatecznych: w wielkiej pysze chodzili.

„Ale ty i dla siebie rozumiej, a dla tobie równych szukaj chwały. Boć wam jest raj otworzony, drzewo żywota wsadzone, przyszły czas zgotowany jest, nagotowana obfitość, zbudowane jest miasto, doświadczone odpocznienie, dokonana jest dobroć i dokonana mądrość.

„Korzeń złości zapieczętowan jest przed wami, niemoc i mól zakryty jest od was: a skażenie uciekło do piekła na zapamiętanie. Boleści przeminęły, a na końcu okazał się skarb nieśmiertelności...“

Och! bracie, zrozumiesz wszystko—tylko (w. 55): „Nie pytaj więcej o mnóstwo tych, którzy giną.“ — Słuchaj lepiej co mówi Pan do tych, których jako złota w ogniu próbuje, miłymi swoimi nazywa: (roz. 16, w. 75, 76.) Oto blizko są dni utrapienia i z tych was wybawię. Nie bójcie się, nie wątpcie, boć jest Bóg wodzem waszym.“

Ubogi Młodzieniec.

Kiedy czytasz słowa podobne, co ci na myśl przychodzi, Adeodacie?

Adeodat.

Kiedy czytam słowa podobne, to mi do serca nadzieja wstępuje, duch silną wiarą się krzepi i miłość z utęskieniem radosnem i zachwyceniem ku przyszłości biegnie.

Ubogi Młodzieniec.

A ja tylko myślę sobie: że to już z półtrzecia tysiąca lat temu, jak ludzkość ciągle jedną, ciągle tąż samą skargą się odzywa i na tej samej obietnicy poprzestawać musi.

Adeodat.

Błogosławieństwo obietnicy takiej! błogosławieństwo prawdzie i słowu, które na lat tysiące wystarcza dla ludzkości całej!

Ubogi Młodzieniec.

Lecz Izrael w rozproszeniu!...

Adeodat (*przyciskając do swej piersi głowę młodzieńca*).

Przebacz, Panie, słabemu dziecięciu Twojemu; bo i Rachel, płacząca synów swoich, nie chciała się dać pocieszyć, iż ich nie ma.

Adeodat na ulicy.

Chłopczyk (*w koszuli pod murem*).

Matula chora, jeszcze dziś nic nie jadłem, mój dobry panie, daj mi choć ze dwa grosze, mój dobry, mój kochany panie!

Adeodat.

Gdzież to jest matula twoja? na co chora? czy nie wiesz?

Chłopczyk.

Matulę do szpitala powieźli.

Adeodat.

No, to pójdź ty ze mną, dam ci mleka i chleba, sprawię ci sukienki cieplejsze i zaprowadzę do szkółki, w której się nauczysz Pana Boga chwalić, a na pieniądze własną pracą zarabiać.

Chłopczyk.

Piękny mi dobrodziej!...

(*Wyciąga na niego język i co sił starczy ucieka. Adeodat wzdycha boleśnie.*)

Kobieta w łachmanach.

Dobrodzieju! łaskawco! Panie mój litościwy! zmiłuj się nademną biedną wdową! Oto mi córka umarła, i nie mam jej za co pochować.

Adeodat.

Nie masz za co umarłej córki pochować? Jakażto nędza musi być okropna! Powiedz, gdzie mieszkasz, zaprowadź mię do siebie.

Kobieta.

Och! mieszkam bardzo daleko ztąd na przedmieściu, za rogatkami. Jeśli pan nie wierzy, to jest świadectwo komisarza.

(*Podaje mu zabrudzoną karteczkę, Adeodat czyta i dziwi się.*)

Kobieta *(płacząc coraz głośniej)*.

Wczoraj straciłam ostatnią podporę mojej starości! Co ja teraz poczne sama jedna sierota na świecie! och! mój Boże! mój Boże!

Adeodat *(patrzy smutnie i z niedowierzaniem na twarz kobiety)*.

Więc, jak powiadasz, wczoraj twoja córka umarła?

Kobieta.

Wczoraj, wczoraj, onegdajszego dnia, miły panie! tak mi się już z wielkiego żalu w głowie pomąciło.

Adeodat.

Na tej kartce jeszcze dawniejsza, niż dzień onegdajszy, data.

Kobieta.

To i cóż, że dawniejsza, a trup leży na barłogu. Niech pan sam pójdzie zobaczyć.

Adeodat.

Tak jest, pójdźmy. Chcę mieć w tej sprawie spokojne sumienie.

Kobieta.

Właśnie też! pójdźmy! Czy ja mam czas do tracenia? Czy ja wiem, co mi pan da, jak pójdzie, a tymczasem mogę sobie z kilka złotych uzbierać.

(Odchodzi, mówiąc półgłosem.)

Bodajbyś przepadł, sknero obrzydliwy!

Adeodat (*zatrzymując ją nagle*).

Nie przeklinaj, kobieto. Wszakże ja chciałem dobry względem ciebie spełnić uczynek, a ty mi właśnie wiele złego wyrządziłaś. Słowa przekleństwa na twoję głowę zwrócićby się mogły.

Kobieta.

Daj mi pan pokój! co ja panu wyrządziłam złego? czy okradłam pana? czy zabiłam? czy co?

Adeodat.

Gorzej, niż gdybyś była okradła, bo mię zgorszyłaś kłamstwem swojem. Wszak sama widziałaś, że na pierwszą wzmiankę o twojem nieszczęściu gotów byłem z najchętniejszą pomocą śpieszyć. Teraz, gdy się przekonałem, że to na wyłudzenie tylko jałmużny niegodnie zmyślona bajka, czuję pomimowolnie do każdej nędzy zbudzoną nieufność Gdyby w tej chwili przyszła do mnie jaka matka naprawdę taka biedna, jak ty mi się biedną przedstawiałaś, jużbym jej nie uwierzył, odwróciłbym się ze wstrętem; bo zaraz twoje oszustwo w pamięciby mi stanęło. Zgrzeszyłbym ciężko może, ale zgrzeszyłbym z twego powodu i ona z twego powodu bez wsparcia odejśćby musiała. Za mój grzech, za jej nędzę opuszczoną, ciebieby wtenczas kara Boża dotknęła. Czy wątpisz o tem? Patrz na swoje łachmany, przelicz wszystkie wyłudzone zyski; wspomnij sobie o każdej obeldze, o każdem potrąceniu, które już znieść musiałaś, i powiedz mi dopiero, czy

szczęśliwa jesteś? A nie dość na tem, kobieto: przyszłość jeszcze groźniejsza, z chorobą i śmiercią nieopłakaną przez nikogo, cię czeka! Och! Bóg się prędko dopomni u ciebie i u podobnych tobie krzywdy swojej własnej. Bo wy nieszczęśliwi, obłąkani, wy nie bogatszych, wy Boga samego krzywdzicie... Poniżyliście najzaszczytniejszy stan chrześcianina — ubóstwo; wydaliście na wzgardę i podejrzliwość największą świętość ludzką — cierpienie. W cóż się obróci ta ziemia, jeśli na niej biedy nawet i nędzy uszanować nie będzie można? A ten Chrystus, co powiedział, że nagi przyjdzie żądać odzienia, głodny chleba kawałka, spragniony szklanki wody, smutny słowa pociechy; ten Chrystus, gdy go odepchną i powiedzą: „kłamiesz, tak wszyscy żebracy kłamią“ — czyż On twardości serc nielitościwych i na was poszukiwać nie będzie? czyż On i do was nie zwróci zagniewanej twarzy, i czyż pytać was nie będzie: „Czemużeście bluźnili strapieniu mojemu? Czemużeście znieważyli obraz mój najpodobniejszy?“ Och! wierz mi, kobieto, przyjdzie na wszystkich straszliwa chwila surowych z Bogiem rachunków. Biada ci, jeśli za swoje życie, pełne i tak kłopotów, zmartwień, niepokojów, za życie, którem właśnie najprędzejbyś zbawienie sobie kupić mogła, ty jeno potępienia wieczność całą kupisz.

Kobieta (*trochę zmieszana*).

Łatwo to panom gadać; ale kiedy raz i drugi człowiek uczciwie na chleb zarobić nie może, to się stara różnym sposobem. Przecież żyć trzeba, kiedy Bóg stworzył.

Adeodat.

Gdyby ci powiedziano jednak, że jutro umrzesz, jakżebyś dzisiaj żyła?

Kobieta.

Juścić, gdyby mi powiedziano... tobym poszła do kościoła i w kościele cały dzień pacierze mówiła.

Adeodat.

Więc ja ci powiadam: mniej czasu masz przed sobą. niż go za sobą roztrwoniłaś; lecz jakkolwiek tego czasu niewiele, po kościołach, na pacierzach całego spędzać nie możesz. Weź się i do pracy także na odpokutowanie długiego próżniactwa: ja ci się o poczciwy zarobek wystaram...

Kobieta (*po chwili namysłu*).

Ej, proszę pana, kiedy bo to ja zawsze więcej sobie żebraniną zbiorę.

(*Oddala się, Adeodat załamuje ręce*).

Adeodat w chałupie.

Adeodat (*wchodząc*).

Niechaj będzie Chrystus pochwalony!

Gospodarz.

Na wieki wieków.

Adeodat.

Wybrałem się piechotą dla zwiedzenia tutejszych okolic, że mi jednak przed nieszporem w sąsiedniem miasteczku stanąć trzeba, chciałbym u was, dobrzy ludzie, furmanki jakiej z konikiem do najęcia dostać.

Gospodarz.

Bogać tam z konikiem, miły panie, a dyć zdechł mi jeszcze przed gody i niema za co drugiego kupić.

Adeodat.

No, to przynajmniej poszukajcie mi u waszych sąsiadów, bo wy się znacie między sobą, wiecie gdzie zastukać, a jabym musiał od chałupy do chałupy się przepytywać. Tymczasem na waszej ławie odpocznę troszeczkę. Jeśli mi prócz tego szklankę mleka ofia-

rujecie. to ją za wasze zdrowie duszkiem i z wielką wdzięcznością wychylę.

(*Podaje chłopu kilka groszy; chłop ich nie bierze i w głowę się skrobie.*)

Gospodarz.

Bogać-tam mleka! na jarmarku zeszłego tygodnia ostatnią jałowicę sprzedałem.

Adeodat.

Coś, jak widzę, niebardzo u was dostatnio w chałupie.

Gospodarz.

Juścić. jak się bieda raz uczepiła, tak i puścić nie chce. Najpierw ja sam chorowałem i zadłużyłem się w robociźnie; potem kobieta mi zaniemogła od pół roku blizko: co wstanie, to się znów położy. Niema komu dojrzeć ani ogrodu, ani dobytku, ani dzieciaków drobniejszych; starsze to już w służbie, proszę pana. Więc wszystko w marność idzie.

Adeodat (*spostrzegając chorą na łóżku, zbliża się do niej*).

Mój Boże, prawda, nie dowidziałem odrazu. I cóż to wam jest, moja matko?

Gospodyni (*słabym głosem*).

Ot, tak — cała nie mogę; po kościach suche bóle mię łamią, w głowie szum okropny i ustawiczniebym ino piła a piła.

Adeodat.

Czyście już próbowali jakich leków?

Gospodyni.

Ano Bóg wie nie jakich—co kto poradził, to robiłam, bo mi strasznie kuczno tak leżeć.

Gospodarz.

Toć niemało się człowiek wyciągnął i na te jej lekarstwa różne. Póki jeszcze była szkapa w domu, raz o 5 mil jechałem dla niej po jednę babę, która umie sławnie febry zamawiać; lecz jak widać, nie febra to, ale gwoździec chyba.

Adeodat.

Czy wam też kiedy jakich ziół do picia nie poradzono?

Gospodyni.

Bywało-to i zioła pijałam— już nie pamiętam co za jedne. Ale teraz ludzie mówią, że chyba do Pana Boga się uciec.

Adeodat.

Najlepsza to rada; nietylko wówczas, gdy inne środki nie pomagają, ale zawsze, na każdą chwilę i na każdą biedę naszę.

Gospodyni.

Ja też dałam w wigilią święta Matki Boskiej prawie zupełnie nową koszulę do powieszenia na krzyżu, a jak się mój z robotą w polu obrządzi, to już mi przyrzekł, że na moję intencyą piechotą do krzaczków pójdzie.

Adeodat.

Gdzie pójdzie?

Gospodyni.

O parę mil ztąd, do krzaczków, co to się w nich cudowna Najświętsza Panna objawiła.

Gospodarz.

Ej, nie gadalibyśta o takich rzeczach z panem. Panowie im nie wierzą i śmieją się tylko.

Adeodat.

Niesłusznie pod tym względem do panów mię zaliczacie.

Gospodarz.

Kiedy bo to o krzaczkach sam proboszcz mówił z ambony, że tam nic cudownego się nie stało, ino zwyczajnie jak na moczarach światło jakieś lata. Ale pastuch tamtejszy wyraźnie w nocy Najświętszą Pannę widział i pełno już ludzi łask Jej doznało.

Adeodat.

Ja też mocno wierzę w cuda łaski i w skuteczność wszelkiej szczerze pobożnej intencyi. Sam na sobie doświadczyłem nieraz, że miłosierdzie Boże prośbą, ofiarą, dobrym uczynkiem zjednać sobie można. Słuchajcie no, poradzę wam coś jeszcze nieomylniejszego, jak pielgrzymkę, choćby do Częstochowy. Wszak nie wątpicie o tem, że zdrowie i choroba, pociecha i smutek, szczęście i nieszczęście, słowem wszystko, co nas spotyka, jest zawsze z rozporządzenia Bożego i z woli Bożej na nas zesłane?

Gospodarz.

A juścić.

Adeodat.

Wszak o tem nie wątpicie, że Bóg jest dobry, miłosierny, że chce zbawienia duszy naszej?

Gospodyni.

A juścić.

Adeodat.

No, widzicie, moi kochani, Bóg jest dobry; więc też nigdy żadnego utrapienia na nas nie zsyła dlatego tylko, by nam przykrość zrobić, ale dlatego, by nas w jakim grzechu upomnieć, by za jakie przestąpienie praw Jego świętych ukarać, lub nakoniec, by do jakiej wyższej cnoty nas usposobić. O ile tej woli Bożej nie pojmujemy, o tyle ciąży na nas dopuszczenie złego; o ile staramy się jej zadość uczynić, o tyle rozjaśnia się nasze życie i serce rozwesela. Ja, na przykład, w każdem zmartwieniu mojem zaraz sobie zaczynam rozpamiętywać, czem to mogłem Stwórcę i najlepszego Ojca mojego obrazić? Pilnie sobie uważam, jaka zła skłonność bierze nademną górę, lub oglądam się wkoło, czybym któremu z bliźnich moich przysługi jakiej wyświadczyć nie mógł? Kiedy już tak wszystko rozmyślę sobie, idę do kościoła, modlę się, a potem wnet biorę się do pracy, czy nad sobą, czy dla drugich, według tego, jak ślubowałem na wiadomą Bogu intencyą i Bóg też nigdy jeszcze bez wsparcia, bez pociechy i ratunku w żadnem nie zostawił mię nieszczęściu.

Gospodarz.

Dobre to dla panów takie korowody; ale my biedni ludziska, to my tam tego nie umiema.

Adeodat.

Ja was też chciałbym łatwego nauczyć sposobu. Popróbujcie tylko, choć przez czas niedługi. Wracając z miasteczka, znowu do was wstąpię, przywiozę wam ziół bardzo pomocnych na gwoźdźcowe bóle. Jednak wierzcie mi, te zioła bez łaski Bożej, jak wszelkie ludzkie pomoce i zabiegi, na nic się może nie zdadzą; trzeba na nie łaskę Bożą skruszonem sercem i pokutną ofiarą sprowadzić. Otóż, jako spełnienie pokutnej ofiary, trzeba żebyście się na czas jakiś, stosownie do oznaczenia waszego, czy to miesiąc, czy kwar-

tał, czy rok, jak tam powiecie sobie, ale trzeba żebyście się wstrzymali od wódki, od klątwy wszelkiej i od wszelkiego słowa obelgi; abyście żyli w ciągłej zgodzie z sąsiadami; jeśli macie do którego z nich zadrę w sercu, to idźcie i pogódźcie się, jak przed wielkanocną spowiedzią; nie pomstujcie na nikim; nie wymyślajcie na żadne z waszych dzieci, ani też nie pozwalajcie żadnemu przez cały ten czas na próżniactwo lub nieprzyzwoitą zabawę; codzień zrana i wieczorem wszyscy razem odmówcie głośno pacierze; niech spokój, cichość, zgoda i chwała Boża zamieszkają pod dachem waszym. No, zobaczymy potem; Bóg nadzieja mocna, a kto w Bofu ufa, choćby i umarł, żyw będzie. Zastanówcie się oboje nad radami mojemi. W powrocie ja tu was nie ominę. Bądźcie pewni, dobrzy ludziska, ziół i co będzie dla chorej potrzebnem, wszystkiego z sobą przywiozę, a teraz ostajcie z Bogiem i niech On z wami ostaje w każdej chwili.

(*Wychodzi; Gospodarz za nim.*)

Gospodarz.

Niech-no pan pozwoli przecię, ja panu muszę dobrej furmanki się wystarać...

(*Po trzech dniach Adeodat znów wstępuje do chałupy.*)

Adeodat.

Niech będzie pochwalony!

Gospodyni (*z łóżka stękając*).

Na wieki wieków.

Adeodat.

I cóż? Jakże wam dzisiaj?

Gospodyni.

Jakże ma być? Jęśli nie gorzej, to tak samo.

Adeodat.

A gdzież wasz mąż, czy niema go w domu?

Gospodyni.

Proszę pana, bo to u nas były owo zmówiny starszej naszej dziewuchy, jak pan pojechał. W nocy mię zaraz okruteczna gorączka rozebrała i tak mię łamało, że w niebogłosy krzyczałam aż do rana. Już mi niepodobna było dłużej czekać; prosiłam mojego i dziś poszedł do Krzaczków...

Adeodat na cmentarzu.

Kiedy z puszczy wychodziłem, to się przygotowałem na wielkie cierpienia, na szyderstwo, nienawiść, na kamienie potwarców i krzyże prześladowców. Dotychczas nikt mię jeszcze nie ukrzyżował, nie spotwarzył, nie zaczepił, nie wyśmiał urągliwie, a jednak smutnym i utrudzonym się czuję; bo mię wszędzie obojętność lodowatym opasała murem i wszędzie mi poznać dano, że się na nic braciom moim nie przydam. Boże! wesprzyj mię w tym ucisku! nie wwódź mię na to pokuszenie! Zaiste, nie mam prawa zrażać się i przy pługu ustawać. Są już w ludzkości wszystkie do jej zbawienia potrzebne warunki; są władze potężne, które tylko w odpowiednie sobie użycie nie weszły; skarby, któremi tylko zagospodarzyć trzeba. Jest rozum, co doścignął wysokości słowa Twojego, Panie! — jest nawet serce niejedno, co ukochało Twą świętość, nędza tak ciężka, że litość Twoję wzruszyć może, siła wierzenia tak niezachwiana, że niąby góry przenosić się dały; jest wszystko, chociaż wszystko, niestety, w chaosie i rozstrojeniu. Gdzie wiedzą, co *najlepsze,* tam niczego co *dobre* spełnić nie umieją; gdzie pragną tego, co *sprawiedliwe*, tam przeciw temu co *zdrożne* wytrwałej cierpliwości nie stawiają; gdzie ponoszą co *najdotkliwsze,* tam do tego co *uszlachetnia* nie tęsknią; gdzie wierzą w to co *nadzmysłowe*, tam jeszcze temu co *jawne* nie ufają. Słowom ludzkim brak wiary i miłości. Miłości ludzkiej brak spokoju i nadziei; cierpie-

niom ludzkim brak uświęcenia i godności; wierze ludzkiej brak słowa prawdy Twojej. Ale Ty, Panie! nad błądzącymi zachowałeś sobie aż do skończenia czasów pełną tajemnic i grozy opiekę. Ty masz w ręku swojem — śmierć. Grób zwolna chłonie wszystkie grzechy i boleści, a wieczność zwolna prostuje wszelkie zboczenia, zaciera wszelkie skazy. Wobec grobu i śmierci któżby śmiał zwątpić o duchu człowieczym? któżby wrogowi swemu nie przebaczył? któżby nad nieszczęśliwym się nie rozweselił? Grób oczyszcza, grób usprawiedliwia, grób pociesza i łagodzi. Widzisz zbytek szalejący zuchwalstwem? Poczekaj chwilę — śmierć go ze złota i dyamentów obedrze. Widzisz miecz obosieczny w szalonego dłoni? Poczekaj chwilę — śmierć go wytrąci i skruszy. Widzisz łzy na zmienionej twarzy, krew na ranach świeżych? Poczekaj chwilę—śmierć zamknie płaczące oczy i boleść ranom odejmie. Słyszysz jęki rozpaczy, skargi uciemiężonych, bluźnierstwa nikczemnych? Poczekaj chwilę— śmierć wszystko uciszy; ku śmierci każdy biegnie i śmierć idzie ku każdemu. Śmierć z sądem, z zapomnieniem, z odpoczynkiem, z zagładą — a jednak... śmierć z nadzieją poprawy i z wiecznością udoskonalenia! To, co mię jątrzy, co mię oburza, co mię dręczy i zniechęca, to jest chwila przemienna tylko. Czyż ja dla tej chwili jednej mam ludziom złorzeczyć i sam w drodze się cofnąć?... Nie, nie, bracia moi, bracia obojętni i oporni—*kochać* was będę wszystkich, was co umrzeć zepsuciu, odżyć wyrokom Najwyższego musicie! . . . .

Ach, jak łatwą jest miłość bliźniego... na *puszczy* i na *cmentarzu!...*

KWESTYA PODRZĘDNA.

KWESTYA PODRZĘDNA,

PRZY KOMINKOWYM OGNIU ROZBIERANA.

I.

I był to znowu kominek, w dużym pokoju, z sutym ogniem, z magnetycznym pociągiem; ale nie taki jak tamten kominek. I byli to znowu ludzie serdeczni, poczciwi, rozumni; ale nie tacy jak tamci ludzie. I były twarze niektóre te same; ale nie takie same jak wówczas bywały. I było wszystko podobne, ale wszystko, wszystko inne: mieszkanie, znajomi, ich osobiste usposobienia, szczególniej inna data chronologiczna na wiekowym zegarze, data o lat dziesiątek późniejsza!... Ach mój Boże!... westchnęłam, cóż to znaczy? żal za przeszłością? Ja myślę że zwyczaj tylko, nałóg mimowolny, a jeśli trochę smutku się wmieszało, to chyba smutek pokutny, nietęskniący z rozrzewnieniem. Czyż to życie dość piękne, dość święte, żeby na jakieś moralne przedłużenie żalem je zatrzymywać, odtwarzać i powtarzać? O! nie, dni życia, to ołowiane paciorki krwawą nitką przewleczonego różańca; im więcej się ich przesunie, im więcej zsunie raczej, tem lżej ręce ociężałej, tem bliżej końca przecież, cha! i nowego, lepszego początku. Od efemerydalnej młodości, od kilku grobów moich, od każdego wczoraj mojego, wolę

każde jutro, na które zawsze bez znużenia, uparcie, niecierpliwie, z wiarą w sercu czekam; od wspomnień najmniej gorzkich wolę tę moję ostatnią, najświetniejszą, jedyną nadzieję; od wszystkiego co już było wolę cień chociaż tego, co kiedyś być musi. Nie, nie, ja nie żałuję, nie tęsknię, nie rozrzewniam się bynajmniej, o bracia współcześni, o siostry rówiennice moje! Trzeźwem okiem patrzę na to, co się przecierpiało, nieprzekupnem sumieniem sądzę to, czego się nie spełniło, surową wzgardę ciskam temu, co się zepsuło i upadło. Wiem, i wy także wiecie, żeśmy żadnej gwiazdeczki z nieba nie ściągnęli na ziemię; biednej planety naszej „nowemi nie pchnęliśmy tory;“ nikt z nas nie zdobył sobie ani szczęścia, ani sławy, ani prawdy nawet... bo prawda, to nie samo oderwane pojęcie, to nie przyzwolenie łaskawe na jakieś zdania, według prawideł syntaksy i logiki ułożone; prawda, to duch z ciałem, ideał z rzeczywistością, to wzrost i krzepkość od siejby do plonu. Kto z nas ośmieli się choć atomem tej prawdy pochwalić? Uzbieraliśmy cierni i głogu, skorup i kamieni, mamy ręce podrapane, odwagę zachwianą, siły wyczerpnięte, i namże to się godzi przeszłości żałować? Pokażcie mi zdobycze wasze, pokażcie łupy złociste, dyamenty, perły, makaty, albo wieże zamków obronnych, albo pomniki dzieł nieśmiertelnych, albo śpiżowe wielkich ludzi posągi, albo jakich ślepców wędrownych, co epos naszej generacyi po siołach śpiewają, albo chociaż pokażcie jednę bielutką, niezbłoconą duszyczkę-gołąbka, cichą bez nikczemności, spokojną bez głupoty, szczęśliwą bez cudzej krzywdy? Pokażcie, to wam przyznam, że można przyszłości żałować. Spłaczę się nad nią płaczem nieutulonym, w liryzm uderzę trzynasto-zgłoskowym wierszem, ale wy biedni cóż mi pokażecie? Kto się zuchwale rozeprze na wygodnym fotelu i powie: „Mnie dobrze teraz,“ to ja mu powiem: „Kłamiesz, egoisto! niedobrze ci z nabytkiem świata całego, boś swoję duszę utracił.“ Kto mi się w idylizmie domowych uciech przedstawi, to ja mu serce do najtajniejszych uderzeń

zbadam i cisnę mu przed oczy jego dawne, szlachetne, ludzkie wymagania, jego pierwotnej wiary dogmata; zawstydzę go herezyą, upokorzę niedostatkiem, przerażę nietrwałością. A kto przyjdzie swoim rozumem się pysznić, kto się zacznie przedemną swojem udoskonaleniem lubować, swoją cnotą popisywać, o! temu śmiech niemiłosierny, temu ironia najpiołunniejsza, bo co mi to za rozum, co się nauczył „nie umieć,“ co mi to za udoskonalenie, co bodaj w najwyższości swojej wyrzeczenia się dosięgło, co mi za cnota, co chlebem błogosławionym ni pięciu, ni czterech tysięcy bliźnich nie nakarmi, tylko sama nic nie jeść i być głodną potrafi? Wierzcie mi, dawni moi, nie warto się za niczem z przeszłości naszej oglądać. Dobry byt nasz, ukochanie nasze, mądrość nasza, prawda i świętość nasza nie z tego co minęło, ale z tego ku czemu dążymy, tam, przed nami, daleko-li, czy blizko? Pan wie, ale zawsze, zawsze przed nami. O ileśmy wytężonego wzroku piaskiem sobie nie zapruszyli, o ile zostało nam siły do pragnienia i spodziewania się, o ile dobrej woli do tego, by sobie zaproponować, by dotrzymać i zrzeczywistnić, o ile, krótko mówiąc, „przyszłości“ nam zostało, o tyle przeszłość z potępienia okupiona, a dusza ku zbawieniu idzie. Nie, nie, ja nie żałuję niczego, ja, co z rozbicia tę wzniosłą, tę wiekuistą uratowałam nadzieję. Ani mi tęskno za wami, lata moje wiosenne, ani za wami, zmienni czy niezmienni przyjaciele moi, ani za wami także, coście się rozsypali po cmentarnych błoniach, z sercem nienasyconem, z wywróconą ku niewschodzącemu słońcu powieką, nawet za wami nie tęskno; im wy dalej, tem bliżej właśnie. Ku wam to idę, gdy idę ku światłu i nieskończoności. Was to straconych odnajdę, gdy się dojmę nakoniec tej prawdy, w którą wyście uwierzyli, gdy się rozkocham miłością tego, coście wy ukochali, gdy się rozraduję szczęściem takiem, jakiegoście wy pragnęli. Spadajcie w otchłań, wszystkie chwile rozdziału! tocz się po drodze swojej, rydwanie Jaggernauty indyjskiej, rozgniataj na miazgę wspomnienia, upodobania, złości czy

niedołęztwa, przyjemnostki czy cierpienia, grzechy czy zasługi; rozgniataj na miazgę kołami swojemi i głowy, którebyśmy w pieszczącym tulili uścisku, i ręce. któreby się do nas z chętną wyciągnęły pomocą. i serca jadu pełne i kłamstwem opryszczone języki; rozgniataj kołami swemi, a tocz się prędzej, rydwanie, aby bliżej, aby bliżej!

To wszystko, co mi zpod pióra uciekło, nie ma najmniejszego związku z tem, co napisać do jednego z dzienników polskich zamierzyłam. Najściślej się ograniczając pierwotnem założeniem, poprostu chciałam i obowiązkiem to moim było powiedzieć redakcyi, lub też łaskawym czytelnikom, jeżeli... ma się rozumieć, jeżeli czytelników mieć będę, powiedzieć im, że nas kilka osób siedziało przy kominku, ale nie przy tym kominku, który to niegdyś słuchacze Benjamina i czytanej „Książki pamiątek“ obsiadali, tylko przy zupełnie innym. Okoliczność potrzebna może dla ścisłości opisowej, lecz sama przez się mało znacząca i nie wiem czemu tak długi wstęp z głowy mi wyciągnęła, taki długi, że gdyby przed chwilą jakiś hałas nie przerwał, tobym jeszcze snuła, snuła różne rzeczy, wcale „nie do rzeczy“ należące. A tymczasem to miało znaczyć jedynie, żeśmy siedzieli przy kominku i zajmowali się kwestyą, jak to już na tytule wyraziłam, niestety, kwestyą... wstyd powiedzieć, podrzędną. Teraz, gdy jest tyle pierwszorzędnych kwestyj, gdy można sobie słowo po słowie rozjaśniać w sumieniu, zakorzeniać w żelaznej woli i znieśmiertelniać w chrześciańskim uczuciu, bardzo to nieładnie żeśmy podrzędnych dotknęli przedmiotów, ale na usprawiedliwienie odwołam się do zwyczajnego: „Kto jest bez grzechu, niech kamieniem ciśnie.“ kto nigdy dwóch godzin jednym ciągiem nie rozmawiał o pogodzie, o modach, o wieczorku tańcującym, lub o śmiesznościach sąsiedzkich, ten ma prawo podpisać wyrok skazujący nas choćby na półroczne milczenie. Już ja wiem, że surowi purytanie wzruszą ramionami i potępią ten mój argument obronny; cudze plamy naszych własnych plam

nie osłonią. cudze grzechy to wcale nieprzydatne mydełko na obmycie naszych własnych grzechów... A więc z innego punktu sprawę naszę przedstawię. Istotnie, zajmowaliśmy się kwestyą „podrzędną,“ wszelako muszę oświadczyć, że ją podrzędną nazwałam dlatego jedynie, bo są inne, pilniejsze do roztrząśnienia; mogłabym ją sprawiedliwiej może kwestyą „przedwczesną“ nazwać. Niezawodnie musi ona kiedyś na wierzch wypłynąć. Wyobrażam sobie nawet, że za jakie lat 666 (liczba apokaliptyczna), może za 1,000 (liczba apostolska, ma oznaczać dzień jeden przed obliczem Pańskiem), może zresztą za lat dwa tysiące, dajmy na to, zbierze się w jakiem państwie europejskiem więc poważny, z senatem i kołem rycerskiem, albo ze starszyzną poprostu i z młodzieżą przez młodzież wybraną, a pan marszałek wniesie na posiedzeniu, według porządku dziennego to, o czemeśmy przy kominku w gronie poufnych znajomych radzili. Przypuściwszy, że już wszystkie interesa wszystkich stowarzyszeń, i kolei żelaznych, i powietrznych balonów i elektrycznych telegrafów załatwiono, że pozawierano traktaty, zwinięto armie, zasiano odłogi, urządzono górnictwo, wyeksploatowano lądy i oceany; przypuściwszy, że już nagadano się o wszystkiem, o czem jeszcze gadać nie zaczęto, a zrobiono wszystko, o czem gadają dopiero; przypuściwszy Utopią, Ikaryą (byle nie z ula pszczolnego fotografowany falanster, bo mam trochę wstrętu do owadów), przypuściwszy różne jeszcze niepodobniejsze przypuszczenia, dlaczegóżby się nakoniec o rozwinięciu czysto uczuciowych stosunków społeczeństwa naradzać nie miano? Już dzisiaj dla niektórych jest to kwestya życia lub śmierci, cóż dziwnego gdyby za lat... daję blankiet na wpisanie cyfry... stała się państwa jakiego kwestyą żywotną? Prócz tego muszę wyznać pokornie, że gdyby w gromadce naszej rozbierano ważniejszy, lub jak tam zechce się kto wyrazić, poważniejszy przedmiot, nie śmiałabym, nie mogłabym w charakterze sprawozdawcy ani opowiadacza przed

żadną „Ilustracyą“ wystąpić, brak mi ku temu środków właściwych (proszę przeczytać „zdolności“).

Na moje więc autorskie szczęście wywiązała się kwestya tylko podrzędna. Nie pamiętam kto z nas wśród potocznej rozmowy rzucił nagle te słowa:

— A czy wiecie państwo, że w tym tygodniu był ślub Heliodora? Dla tych, którzy chcą wszystko zaraz kategorycznie wiedzieć, dołącza się osobny przypisek. [1])

— Ślub Heliodora? — powtórzyło parę głosów z przyjaznym akcentem.

— Szczęść mu Boże—dorzucił solo jakiś głos kobiecy.

— A toż się nakoniec z panną Józefą ożenił — rzekł jeden z tych panów, w przejeździe tylko od czasu do czasu nawiedzający Warszawę.

— Cóż znowu, z panną Józefą?—odezwał się inny stały tutejszy mieszkaniec.—Heliodor się z tą piękną, z tą zachwycającą Marynią C** ożenił.

— Przecież słyszałem zawsze, że się o pannę Józefę stara.

— Że się stara... to historya bardzo stara, musiałeś ją słyszeć co najpóźniej przeszłego roku przynajmniej.

— Tak jest, przeszłego roku słyszałem z pewnością.

— Dzień do dnia niepodobny — wtrąciła pani Karolina.

---

[1]) Heliodor pochodzi z dość majętnej obywatelskiej rodziny. Przyszedł na świat i był ochrzczony Heliodorem, ma się rozumieć, w Poznańskiem; później z rodzicami i trzema braćmi do królestwa się przesiedlił. Kończył szkoły w Warszawie, został urzędnikiem, ma teraz lat 28, prześliczne niebieskie oczy, twarz ściągłą, cerę świeżą, nos kształtny, usta dość wydatne, serce bardzo poczciwe, zdolności umysłowe wcale bystre, talent do muzyki znakomity, choć nierozwinięty, głos tenorowy przyjemny, ma nadto cztery tysiące pensyi, no... i żonę, według tego, co się już powyżej wzmiankowało.

— A jakże ma być serce przeszłoroczne do tegorocznego serca podobnem?—przydała z uśmiechem trochę melancholicznym panna Wiktorya.

Lecz nim dalszy ciąg rozmowy przeprowadzę, możeby się należało choć najlżejszym konturem odkreślić różne osobistości, które w niej udział brały. Jest to wprawdzie maleńkie nadużycie, bo mię żadna z nich do tego nie upoważniła, ale ponieważ to się trochę przyda do lepszego zrozumienia różnych ustępów naszej gawędki, więc nabok wszelkie odsuwam skrupuły. I autorowie mają czasem swoje „racye stanu.“ W każdym razie przekonam wymienione tu pseudonymy, że umiem być „dyskretną,“ to jest umiem powiedzieć co można, a zamilczeć, co jest do toku sprawy niepotrzebne.

Było nas wszystkich razem siedmioro: cztery kobiety i trzech mężczyzn. Z kobiet ta, co się najpierw odezwała, pani Karolina, rozsądna i obowiązkowa; panna Wiktorya łagodna, wyrozumiała, czasem o marzycielstwo niesłusznie pomawiana; Olesia ładna, trochę złośliwa, trochę, jak się wyrażają przez grzeczność, nie dziwaczka, tylko ekscentryczna; pisząca to... trudno-to swój własny portret z najwybitniejszym charakterem fizyognomii odznaczyć; przynajmniej powiem jaką byłam tego wieczoru... byłam sumienną i w dobrej wierze badającą. Co zaś do panów, to był ten który ze wsi przyjechał, pan Hilary, nadzwyczaj prawy i uczuciowy, czyli według zdania żartobliwych kolegów, choć to nigdy mojem nie stało się zdaniem, miękkiego serca człowiek; pan Jerzy z zimną krwią a ostrym dowcipem, smutny w głębi duszy, a w towarzystwie sofistycznie, paradoksalnie wesoły; pan Adolf nakoniec... lecz cóżby tu o panu Adolfie „szczególnego“ powiedzieć? Jest to głos z chóru, niech inni dobrze nutę trzymają, on pewnie nie sfałszuje. W takiej tedy galeryjce obrazków dalszą wiodło się rozmowę.

— Co słyszę, moja droga? — zawołałam na ostatnią lekko niby przyganiającą uwagę panny Wiktoryi — jeźli się nie mylę, masz coś gorzkiego w sercu

przeciw naszemu Heliodorowi. Toć ja pamiętam, że uniewinniałaś daleko większych od niego zbrodniarzy.

— I pana Heliodora nie potępiam wcale; znam go jeszcze bardzo mało, z sądów ludzkich tylko korzystne dochodziły mię o nim wyroki; że się miał żenić i z kim się miał żenić, zaledwie mi to kiedyś koło ucha przeleciało. Dopiero tak, w tej chwili, gdy zestawiono razem dwa kobiece imiona, jakiejś panny Józefy i jakiejś zachwycającej Maryni, mnie się żal trochę panny Józefy zrobiło.

Tu nastąpiła przynajmniej dwuaktowa pauza. Niektóre z pomiędzy nas osoby wielką miały do Heliodora sympatyą, a panna Wiktorya imieniem panny Józefy najniekorzystniej przesłoniła jego złotowłose i błękitnookie wspomnienia.

II.

— Ja znam tę pannę Józefę — odezwał się pan Adolf, z wielką o ile mogłam miarkować przyjemnością, nie ze względu na pannę Józefę, ale ze względu na towarzystwo nasze, które właśnie panny Józefy nie znało.

Czytałam kiedyś bardzo zręcznie ułożony regestr drobnych, a niesłusznie lekceważonych pociech tego życia. Była tam wzmianka o butach, które w odciski nie urażają, o głowniach na kominku, które się po kilku nieudatnych próbach według swego życzenia ułoży ostatecznie, było o nudnej wizycie, która nas żegnać zaczyna, było o dziecku wrzeszczącem, które za drzwi wynoszą — ale nie przypominam sobie, czy było o tej przyjemności, której doznają czasem ludzie, gdy wśród zajętych jaką ze słuchu powtarzaną historyą, tak jak pan Adolf odezwać się mogą: „ja znam, ja widziałem, ja tam byłem.“ Zaraz na pana Adolfa ogólniejsza zwróciła się uwaga i kilka pytających wykrzykników spadło.

— Aa! zna pan pannę Józefę? Doprawdy pan zna pannę Józefę? No proszę, więc pan zna pannę Józefę?

— Tak jest, znam ją bardzo dobrze, choć nieczęsto się widujemy. Zapewne paniom wiadomo, iż panna Józefa nie ma rodziców i tylko w domu wujostwa swoich bawi... lub właściwiej mówiąc, w domu wujostwa się nudzi, bo tam nudy okropne. Pan wuj ciągle się

skarży na złe czasy, a pani wujenka na służące; jak łatwo się domyśleć, nieczęstym bywam tam gościem.

— Jak łatwo się domyśleć — powtórzyła półgłosem Olesia.

— Czy pani do mnie co mówi? — zapytał pan Adolf.

— Nie, panie, ja mówiłam sama do siebie, jak to łatwo się domyśleć, że pan nieczęsto bywasz w domu, gdzie są tylko nudy okropne i siostrzenica bez posagu, ale ja tego nie mówiłam do pana. I cóż dalej? no, cóż dalej o pannie Józefie?—nagliła Olesia, a pan Adolf milczał, i czerwienił się, i uśmiechał i nie wiedział co właśnie mówić dalej; bo pan Adolf był istnym św. Sebastyanem Olesi: najostrzejsze jej groty w jego bezbronną pierś uderzały zawsze, a on męczeństwo swoje z zadziwiającą znosił cierpliwością. Nie wiem co go zupełniej ujarzmiło, czy usta nielitośne, ale świeżutkim odrysowane karminem, czy ząbki ostre bardzo, lecz jak perełki równiutkie i białe, czy nakoniec zaczepne i odporne spojrzenia dwóch turkusowych niezapominajek, w czarną emalią oprawnych.

— Kiedyż się pan po raz ostatni z panną Józefą widział? — zapytała panna Wiktorya, nie przez ciekawość, ręczę za nią, ale przez miłosierdzie, żeby pana Adolfa z kłopotu wyprowadzić.

— Jestem pewna, że niezbyt dawno—uprzedziła odpowiadającego zawzięta Olesia.

— I zgadła pani—pośpieszył z niezachwianą dobrodusznością pan Adolf; — byłem tam w przeszły czwartek.

— Na kilka dni przed ślubem Heliodora — dopowiedziała złośliwie piękna okrutnica.— Ach! jak żałuję, że pana nie namówiłam, abyś z nami do cyrku Renza poszedł; myśmy w ten sam czwartek z całym domem na konne sztuki się wybrali.

— Czemuż nie wiedziałem...

— Przy sposobności wynagrodzisz to sobie — przerwał pan Jerzy swoim powolnym, a gdyby można było ołówek z dźwiękiem porównać, tobym rzekła

swoim prawdziwie hogartowskim głosem.— Teraz nie trać czasu, Adolfie, i co prędzej opowiedz, jak wyglądała panna Józefa, co mówiła, jakiego koloru suknię miała na sobie? Im więcej udzielisz szczegółów, tem wdzięczniejsze będą ci wszystkie te panie, wszystkie, nie wyłączając panny Aleksandry, która się łatwo bardzo pocieszy, że się z nią razem cyrkowym akrobatom nie przypatrywałeś.

Pan Adolf uśmiechnął się znacząco.

— Acha! rozumiem!

Istotnie zdawało mu się że rozumiał, szeroko łokcie na stole rozparł i zaczął opowiadać.

— Panna Józefa ma zwykle bladą i chorobliwą cerę, nie mogę więc osądzić, czy zmizerniała, czy nie, ale to jest pewnem przynajmniej, że głębokiego smutku nie znać po niej. Kiedy wszedłem do pokoju, przypinała właśnie kokardki niebieskie do białej, świeżo uszytej tiulowej pelerynki. Miała w kraty sukienkę i szafirowe wstążki na głowie; przyjęła mię bardzo uprzejmie. Jakże się pan miewa? czy panu katar nie dokucza? Bo to pora szkaradna, wszyscy nasi znajomi zakatarzeni, a wujaszka musiałyśmy obie z wujenką przymusowo nieledwie w domu zatrzymać. I o katarze rozmawialiśmy dość długo, a potem o teatrze. Panna Józefa zachwycała się grą pani Ristori, gdy zaś jej ostatnie wystąpienie Żółkowskiego w „Zachodzie słońca“ przypomniałem, śmiała się jak pensyonarka.

— Czy śmiała się bardzo głośno?—zagadnął pan Jerzy.

— Tak głośno i tak serdecznie, że aż trzymaną w ręku herbatę rozlała.

— Zły symptomat!

— Dlaczego?

— Bo kto się zbyt głośno śmieje, a ma jakikolwiek powód do smutku, ten sobie nerwy rozstraja.

— Ona ich pewnie sobie nie rozstroi. Powiadam państwu, że jest bardzo spokojna; raz nawet sama z siebie o Heliodorze wspomniała, i to w ustępie

zupełnie potocznej gawędki, coś, jak mi się zdaje, że Heliodor obiecał ze wsi od swoich rodziców dobrej dziewczyny służącej dla pani wujenki się wystarać; a kiedy umyślnie, tak dla próby, rzuciłem kilka słówek o pięknej pannie Maryannie, zaczęła mię nią prześladować i żartowała sobie, że powinienem białą tasiemką chociaż lewą kieszonkę u czarnej kamizelki obszyć. Słowem, ja tam w pannie Józefie żadnego smutku nie dopatrzyłem.

— Czego pan Adolf nie dopatrzył — zdradliwie poparła go Olesia—to już najniezawodniej nie istnieje wcale. Pan Adolf ma wzrok zadziwiająco przenikliwy. Ja to bez żartu, z przekonania mówię, tylko muszę się poprawić, bo niewłaściwego użyłam wyrażenia. Pan Adolf ma wzrok nie przenikliwy, ale wszystko obejmujący, mikroskopowy raczej. Nikt z nas nie dorówna mu w spostrzeganiu drobnostek, pyłków, atomów, jętek niewidzialnych. Pamiętam, jakeśmy byli razem w Saskim ogrodzie tego lata, przeszła koło nas pani Antoniowa; pan Adolf natychmiast dopatrzył, że miała batystową chustkę do nosa, brabanckiemi koronkami obszytą, że nosi zbyt ciasne rękawiczki, bo chociaż zupełnie nowe i z paryskiej skórki, już jej się jedna na prawej ręce koło dłoni rozdarła, że między białe stokrotki podpięcia kapeluszowego muszka się tak zaplątała, jakby umyślnie przylepiona. Ztąd mnóstwo dowcipnych pomysłów, jakby to było pięknie i moralnie, gdyby się kobiety w muchy na głowie stroiły, a mniej w nosie ich miały i t. d ; reszta do spostrzeżeń nie należała. Jednak niech sam pan Jerzy przyzna, czy taki człowiek, który jednem spojrzeniem objął chustkę, gatunek koronki, rękę, rękawiczkę rozprutą i muszkę maleńką; czy taki człowiek nie dopatrzyłby wielkiego smutku, zwłaszcza też gdy z intencyą dopatrzenia go poszedł? Co do mnie, jestem pewna, że owa panna Józefa była przeszłego czwartku bardzo a bardzo wesołą...

— Cóż ja winien, że się przy mnie nie rozpłakała?—zdobył się wreszcie na odparcie srogich pocisków

pan Adolf. — Kłamać nie mogę, opowiadam wszystko jak było.

— Szkoda, szkoda — wtrącił znowu pan Jerzy— koniecznie było trzeba coś ciekawszego zanotować. Może jej w jakiej chwili nożyczki na ziemię upadły, może wstążkę przy kokardzie krzywo obcięła...

— Ale nie, wszystko jej szło bardzo zręcznie. No, kiedy państwo chcecie, to się raz igłą ukłuła.

— Igłą ukłuła?— powtórzył z doktorskim namysłem pan Jerzy. — O czemże właśnie była mowa wtedy?

— Pani wujenka dowodziła mężowi swemu, że koniecznie powinien na noc nos łojem wysmarować...

— Cha, prawda, trudno ukłucie z wujowskim nosem połączyć — ciągnął dalej w konsyliarskiej powadze pan Jerzy— ale przypomnij sobie inne szczególiki. Gdybyś mógł zacytować aby jedno łzawe spojrzenie, aby jeden ruch desperacki, panna Aleksandra słuchałaby cię... z prawdziwą przyjemnością.

— Mylisz się, panie Jerzy, nie słuchałabym z przyjemnością o cierpieniach nawet zupełnie mi obojętnej i nieznanej osoby, lecz z przyjemnością może powiedziałabym wam wtedy, co sobie o was myślę, moi panowie, jak tu jesteście wszyscy, obecni i nieobecni, przytomni i nieprzytomni.

— Jeżeli panią tylko mniemana wesołość panny Józefy wstrzymuje— odrzekł na to pan Jerzy — no, to niech się pani zadowoli. Nie później jak wczoraj dowiedziałem się, że jest bardzo niebezpiecznie chora, a teraz, koledzy, głowy nadół, oczy w ziemię, słuchajmy pokornie przekleństw i złorzeczeń panny Aleksandry!

— Tak jest, słuchajcie panowie! Każdy z was egoista bez serca, bez sumienia; najpoczciwszego jeszcze nie warto poczciwie i całą duszą ukochać. Bogdajby żaden z was nigdy w żadnej kobiecie prawdziwego nie wzbudził uczucia! Spotykajcie na drodze waszego życia same gąski, które od was pokarmu tylko,

łączki do spaceru i byle jakiej kałuży do pluskania się zażądają; albo spotykajcie same sroczki przebiegłe, które was z czasu, rozumu i świecidełek okradną; albo takie kobiety, co mają więcej mózgu pod czaszką, niż krwi gorącej w sercu, co nie uwierzą waszym słówkom jedwabnym, nie rozczulą się waszemi rozpaczami, nie zaciekawią żadną szaradą w waszej indywidualności i nie raczą zastanawiać się nawet, czy to co do nich mówicie jest uchybieniem, czy grzecznością, tak zwaną „impertynencyą,“ lub tak zwanym „komplimentem.“

Domawiając tych słów, Olesia jakieś dziwne fajerwerkowe spojrzenie w twarzy pana Jerzego utkwiła. Panu Jerzemu w najzłośliwszy jego uśmiech końce warg już się podniosły, gdy panna Wiktorya głosem rozjemnym utarczkę przerwała:

— A jak się pokazuje, słuszne miałam przeczucie, że nam przeszłoroczna panna Józefa zamąci tegoroczną ze ślubu Heliodora pociechę; jednakże klątwie Olesi już nie rzeknę „amen.“ Gdyby się spełniła, to właśnie najlepsze kobiety najgorzejby wyszły na tem; gąsce, sroczce, kokietce zdarzyłoby się przecież kiedykolwiek ze szczerem przywiązaniem męzkiem spotkać, a same kochające i zdolne do udziału w surowej pracy życia kobiety musiałyby chyba staremi pannami zostawać. Lepiej podobno niech się jedna i druga zawiedzie, byle wszystkie mogły przynajmniej wierzyć, oczekiwać i wymagać. Przyznam się prócz tego, że choroba panny Józefy bardzo mię, niesprawiedliwie może, ale łaskawie na stronę Heliodora usposobiła. Jużcić on musi także wiedzieć o niej; wyobrażam sobie, jak mu to jest bolesnem.

— Nie pochwalę się, bym miała tak wiele współczucia na zmarnowanie — krótkim, przyciętym głosem rzuciła pani Karolina.

— Ja także wolę panny Józefy niż Heliodora żałować—przyświadczył jej pan Hilary.

— Ja się w sympatyi z panną Wiktoryą łączę — wtrącił pan Jerzy. — Z dwojga złego zawszebym

wołał zupełne cierpienie, niż czemkolwiek zatrutą radość.

Olesia nie pozwoliła rozwinąć tej myśli i patetycznie zadeklamowała wiersze Walterscott'a:

„Were shal the traitor rest,
He the deceiver,
Who could win maidens's brest
Ruin and leave har.
In the lost battle,
Born down by the flying
Where mingles was's rattle
Whith grooms of the dying
Ther shall he be lying.
Har wing shal the eagle flap,
O'er the false hearted,
His warm blood the wolf shall lap
Ear life be parted,
Shame and dishonour sit,
By his grave ever,
Blessing shall hallow it
Never! o never!
Never! o newer.
(Marmion, Canto III).

Gdzie znajdzie zdrajca chwilę wytchnienia,
On uwodziciel!... co bez zadrżenia,
Serce dziewczęcia zwiódł mową swą,
A potem niecnie opuścił ją.
W szybkiej ucieczce z bitwy przegra-
[nej,
Od swych współzbiegów nędznie zde-
[ptany,
Tam gdzie się wrzawy bojowej ton
Miesza z jękami co wieszczą zgon
Tam legnie on.
Pastwić się będzie orlica dzika.
Pastwić nad sercem złem obłudnika,
Nim siła życia ujdzie mu z żył,
Ciepłą krew jego wilk będzie pił,
Hańba, sromota, wstyd będą kryły
Nieznane miejsca jego mogiły
I błogie nad nią nie błysną dnie,
O nigdy, nie!
O nigdy, nie! [1])

— Więc państwo znaczną większością głosów potępiacie biednego Heliodora? — odezwałam się też nakoniec.

— Bardzo przepraszam, nie tak znaczną większością; panna Wiktorya ma uwzględnienie, ja się imieniem i nazwiskiem na „approbatur" podpisuję, pani może czarnej gałki nie rzuci, Adolf...

— Och! ja rzucam bieluteńką — co prędzej głos podchwycił; — przyznaję się, że sambym wołał Marynię niż pannę Józefę.

— Tak, tak...— zawtórowała ironicznie Olesia— to jest głównie usprawiedliwiającą Heliodora okolicznością, że pan Adolf... i nie wątpię, pan Jerzy, tak samo jak onby zrobili.

---

[1]) Przekład Władysława Sabowskiego.

— Może nie tak samo—poprawił pan Jerzy—ale że przy zdarzonej sposobności to samo, to trudno zaprzeczyć.

— Lecz trudno też zaprzeczyć, że panbyś sobie w takim razie nieuczciwie postąpił. Nieuczciwie — powtórzyła z dobitniejszym naciskiem pani Karolina — trzeba koniecznie rzeczom właściwe im nazwiska i określniki dodawać, teraz zwłaszcza, gdy w zdarzeniach, położeniu u świata, we wrażeniu jakie na ludziach czynią, tak mała częstokroć zachodzi różnica. Człowiek który skłamie, zawiedzie, nie dotrzyma danego słowa, jest z wszelkich powierzchownych względów zupełnie do najsumienniejszego człowieka podobny: nie traci przez to na majątku, nie idzie do więzienia; wszyscy mu się, jak tego grzeczność wymaga, kłaniają; rozmawia, chodzi, śmieje się, je, śpi, słowem nic a nic go nie wyróżnia. Jedynie tylko po nazwaniu czasem domyśleć się można charakteru, jak po nazwisku przypomnieć sobie osobę. Mówi się: ten Piotr, albo ten łotr, i koniec. O panu Heliodorze powie się: ten zmiennik i także koniec będzie; wszakże go to nie uderzy, ani go z piękną jego żoną nie rozwiedzie.

— Co do mnie, tobym nie chciał najpiękniejszej w świecie Maryni jedną godziną niespokojnego sumienia opłacać — rzekł pan Hilary, z pełnością prawdy i uczucia w głosie.

— Kiedy tak, to mi powiedzcie państwo, co też według waszego zdania Heliodor powinien był zrobić? — zapytałam stanowczo, bo mi rozjaśnienie tego interesu bardzo było potrzebne.

— Powinien był pierwszego zobowiązania dotrzymać — odpowiedział pan Hilary.

— Chociażby go to nawet trochę szczęścia kosztować mogło? — dorzuciła pani Karolina.

— I chociaż ani pan Jerzy, ani pan Adolf takby nie postąpili—zapieczętowała surowy wyrok Olesia.

— Mnie się zdaje — wniosła trochę nieśmiało panna Wiktorya — niech państwo cierpliwie tylko posłuchają. Mówię: mnie się zdaje, o niczem nie przesądzam, ale, według mego przekonania, pan Heliodor daleko cięźejby zgrzeszył, gdyby się był z panną Józefą ożenił, inną kochając kobietę.

— I wielką, wielką masz słuszność — poparłam zatrzymującą się na ogólniku pannę Wiktoryą—wszyscy tutaj od fantazyi potępiamy lub usprawiedliwiamy Heliodora, każdy, niby o nim mówiąc, sam o sobie mówi: „jabym tak zrobił, a jabym tak nie zrobił, jabym to przebaczyła, a jabym nie przebaczyła nigdy.“ Mniejsza o to wasze indywidualne usposobienie; ja żądam od was miary dokładnie oznaczonej, miary zasadniczej, do którejbym ten fakt przyłożyć mogła. Jest na przykład funt, łokieć, garniec na rzeczy fizyczne, niechże będzie jaka prawda na rzeczy umysłowe, żebym według tej prawdy o postępku Heliodora wiedziała czego się trzymać: czy go zaciężkim, czy zalekkim uznać, czy na półeczce w rzędzie innych postawić, czy za okno wyrzucić?

— Kiedy chcesz miary zasadniczej — odrzekła mi na to pani Karolina — weź miarę od pierwszego uderzenia serca, aż do grobu; innego łokcia na mierzenie miłości być nie powinno. Czyż zaprzeczysz temu?...

— Innego łokcia może nie będzie kiedyś, kiedyś, jak się wyrobi nieomylniejsza w człowieczeństwie natura. Już dziś go czasem nie bywa dla fenomenalnej prawdziwej miłości. Ale fenomenalna miłość nie z naszej ery uczuciem; właśnie dlatego, by na nią któraś późniejsza generacya się zdobyła, musimy warunki poprawy przyjmować i uznawać. Jeszcze się dzisiaj człowiek z wrodzonem ukochaniem wyższej piękności i wyższego dobra nie rodzi, jeszcze ciągiem duchowej gimnastyki musi rozwijać w sobie silniejsze władze, kształcić smak wytworniejszy, musi coraz bystrzejsze na jaw wyciągać, a do działania wprowadzać zdolno-

ści, coraz sprawiedliwszy sąd o wszystkiem i o wszystkich wyrabiać sobie. Otóż nie na tem jego obecna poczciwość zależy, by nigdy przedmiotów ukochania swego nie zmieniał, ale na tem, by zawsze coś lepszego, i zawsze lepiej, zawsze święciej kochał. Serca jak rzeki w biegu nie zatrzymać, serce płynie, rzeka płynie, zmieniają się twarze, imiona; mniejsza o to, byle rzeka do morza zapłynęła, byle serce w nieskończoność zbawienia dopłynęło.

III.

— Nie spodziewałem się, że pani tak rozsądnie wyrozumiała— przyświadczył mi zdradziecko pan Jerzy. — Zupełnie co do słowa zgadzam się na pani system: płyńmy jak rzeka, wśród coraz innych krajobrazów, innych twarzy, innych imion!...

— Och! ja wiem, że pan się jednak co do słowa nie zgodzi, — przerwałam pośpiesznie złośliwą parodyą.—Płyńmy jak rzeka, ale płyńmy ku morzu, płyńmy czystą, nie rozsączoną po bagniskach, nie zatrutą błotnemi moczarami wodą.

— A jak się nam źródlana woda sprzykrzy, to ją wylejmy i nowej nasączmy: jak się serce jedną twarzą i jednem znudzi imieniem, to wyprzątnijmy, wymiećmy je coprędzej i wstawmy inną inaczej nazwaną twarzyczkę; zamiast Józefy Maryannę, kiedyś bezwątpienia zamiast Maryanny, Hermenegildę, a zamiast Hermenegildy Kunegundę, i tak dalej, coraz dalej, aż w nieskończoność zbawienia. Dawniej się to niestałością, donżuanizmem, czemś gorszem nazywało jeszcze, dziś ma się gimnastyką duchową nazywać; a Karolina powiada, że już się rzeczy tylko nazwiskami między sobą różnią. Gdzież znowu, i nazwiska mieszają się chaotycznie, rzeczownik z rzeczownikiem, przymiotniki z przymiotnikami, czarne, pstre, białe tasują się jak karty przy wiście; jednemu ten, drugiemu ów padnie, zupełnie przypadkowo, niema na to żadnej w gramatyce reguły.

— Olesiu, Olesiu!—upomniałam rozdąsaną moję przyjaciółeczkę — nie lubisz trawestowanej Eneidy, a czemu trawestujesz poczciwe słowa, w dobrej wierze wymówione? Odwołuję się do twoich własnych wspomnień. Wszakże w dziecińeach tak podobno kochałaś swoję niańkę, żeś się rozchorowała, gdy cię z nią na kilka rozdzielono tygodni; kochałaś ją więcej niż matkę i ojca. Później jednak, gdy się instynkt wydoskonalił i pierwsze pojęcia zbudziły, daleko więcej, daleko już lepiej rodziców od niańki kochać zaczęłaś. Potem wspominałaś mi o pierwszej przyjaciółce swojej, dziewczynce, która się wybornie umiała z tobą w jedenastym roku twego życia bawić, ale która po siedmnastu latach zupełnie inną poszła drogą. Wszakże już dziś jej nie kochasz? dziś kochasz Eleonorę, a ja ci mogę śmiało, bez ubliżenia twej godności powiedzieć, że jutro będziesz znowu kogoś lepiej od Eleonory kochała. Są-to niby innogatunkowe uczucia i zpozoru mniemaćbyś mogła, że się nie dadzą do sprawy Heliodora zastosować; wszystko to jedno przecież: i w takiej miłości nieudolne serce ludzkie pewnego wykształcenia potrzebuje. Rzadko bardzo komu jest danem odrazu, przy pierwszem, jak mówi Karolina, serca uderzenia, spotkać owę swoję przeznaczoną, owę swoję jedyną, z którą aż do grobu zajść będzie można spokojnie. Zwykle jeśli serce już doszło swej pełnoletności, jeśli z wymaganiami swemi się odezwało, to mu braknie godnego na odpowiedź serca: szuka więc, myli się, odrzuca i chwyta zkolei, aż póki tego co mu się przynależy nie znajdzie na świecie. Czasem znowu znajdzie bardzo, dajmy na to, drogocenny przedmiot, znajdzie drugie i zacne kochające serce, lecz znajdzie w chwili jakiegoś przejścia anormalnego, w chwili kiedy nie jest sobą jeszcze, nie zna się, nie rozumie, nie wyciągnęło z siebie do życia i ruchu, nie przywołało wszystkich swoich składowych pierwiastków, nie przejrzało się i nie odgadło we wszystkich przypuszczalnych możliwościach, w chwili swej „małoletniej,“ jednem słowem tę rzecz określając. Jakże

chcesz, Olesiu, jakże śmiesz wymagać, moja Karolino i ty, panie Hilary, żeby takie nieświadome siebie serce od pierwszego uderzenia żelaznemi skowało się łańcuchami, lub Jozuego głosem krzyknęło: „Sta sol!“ Nie, to nie jest w naturze ludzkiej i to być nie może w przepisach najsurowszej moralności. Wiem że pan Jerzy bardzo łatwo tę prawdę na sofizmat przekręci, ale wiem też, że jego sofizmat prędko się rozbije w jego własnem sumieniu. Bo ja nie mówię o tych naturach koślawych, samopas, bez ideału, bez dążności szlachetnej żyjących, które zmieniają uczucia jak kolory, dla zmiany jedynie, które nie potrzebują kochać czegoś lepszego i lepiej kochać, ale owszem, spadają coraz niżej, coraz niedołężniej, aż ich zmienności wreszcie żadnym nawet synonimem uczucia orzekać się nie godzi. Ja mówię tylko o ludziach, co szczerze, w prostocie ducha idą swoją drogą, co nigdyby nic złego popełnić nie chcieli, a ku dobremu różnemi wspierają się sposobami. O takich ludzi jestem spokojna, nie lękam się ich zmiany, o ich przyszłość się nie kłopoczę.

— Jednakże ja wcale nie z tego punktu usprawiedliwiałam małżeństwo Heliodora — przerwała mi panna Wiktorya.—Czy miał prawo, czy nie miał prawa zakochać się w Maryni, gdy pierwej Józefę kochał—to mi na myśl nie przyszło...

— Zdaje się jednak, że od tego właśnie zacząć należało.

— Ja przyjęłam fakt dokonany i dlatego powiedziałam, że Heliodor mniej zgrzeszył, nie żeniąc się z Józefą, bo moją znów miarą zasadniczą jest głównie miłość w małżeństwie. Mój Boże, toż to przypatrzeć się tylko, jak ludziom z ludźmi trudno żyć na świecie! Ani komary nad wodą, ani muchy w sierpniu tyle nie dokuczą, co człowiek człowiekowi dokuczy. Próżno stwarzać najprzyjaźniejsze okoliczności, próżno układać w kodeksach najmądrzejsze artykuły: gdzie niema wzajemnego ukochania, tam zawsze cichsze tylko lub głośniejsze piekło. Osadźcie państwo w dobrym by-

cie, w niezależnem położeniu, we wszystkich jakich tylko można sobie życzyć stosunkach rodzinę sprowadzoną do pierwotnych swoich zawiązków: męża, żonę i dziecię; niech im tylko miłości zabraknie, wnet się przekonacie, co to za ciężkie, swarne, chropowate życie im się uściele; a dajcie miłość choć ubogim, choć zapracowanym po same łokcie ludziskom, jeszcze to jakoś z większą chwałą pana Boga pójdzie. Nie jestem tak romansowa, bym się koniecznie gwałtownych uniesień namiętności w przedślubiu dopominała; wiem że i bez namiętności, z szacunku zawarte małżeństwa bardzo szczęśliwe bywają niekiedy; lecz bywają szczęśliwe dlatego właśnie, iż dobiorą się takie natury, co nie mają w sobie materyału na rozwinięcie wyższych potrzeb lub zatęsknienie ku promienniejszej piękności. Wcale rzecz się ma inaczej, kiedy kto do współki rodzinnej przynosi w żalach swoich obraz utraconego ideału, kiedy z uczuć ledwo wystarczających na przedźwiganie dni powszednich najżywsze jeszcze odwraca uczucia, by walczyć z samym sobą, lub ku przeszłości niepowrotnej uciekać. Proszę tylko wyobrazić sobie taki dramacik domowy: ile to z jednej strony niecierpliwości, kwasów, uchybień, w najlepszym razie ile zniechęcenia, smutku i koniecznego kłamstwa; a z drugiej strony ile zawsze podejrzeń, nieufności, ile upokorzeń okrutnych, ile chwil to oburzenia, to znów bałwochwalstwa, to buntu szalonego, to nikczemnej uległości! Och! jestem pewna, że nigdy żadna kobieta nie przyjęłaby świadomie takiego losu, i pan Heliodor dobrze zrobił, że go pannie Józefie nie narzucił, przez źle zrozumianą wspaniałomyślność.

— To, co dotychczas powiedziałaś, kochana panno Wiktoryo, wcale się nie sprzeciwia temu, co ja mówiłam, owszem, jedno z drugiego wypływa. Ja się dopominałam, żeby wolno było człowiekowi wyrastać ze zbyt ciasnych stosunków, jak się z sukienek zbyt ciasnych wyrasta, uwzględniłam zmianę przedmiotu, byle się prawdy uczucia doczekać; ty zaś utrzymujesz, że bez tej prawdy nieszczęścia tylko i zgorszenia się

rozsiewają. Poprostu przyczyna i skutek: o ile skłamiesz uczuciu, o tyle skłamać musisz wszystkim następnym, z uczucia wysnutym życia obowiązkom.

Ale dajmy już pokój temu. Czy się kto zgodzi zemną, czy się nie zgodzi, ja słów moich nie cofnę. Przypuśćmy więc, żeśmy się na nie wszyscy zgodzili; nadzwyczaj lubię hypotezy.

— Przypuśćmy tylko—zastrzegła Olesia.

— Mnie nawet przypuścić trudno—odpowiedział pan Hilary.

— Na jeden wieczór, to pana do niczego nie zobowiązuje—prosiłam go bardzo pokornie.

— Niechże i tak będzie — zgodził się szanowny ziemianin.

— Ja tylko przez ciekawość ze stanowczem weto nie wystąpiłam — rzekła jeszcze pani Karolina. — Istotnie, zgadnąć nie mogę, co z tej ostatniej hypotezy zrobisz.

— Przypuśćmy więc—mówiłam dalej — wszyscy jednomyślnie przypuśćmy, że jest prawo zupełnie uniewinniające tych, którzy przedmiot uczucia zmieniają. Dla mnie ten artykuł przekonania żadną a żadną wątpliwością nie jest zamącony; lecz mam wątpliwość inną, mam raczej inną do zaspokojenia ciekawość. Chciałabym wiedzieć, jak to sobie należy postąpić z kobietą, która nas kocha jeszcze, gdyśmy już ją kochać przestali?

Z minutę może ogólne panowało milczenie, aż pan Adolf pierwszy się wyrwał:

— Uciec od niej daleko i zapomnieć jaknajprędzej.—Co z głowy, to z myśli.

— A takie osoby jak pani Karolina, nazwą to nikczemnością, podłością i wszystko się już rozstrzygnie—dokończył pan Hilary.

— Ale inne powiedzą, że środek radykalny — zaprzeczyła niby panu Hilaremu Olesia. — Jednak chciałabym wiedzieć, czy pan Adolf się kiedy o tej możliwości z panem Jerzym naradzał?

— Przepraszam panią, ja to sam z siebie mówię.

— A ja zaświadczam, że zupełnie sam z siebie— rzekł pan Jerzy.—Uciec i zapomnieć trudniej to, niż się komu zdawać może. Uciec, gdzie? chyba, że człowiek ani urzędem, ani majątkiem do miejsca nie jest przywiązany, to niech do Ameryki emigruje; bo tak z ulicy na ulicę, z gubernii nawet do gubernii nie warto, ciągle się bywa na niebezpieczeństwo spotkania narażonym. A zapomnieć... pamięta się daty historyczne, imiona miast, rzek, krajów azyatyckich; doskonałe zapomnienie od woli naszej nie zależy. Prócz tego, jabym nie był tak okrutnym ani dla porzuconej kochanki, ani dla samego siebie. Adolf może się kłopocze zbytkiem uzbieranych wspomnień, ciężą na jego mózgu, radby się z nich otrząsnął; ja biedny nie taki bogacz, jeśli się cokolwiek przez życie do skarbonki ściągnęło, to pod kłódką trzymam, nie chcę tracić ani szelążka; tyle mojego przecież, co wspomnę czasem, wieczorem przy fajce i przy szklance herbaty, jeśli kto z gości nie nadejdzie. Od uśmiechu pewnej ślicznej kuzynki, której podczas szóstoklasowych wakacyj najwyborniejsze z lasu przynosiłem orzechy, do kryształowej łezki pewnej jeszcze śliczniejszej osoby, z którą się raz przy świetle księżyca żegnałem, niczego, niczego nie chcę zapominać. Nie taki ze mnie magnat, jak z Adolfa.

— Lecz pan Adolf — rzekłam trochę zniecierpliwiona—pan Adolf przynajmniej kategorycznie na moje pytanie odpowiedział, a pan Jerzy za majakami puścił wyobraźnię i nie wiem, czy go teraz o rzetelne, sumienne, rozsądne zdanie uproszę.

— Ach! pani dobrodziejko, niech pani każe tylko, zawsze jestem gotowy.

— Co dowodzi, że pan nieraz już przemyśliwał nad tem zagadnieniem—przycięła mu Olesia.

— Nigdy, broń Boże! nigdy nie przemyśliwałem; zawsze się to jakoś samo z siebie, bez planu ułożyło. Gdy jednak o plan pytają, więc z natchnienia zaimprowizuję.

— Panie Jerzy, nie z natchnienia, ale z zasady jakiej gruntownej—przełożyłam poważnie.

— Więc dobrze, jestem posłuszny, biorę najpierw gruntowną zasadę. Och! spodziewam się że gruntowną, biorę naturę kobiecego serca. Według moich spostrzeżeń, kobiety zawsze, ciągle, bezprzestannie kochać potrzebują: kochają lalkę, kanarka, przyjaciółkę, wielbiciela, dzieci, wnuki, a jak tego nie stać, to kochają mopsy, szpice, papugi, kotki, słowem zawsze kochają. W takich okolicznościach, jakie pani przedstawiła, zmienność ulubionego najsroższy cios zadaje z tej przyczyny właśnie, że niby ciąg życia rozrywa, na czas jakiś opróżnia serce. Łatwiej słowik w maju ból gardła przetrzyma, łatwiej kwiaty bez słońca się obejdą, łatwiej szuler ostatniego dukata przegra, niż kobieta zniesie tę myśl okropną: „już nie mam kochać kogo." Otóż widzi pani, na zasadzie znajomości kobiecego serca, jabym się starał myśl podobną uprzedzić. Wszak bawimy się w przypuszczenia, pani na to pozwoliła. Ja więc przypuszczam, że jestem Heliodorem, panna Aleksandra jest panną Józefą, a pan Adolf...—i mówiący zająknął się trochę.

— Jużcić nie możesz przypuścić, że jestem Marynią—wtrącił tenże bardzo dowcipnie.

— A pan Adolf—ciągnął dalej, nie zważając na przerwę, pan Jerzy—pan Adolf, jest panem Adolfem, tylko niby niezupełnie takim samym panem Adolfem; musiałbym go dosztukować wyższemi obcasami, włosów mu przyciemnić, czoła rozjaśnić, oczu powiększyć. Ależ to wszystko już niech państwo sobie własną fantazyą uzupełnią; wracam do mego przypuszczenia. Ja, Heliodor, spostrzegam się nagle, że już od pewnego czasu daleko mi częściej droga się zawraca tam, gdzie mieszka Marynia, niż tam, gdzie Józia. Przy Józi koło dziewiątej już zegarek z kieszeni wydobywam i patrzę która godzina; przy Maryni siedzę do północy i wydziwić się nie mogę, dlaczego jej ciotka, matka lub inna jakaś opiekunka usta chustką zasłania i ziewa raz po raz. Badam inne symptomata: wszyst-

kie tężsamę zapowiadają chorobę. Stało się, kocham Marynię, nie Józię. Skoro tylko nabyłem tej pewności, idę do wspólnie nam znajomego pana Adolfa, biorę go pod rękę i prowadzę z sobą do Józi: potem, wracając, chwalę pannę Aleksandrę... nie, omyliłem się, chwalę Józię, jak na to zasługuje, wynoszę ją pod niebiosy. „Czy przypatrzyłeś się jej oczom błękitnym? takie jasne kolorem, a takie ciemne, głębokie, niezgruntowane spojrzeniem. A rzęsy, jak długi cień, prawie na pół twarzy, rzucają! Chociaż mnie się zdaje, że z całej twarzy, to jej usta najlepiej kocham. Nie, nie, najlepiej kocham spadek policzków, co tak ślicznie siatką żyłkową przebija i tak wymownie rumieńcem lekko różowym, lub śnieżną bladością się mieni. Wszak prawda, że im dłużej się wpatrywać, tem coraz więcej tajemniczych piękności w jej obliczu się odsłania? Na pierwsze spojrzenie nawet niktby się nie domyślił; ale gdy się umie każdy szczegół, każdy przelotny wyraz pojmować... to aż dziwno człowiekowi, że mógł kiedyś mniej cenić, że mógł niedowidzieć; bo też blask tego wdzięku nie lśni dyamentem po wierzchu, ale promienną iskrą z wnętrza duszy płonie“... I takbym dłużej jeszcze mówił o... Józi, a pan Adolf zwolnaby mi coraz harmonijniej wtórował. Uwielbienie jest do pewnego stopnia zaraźliwą chorobą. Czasem wszyscy przechodzą koło jakiej skromniutkiej na wieczorku panienki, nikt ani się spostrzeże czy blondynka, czy brunetka. Niechże kto powie głośno: ach! ładna! wnet jak owieczki wszyscy chórem powtórzą: ach! ładna! Więc jabym korzystał z tego usposobienia i panu Adolfowi odstępujące mo jej duszy zaszczepiałbym ekstazye. Po kilku takich wizytach miałbym prawo trochę zazdrości okazywać. Zazdrość jest najsubtelniejszem pochlebstwem; o szczerości pochwał można jeszcze wątpić, ale kto zazdrość wzbudził pięknością, szczęściem czy rozumem, ten już nieomylnie jest w posiadaniu piękności, szczęścia i rozumu zatwierdzony. Pochwała prócz tego do odpłaty, do pewnego zwrotu obowiązuje, zazdrość wzbu-

dzona daje nam blankiet na wszelkie drobniutkie eleganckie zdrady. podstępy, wybiegi, zazdrość rozwiązuje nam ręce, podbija w górę animusz, wieńczy skronie tryumfu laurami, a dłoń najniebezpieczniejszą bronią, palmą męczeństwa, uzbraja. Skorobym tedy wymiarkował, że pan Adolf już się o laur stara, jabym mu z wszelką bezinteresownością palmy męczeńskiej dostarczył. Byłbym dla niego, a zawsze wobec panny Józefy, najprzykrzejszym fantastykiem, najniesprawiedliwszym sędzią, najdokuczliwszym kolegą, prześladowałbym go aż do wzbudzenia litości. No, u tej mety stanąwszy, gdybym jedno serce uwielbieniem i próżnością, a drugie rzewnem politowaniem, chęcią wynagrodzenia zniesionej krzywdy skusił, to jużbym mógł z bardzo spokojnem sumieniem coraz częściej i dłużej Marynię odwiedzać; dla panny Józefy przecie dostawiłbym zastępcę.

IV.

— Niezły pomysł — rzekłam wśród ogólnego śmiechu, nad którym czysty sopranik Olesi dziwnie przenikliwą nutą górował—wcale niezły pomysł; dałby się w jaką francuską komedyjkę oprawić, lecz nie wiem, czy do rzeczywistości zastosowany, miałby równe powodzenie. Słusznie powiedział pan Jerzy, że kobiety muszą zawsze coś kochać; jeszcze słuszniej mógł się wyrazić, że wszyscy ludzie cośkolwiek, lub kogokolwiek kochać muszą. Dlaczego tak zupełnie mężczyzn naboku pod tym względem zostawił, trudno mi pojąć. Nie wyobrażam sobie żadnego człowieka człowiekiem bez miłości. Mniejsza o to jednak, niech sam pan Jerzy za niedokładność wyrażenia odpowiada; ja biorę je w domyślnem znaczeniu i całej płci naszej imieniem dziękuję panu, żeś tak łaskawie wyższość w najwyższej zdolności ludzkiej nam przyznał. Och! gdyby prawdą były słowa pana, gdyby to się dało snuć życie swoje z ciągle nowych, a ciągle żywszych i piękniejszych wrażeń, gdyby co się złamie odrzucać, co zgorzknie wypluwać, co przeszkodzi omijać, co zamierzchnie rozjaśniać, a rąk nie strudzić, smaku nie omdławić, nóg nie zmęczyć, światła, ciepła, siły nie wyczerpnąć! Gdyby, och! gdyby... to nie jednemu pewnie i do skończenia świata umieraćby się nie chciało. Lecz tu na naszej zastygłej planecie, między dwoma lodowatemi biegunami, fatalnie jakoś prędko uczuciowe ekspensują się zasoby. Na miłostki jeszcze ja-

ko tako stać lekkomyślników; na miłość prawdziwą kiedy się kto zdobędzie, to osobliwość rzadka, a im na prawdziwszą się zdobędzie właśnie, tem zupełniej całą istność w niej utopi i gdy mu wyłożony kapitał przepadnie, do ostatniego bankructwa przychodzi. Ach! panie Jerzy, chciałeś wyśmiać kobiety, które z miłości do miłości, jak królowe z pałacu do pałacu przechodzą; jabym przed niemi nader pokornie głowę uchylała. Chciej-bo pan tylko zastanowić się chwileczkę, co to za najjaśniejszą panią, co to za wróżką Urgelą być trzeba, żeby sobie stratę jednego uczucia drugiem wynagrodzić. Zmiana uczucia jest zupełnie inną rzeczą, ale strata!... Ot, niech pan sobie wyobrazi: za wszystkie skarby ducha uczta wyprawiona, tysiące świec jarzących goreją, muzyka najczystszą płynie melodyą, skrzą się dyamenty, rubiny, szmaragdy, serce wierzy niezłomnie, myśl ulata wysoko, dłoń, tą drugą dłonią podparta, w potęgę cudów silnieje, aż tu nagle piorun uderza i wszystko, wszystko... popiołem. Kto z popiołów nowy zamek wznieść potrafi, kto drugi równie suty bal dać może, temu chyba dwa życia, dwie dusze, dwa działy skarbów dziedzicznych Ojciec co jest w niebiosach przez łaskę wydzielił... Ja tak uprzywilejowanej nie spotkałam istoty. Natura ludzka biedną jest aż do nędzy; jej trudno raz szczerze kochać, a chcesz pan, żeby zaraz, powtórnie, kogoś innego na twoje miejsce ukochała? Plan strategiczny w głównym punkcie wadliwy, improwizacya z natchnienia zupełne „fiasco“ zrobiła... w mojem przekonaniu.

— Gardzi pani improwizacyą? Mogę ten przedmiot wziąć ze strony czysto naukowej, historycznej na przykład. I tak, o ile wiem, w Hiszpanii królowie do klasztoru pakowali wszystkie kochanki, które im się sprzykrzyły.

— Teraz trudno byłoby ich naśladować, przymus wyszedł z użycia—odezwał się pan Adolf.

— A ty nie wiesz czem można przymus zastąpić?—zwrócił się ku niemu pan Jerzy. — Nieoceniony, rzadki człowieku, pozwól niech cię w twoję arkadyjską

głowę ucałuję.—I z najspokojniejszą miną przechyliwszy w swoję stronę czoło wyrywającego się pana Adolfa, w sam środek je pocałował. — Moi państwo— rzekł potem do nas — nie wszyscy są tacy, jak nasz Adolf. Mam innego jeszcze przyjaciela, przyjaciela nie od serca, ale od gawędki. Nadzwyczaj miły w towarzystwie, między kobietami świecznik, między młodzieżą wzór, powagom wszelkich stanów ulubieniec; od niego właśnie nauczyłem się, jak to można ze skutkiem i korzyścią hiszpańską metodę do dni naszych zastosować. Był on w takim właśnie, o jakim mówimy kłopocie; koniecznie chciał się pozbyć miłości już niekochanej kobiety. Rozwinął tedy plan kampanii daleko, och! daleko genialniejszy od moich strategicznych przebiegów. Najpierw sobie samemu przypiął skrzydła szerokie i uleciał w obłoki. Eter piersi mu wypełnił, gwiazdy dyamentowe deszczem kapały na jego kamizelkę, zaskrzyło słońc tysiące, zawarczały komety! Co rozmowa, to jakiś wyższy podlot, co projekcik, to jakiś świętszy zamiar. Wsród sfer niebieskich rozlegało się echo najpiękniejszych wrażeń: „opuścić wszystko dla Boga i wszystko znaleźć w Bogu, wypalić serce swoje ofiarą nieustanną, cierpieć, zrzekać się, rozstawać z ziemią coraz bardziej, a nakoniec pchnąć ją w przepaść znicestwienia obcasem swego bucika i rozpłynąć się w blaskach, w harmoniach, w nektarach zaświatowych...“ Łatwo się państwo domyślicie, że rozkochana kobieta nie mogła tak daleko od siebie w samotności pustelniczej, choć empirejskiej, ulubionego zostawiać; jej także białe pióra u ramion wytrysły, frunęła wgórę... i los rozstrzygnął. Pobożny kochanek wnet aureolą cherubinową zwieńczył przywabioną w nadziemskie okolice: „Tyś wybrana Pańska, twoje stopy nie powinny dotykać pyłu ziemskiej drogi. Ach! jak ty lekko bujasz w nieskończonościach! ach! jak ty jasno świecisz w twoich zachwytach! ach! jaka z ciebie lilia między cierniami! Ja nie śmiem cię kochać, ja nie powinienem cię kochać, ja cię nie kocham, ja cię wielbę tylko!“ I tak stopnio-

wo, stopniowo dociągnął aż do chwili, w której przekonał swoję zanieloną, że dla większej chwały Pana Boga ona się musi życiu klasztornemu, on brudnym troskom tego świata poświęcić. I tak się stało: ona poszła do klasztoru, on się z młodszą, piękniejszą i bogatszą przez poświęcenie ożenił.

— A czy pan myśli, że to było z jego strony tak bardzo grzesznym podstępem? — odezwała się panna Wiktorya.— Może względnie do jego własnego sumienia Bóg go surowiej osądzi; ale względnie do kobiety, którą porzucał, wszystkie mu winy odpuszczone być mogą, gdy tylko zapobiegł ostatecznej ruinie jej życia, gdy uprzedził te bluźniercze słowa przez pana Jerzego wspomniane, te słowa, które w najgorszych, w najcięższych do przebycia chwilach mimowolnie z ust wypadają, a są prawdziwie potępiającym wieczność naszę wyrokiem; te słowa szkaradne, głuche jak chaos przed stworzeniem świata milczący, puste jak nicość pustą po świata rozbiciu będzie; te słowa, które szatan musiał, lub kiedyś jeszcze musi, wyrzec z piekielną boleścią: „Już nie mam kochać kogo!...“ Wierz mi, panie Jerzy, nie pytam o intencyą, nie śledzę i nie podejrzywam celów pobocznych. Każdemu, kto od tych słów wargi czyje ustrzeże, wdzięczność niech ustrzeżeni świecą... a ja błogosławię.

— Vivat! bravo! elien! przyjacielowi pana Jerzego!—wykrzyknęła Olesia.— Co za koncept szczerozłoty na dewocyi osadzać zdradzone kochanki!... Ale jeszcze złóżmy radę, panno Wiktoryo, gdzie lepiej, czy u wizytek, czy u felicyanek?

— Nie sprzeczajmy się między sobą—przestrzegła panna Karolina — ztąd tylko dla tych panów naszym kosztem zabawa. Alboż nie widzicie, jak pan Adolf złośliwie się uśmiecha? alboście to nie poznały, że pan Jerzy dowcipne tylko i ciągle „z natchnienia“ improwizuje anegdotki?

— Ostatnia jest monograficznym ustępem bieżącej historyi, proszę mi wierzyć—bronił się oskarżony.

— Niemniej przeto jako bardzo „sztuczną“ anegdotkę, jeśli nie pana, to owego przyjaciela uważać ją trzeba; znamy zaś wszyscy przysłowie, że sztuka na raz tylko się udaje. O klasztornem życiu pełno, jak widzę, między ludźmi utrzymuje się przesądów. Panna Wiktorya nawet mniema, jak się zdaje, że tam wiele, wiele kobiet z sercowych zawodów wstępuje, a Olesia, to aż się zlękła takiej przyszłości i śmiechem oburzenia zaprotestowała. Tymczasem ja mam dwie siostry zakonnicami i mogę wam z największą pewnością ręczyć, że białe i czarne welony żadnych światowych żalów i wspomnień nie osłaniają. Zakonnicą dzisiaj staje się z powołania jedynie. Wy, profani, może nie rozumiecie, może nie słyszeliście nigdy, co znaczy ten wyraz „powołanie?“ A wiecie co jest talent, co głos do śpiewu? oto powołanie jest talentem ducha, jest głosem do śpiewu — modlitwy. Kto nie ma powołania, ten nowicyatu nie przetrwa, zarówno jak niemający talentu do orkiestry przyjętym nie zostanie, pozbawiony dźwięcznego głosu i trafnego ucha w operze nie wystąpi. Wiolonczelistą, tenorem, felicyanką, wizytką trzeba się urodzić koniecznie. Jeśli czasem, w chwili rozpaczy, rzuci się kto za kratę klasztorną, to wiem że go tam wtedy starają się uspokoić, pocieszyć, ale nadewszystko coprędzej na świat wypuścić. Moje siostry wiele mi takich opowiadały zdarzeń.

— Więc cóż? — rzekłam, zwracając się do pana Jerzego — słusznie i rozsądnie mówi pani Karolina. Klasztor pono nie wyciągnie z kłopotu różnych Heliodorów; o inny pomysł prosimy. Czy pan go ma na pogotowiu?

— Pomysłu nie mam, pani przecież zakazała w tak ważnej kwestyi pomysłami się bawić, ale mam inne, historyczne wzory. Henryk VIII-my ścinał głowy swoim żonom, gdy je kochać przestawał.

— No proszę, poczciwy Tudor! — westchnęła Olesia. — Że też-to ludzie zawsze niesprawiedliwi; okrutnikiem, tyranem go zowią, a jak się kto bez

uprzedzenia zastanowi, to musi przyznać że był litościwszym, miłosierniejszym od masy dziś po ulicach przechodzących najpospolitszych tużurków i fraków. Ja głosuję za systematem Tudora.

— Nie byłabym od tego — rzekłam, na lepsze skupienie myśli bardzo mocno palec do czoła przyciskając. — Jest racya, jest obustronna korzyść; ale mi jedna tylko trudność na zawadzie staje: kodeks karny. Przecież i hrabia Choiseul Praslin nie był gorszym od Henryka VIII-go, a sąd przysięgłych byłby go na rusztowanie skazał, gdyby trucizna śpieszniej od sądowych inkwizycyj nie działała.

— Co mi tam do kodeksu — pogardliwie na moję uwagę odparła Olesia. — Kodeks niech się w sprawy zakochanych nie miesza. Jeśli komu jest przyjemniej być zabitym, niż opuszczonym, to do kodeksu nic a nic nie należy; jeśli zaś kodeks przywłaszczył sobie zbyt daleko sięgającą władzę, to do ludzi walka z uzurpatorem należy. Mężczyzna zwłaszcza na każdym kroku swego życia odważnym i śmiałym być powinien: wypadło mu z konieczności moralnego podstępu, jak Gabryela utrzymuje, czyjeś serce rozdeptać, niechże się potem nerwowo nie lęka z tego serca krwi trochę upuścić czerwonej. Zamordować biedną duszę młodą osamotnieniem, bezwładnością, niewiarą na długie lata pierś ofiary przydusić, a bać się jej na szyi wązką kreseczkę nożykiem zakroić, bać się dlatego, że kodeks niewyrozumiały, że jakieś episyery ukarać nas mogą!... Fe, brzydzę się takiem tchórzostwem! Panu Jerzemu wszystkie jego dzisiejsze usterki odpuszczam za to wspomnienie Henryka VIII-go; jest nadzieja, że przy zdarzonej sposobności potrafisz pan arcy-wzór dziejowy naśladować i uznasz w sumieniu swojem, że lepiej zawsze życie, niż szczęście odebrać.

— Najpokorniej przepraszam pannę Aleksandrę, lecz się tego nie podejmuję; wolę być w zgodzie z kodeksem, niż...

— Niż z sumieniem — przerwała mu niecierpliwie.

— Niż z panną Aleksandrą i Henrykiem VIII.

Panna Wiktorya znów się między powaśnionych wdała.

— Dziwi mię to — rzekła — dlaczego dotychczas nikomu tutaj na myśl nie przyszedł najprostszy i najpoczciwszy sposób rozwiązania rzuconej przez Gabryelę kwestyi. W lepiej dobranem jednak od wielu innych znajdujemy się towarzystwie; ci panowie szczególniej, których to solidarniej obchodzić powinno, jakiekolwiek są w ich charakterze i zdolnościach różnice, mają wszyscy reputacyą nader zacnych i prawych ludzi. Każdy z nich mógłby skarbiec klejnotów koronnych pod swoją strażą bez regestru trzymać; tymczasem, gdy się spytano: jak sobie postąpić z kochającą jeszcze, a niekochaną już kobietą?... ten radzi by ją zapomnieć, tamten by oszukać, jest mowa o wtrąceniu do klasztoru, o morderstwie nawet, tylko o tem mowy nie było, że się godzi najpierw przed nią samą ze zmiany swych uczuć wyspowiadać. O ile znam naturę kobiecą, o tyle ręczyć pod przysięgą mogę, że niema takiej Medei, którąby wtedy najgrzeszniejszemu Jazonowi nie przebaczyła. Cóż bo w podobnych zdarzeniach jest górującą, sroższą nad inne boleścią? Wierzcie mi państwo: nie to, co złe namiętności rozbudza, ale to, co w nas władzę dobrego zabija. Gorzką bezwątpienia jest myśl rozdziału, upokarzającem złożenie berła i korony na rzecz szczęśliwszej piękności; rozpaczliwem częstokroć wyrzeczenie się tego słowa „najwięcej.“ Ależ od wszystkich żalów, zazdrostek, upokorzeń, daleko okropniejszą jest wiara nasza zachwiana, świętość nasza zbłocona. Burza gwałtownych a ujemnych namiętności z biegiem czasu koniecznie przycichnąć musi: im silniejsze będzie nasze miotanie w zawieruchach, tem prędzej członki znuży i snem sklei powieki. „Wróci spokojność, wróci,“ ale przytępiona ducha naszego potęga nie wróci, ufność odleci, cześć dla ideałów przepadnie na wieki. Trzeba będzie do grobu, jak kulę galernika, wlec za sobą podejrzliwość, zwątpienie, szyderstwo. A czemu? bo

ten, który nas opuszcza, staje się zwykle w stosunku z nimi dziwakiem niesprawiedliwym, kłamcą nikczemnym, grubianinem nawet bezlitosnym. Widziałam ja tego przykłady, podsłuchałam niejedno wyrażenie, co niby w kleszcze żelazne zbolałe serce ujęło, niby łomem marmuru westchnienia, łkania i skargi przygniotło. A doprawdy trzeba widzieć, trzeba słyszeć, żeby się przekonać, do jakiego stopnia na tej drodze przeklętej ludzie, z innych względów bardzo ucywilizowani, po afrykańsku dziczeją. Co to za chęć oszukania, jakie przebiegi zręczne i niezręczne, jakie zimne okrucieństwo, które się dostrzeżonem cierpieniem nudzi i niecierpliwi! A te wykrzykniki szatańskie, te spostrzeżenia krytyczne: „Zrobiłaś się nieznośnie wymagającą. No, czegóż chcesz? przyszedłem, a ty się jeszcze mazgaisz; istotnie, łzy ci w chroniczną chorobę przechodzą. Dziwną też sobie kokardę przypięłaś do włosów. Spostrzegam się, że ty wielu wyrazów czysto nie domawiasz, seplenisz, moja droga. Nie graj tak huczno, nie śpiewaj tak ślamazarnie“ i tym podobnie. A wszystko to nietylko obelgą na poczucie naszej godności osobistej pada, wszystko jeszcze do protokułu wobec sądów rozumu się zapisuje i wyrokiem ostatecznym najstraszliwsze udręczenie nam znaczy: pogarda dla tego, co było czci naszej przedmiotem. Utrata szczęścia, osierocenie przyszłości niczem jest w porównaniu z tą jedną przecierpianą torturą. Człowiek żyje niepewnością obecnej chwili, jutra każdego zawsze trochę się lęka; więc co mu dzisiaj z rąk się wysunie, czego na jutro mieć już nie może, to w naturalny bieg przeznaczenia mu się układa. Żal rozbudzony zmiennością ukochanego równa się żałobnemu za umarłym żalowi; lecz pogarda gorsza od śmierci, pogarda wydziera nam jedyną, zupełną własność naszę, wydziera nam przeszłość całą, że nie mamy, że mieć już nie będziemy... Smutnem to jest, oj smutnem! Ale powiedzieć sobie że nie mieliśmy nigdy, że co było, nie było, że uzbierane klejnoty wspomnień prochem tylko i zgnilizną, że powołane do życia i ruchu wszy-

stkie siły, uczucia, zdolności istoty naszej, to pomyłka pierwszo-kwietniowa, że cośmy kochali, tegośmy nie kochali właśnie, bo miłość przylega do prawdy, uświęca się prawdą, rozwija się w prawdzie jedynie, a tam był fałsz, tam była próżnia, tam było zaprzeczenie; powiedzieć to sobie, stracić wiarę we własny instynkt dobrego, zwątpić o gruncie własnej duszy, czuć się niejako współwinną za upadek, za nikczemność, za gatunkową podłość wybranej ukochaniem naszem natury... no, przyznajcie państwo, czy sobie wyobrażacie większe, gorsze i brudniejsze nieszczęście? A jednak tego-to nieszczęścia łatwo bardzo kochającej kobiecie zaoszczędzić można: stanąć przed nią z wyznaniem nieobłudnem, odwołać się do jej szlachetności, zostawić szacunek, gdy się wyłączność użycia odbiera, blask tego co minęło bez skazy uchować, miłość na przyjaźń zamienić. Ja myślę że każda, lub prawie każda kobieta z wdzięcznością na to przystanie, a może... może przystanie bez boleści, radośnie.. Szalone czasem są te kobiece serca; ani danem jest przewidzieć komu na jakie heroizmy się zdobędą, jak zupełnie potrafią w cudzem życiu, w cudzych losach osobistość swoję zatracić i cieszyć się radością ukochanego, i pragnąć jego pragnieniem i dążyć ku jego celowi.

— Pani się dziwiła, że nikt o tak prostym nie pomyślał sposobie — przemówił wtedy pan Hilary. — Owszem, ja zaraz od początku rozmowy o tem myślałem; ale nie wierzę by istnieć mogły takie kobiety, o jakich pani na końcu wspomniała. Nie jest to wcale z mej strony uchybieniem: zdaje mi się, że w interesie własnej godności nawet żadna z pań życzyćby sobie nie powinna tak wysoko posuniętej, lub raczej zepchniętej tak nizko zdolności poświęcenia. W tym jednostkowym kierunku nosiłaby ona raczej charakter niewolnictwa lub cerografowego poddaństwa, a nie charakter miłości kobiecej. Toć to istnie jak gdyby się dobra dusza diabłu zapisała. Nie, ja na podobne heroizmy nie liczę; dlatego też, kiedy pomyślałem że najprostszą byłoby drogą pójść i bez ogródki do wszy-

stkiego się przyznać, zaraz mi w oczach stanęła załzawiona twarz tej biednej, choćby najłagodniejszej. najcichszej Medei. Mówcie panie sobie co chcecie. nazwijcie mię tchórzem nikczemnym; ja wiem. że nie lękałbym się lufy pistoletowej i bagnetu w piersi godzącego; lecz przeciw łzom i boleści, której sam byłbym powodem, nie czuję w sobie odwagi. Im więcejbym kochał drugą kobietę, tem lepiej we wszystkich odcieniach pojmowałbym, co się dzieje w sercu wydziedziczonem z miłości. Napróżnoby swój smutek ukryć chciała przed moim wzrokiem; niechby wspaniałomyślnie twarz do uśmiechu zmusiła, niechby głos drżący do najweselszego diapazonu dociągnęła, wszystkobym zawsze i dojrzał, i odgadł i zrozumiał. Jej łzy tajone każdą chwilę późniejszego uniesieniaby mi zatruły. Według już stanowczo przez panie ogłoszonego wyroku. z kobietą niekochaną, zwłaszcza też inną kochając, żenić się nie godzi. Bardzo uznaję słuszność tego prawa; ale przecież... gdy jedno z drugiem podsumuję, to mi się zdaje, że wolałbym chyba tak kochanej, jak niekochanej się wyrzec i... nie ożeniłbym się wcale.

— Co według statystyki — zauważyłam półgłosem — w miejsce jednego, przyczyniłoby społeczeństwu aż trzy nieszczęśliwe, złamane, bez sensu przez życie wlokące się indywidua.

— Więc cóż zrobić z taką kobietą? — zawołał pan Hilary.

— Jak też to trudno — ciągnęłam dalej spokojnym tonem naukowych spostrzeżeń — jak trudno jeszcze w 1859 lat po narodzeniu Jezusa Chrystusa złe od dobrego, nadużycie od ustawy, fałsz od prawdy, to co się godzi, od tego co się nie godzi rozróżnić. W naszej oto maleńkiej, siedmiogłowej gromadce zdobyć się nie możemy na zgodne osądzenie moralnej doniosłości bardzo pospolitego zdarzenia i nie możemy wydać jednomyślnej uchwały względem bardzo często przytrafiających się powikłań. Cóżby to było gdyby...

Wtem nowi goście weszli do pokoju; rozmowa ku innym zwróciła się przedmiotom. Tylko pan Hilary nauboczu raz mię jeszcze zapytał:

— Więc cóż robić z taką kobietą? Niech mi pani powie?

— Cha, cóż robić? — powtórzyłam, nad każdą prawie zatrzymując się sylabą. — Uciec od niej, to brzydko, zapomnieć, to nie od ludzkiej woli zależy, do klasztoru wtrącić trudno, zabić niewolno, zdać się na jej łaskę i niełaskę zbyt przykro. Więc co zrobić?

I namyślałam się przez chwilę głęboko, a po chwili rzekłam:

— Co zrobić z taką kobietą, która was kocha jeszcze, gdyście wy już kochać przestali?... Doprawdy, panie Hilary, ja nie wiem.

KONIEC TOMU III-GO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE TRZECIM ZAWARTYCH.

Nr. 18